

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

KONFIGURACJE

Nr 1-4(50-53) Zielona Góra 2015 ISSN 1642-5995 Nr indeksu 370754



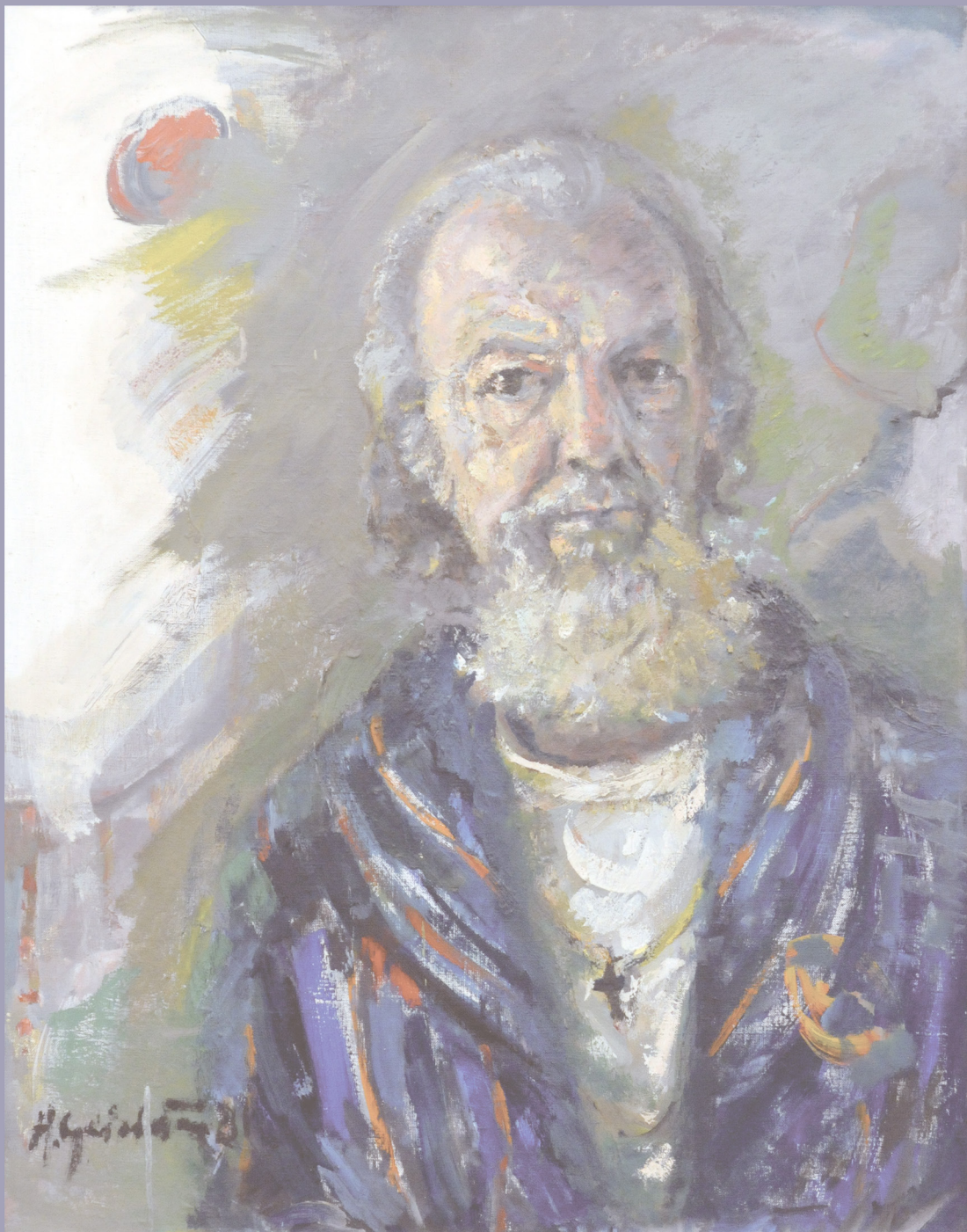
Eseje

Wiersze

Proza

Szkice krytyczne

Sztuka



Sfinansowano ze środków WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

Pro Libris

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne
Pro Libris nr 1-4(50-53)/2015

Prace plastyczne wykorzystane w numerze
Hilary Gwizdała

© Copyright by Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida, Zielona Góra 2016

Redaktor naczelny
Andrzej Buck

Redaktor graficzny
Magdalena Gryśka

Sekretarz redakcji
Ewa Mielczarek

Korekta
Joanna Wawryk

Stale współpracują:
Małgorzata Mikołajczak, Robert Rudiak

Fotografie:
Archiwum WiMBP im. C. Norwida, Jacek Serżysko, Małgorzata Chomont

Wydawca
Pro Libris – Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida,
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra

Skład komputerowy
Firma Reklamowa GRAF MEDIA, tel. 68 451 72 78

Nakład – 300 egz.

ISSN 1642-5995

Nr indeksu 370754

Adres redakcji:
WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze, al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris);
e-mail: prolibris@wimbp.zgora.pl, www.wimbp.zgora.pl, www.prolibris.net.pl

Od redakcji

Zamykamy rok numerem „Pro Libris”, który trzymają Państwo w rękach. Aktualny zeszyt powstawał dość długo, mogąc tym samym zarejestrować ważne wydarzenia, opublikowanie znakomitych książek (wystarczy przejrzeć dział RECENZJE i OMÓWIE-NIA), nagradzanie najlepszych autorów – literatów, naukowców i dziennikarzy, o czym obszernie pisze dr Paweł Kalisz (Wawrzyny Lubuskie). Niestety – także pożegnania z wybitnymi, wyróżniającymi się postaciami ze środowiska lubuskiej kultury. W 2016 r. pożegnaliśmy Żenię Pawłowską, Marka Grewlinga (dogłębnie literacko scharakteryzowanego w tekście Czesława Sobkowiaka; recenzyjnie pochylił się nad książką *Nic ponad*, poetycko – jako autor dwóch wierszy), także Ireneusza Szafranka, którego postać trafnie opisał dr Robert Rudiak w tekście recenzji. Odeszła również Romana Kaszczyk, poetka, malarka, pisarka, animatorka życia kulturalnego, związana z regionem. Jej postać obszernie opiszemy w kolejnym numerze pisma, podobnie jak sylwetkę artystyczną fotografa zielonogórskiego Zbyszka Rajche, z którym pożegnaliśmy się w czerwcu br. Pozostaną w naszej najlepszej pamięci, jak również pojawiać się będą w wielu tekstach, które – jak ufamy – zamieścimy w kolejnych numerach „Pro Libris”.

Przygotowaliśmy dla Państwa niespodziankę w postaci prezentacji poezji pięciu belgijskich autorów, przetłumaczonej na język polski przez zielonogórzankę Annę Kwapisiewicz-Sevens od szeregu lat zamieszkałą w Antwerpii.

Polecamy Państwa uwadze frapujący wywiad Mirosławy Szott z nestorem poezji lubuskiej Janu-

szem Koniuszem, jak i oryginalne teksty prozatorskie uhonorowane najwyższymi nagrodami w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszy w Kargowej (Krzysztof Martwicki, Anna Kokot, Łukasz Staniszewski).

W numerze pojawia się po raz pierwszy dział zatytułowany KOLEKCJONER LUBUSKI. Zamierzamy prezentować na jego łamach sylwetki osób pochłoniętych pasją zbieractwa oraz ich kolekcje. Inauguruje go znany w regionie i w Polsce zbieracz dzwonów i dzwonek Marian Łysakowski. Polecamy także ciekawy tekst o związkach sztuki filmowej z twórczością pisarską – autorki Anna Polus oraz Magdalena Kremer-Sochacka zgłębiły temat książek promowanych na 2. Zielonogórskim Festiwalu Filmu i Teatru. Wymieniana wcześniej Mirosława Szott zgrabnie analizuje temat nurtujący środowisko piszących – *O krytyce krytycznie*.

W dziale EKSLIBRIS W PRO LIBRIS prezentujemy kolejną porcję miniatur graficznych wykonanych przez Agatę Buchalik-Drzyzgę i opatrzonych jej komentarzami-rozmowami z osobami obdarowanymi.

W „Pro Libris” zamieszczamy też program 6. Prozy Poetów. Festiwalu Literackiego im. Anny Tokarskiej i zachęamy do zapoznania się z bogatym repertuarem i ważnymi indywidualnościami ze świata literatury, teatru, filmu i sztuk plastycznych.

Numer ilustrowany jest pracami Hilarego Gwizdały, legendarnego malarza zielonogórskiego, obszernie opisanego w dziale PREZENTACJE.

Serdecznie zachęcamy do lektury.

Spis treści

Od redakcji	3
Andrzej Chodacki, Na Montelupich strzelano w tył głowy	6
Janusz Koniusz, Wiersze [Ostatnie śniadanie, Miejsce, Krzyż, Znak zapytania]	9
Edward Derylak, Ceśka mi się śniła, Swaty	13
Agnieszka Gadzińska-Grądkiewicz, Wiersze [czarna sukienka, oddychać nie oddychać, Tak daleko, W drodze do miasta]	15
Maciej Kubiak, Podróż do Paryża	19
Ferdynand Głodzik, Wiersze [Wirtualny łut szczęścia, Uczta]	23
Marcin Radwański, Zwyczajny dzień na osiedlu	25
Władysław Łazuka, Wiersze [Jesteś, Las, W ogrodzie, Ze snu]	28
Aldona Reich, Jeden wieczór	32
Karol Graczyk, Wiersze [Zmarznięta ziemia, Mgła, Pomiedzy, Grus]	34
Czesław Sobkowiak, Prozy	38
Elżbieta Dybalska, Wiersze [Ucho igielne, A niebo mi podpowiada]	42
Adam Boleśław Wierzbicki, + 18, czyli raczej dla dorosłych	44
Barbara Anna Dominiak, Wiersze [*** Łąka była niska, Powracający]	46
Joanna Kapica-Curzytek, Mistrzynie słowa	48
Dominika Lewicka-Klucznik, Wiersze [Królowa kosmosu, 16]	50
Ewa Mielczarek, Belgijska poezja na łamach „Pro Libris”. Współpraca z kwartalnikiem „Gierik & Nieuw Vlaams Tijdschrift”	52
Guy Commerman, Wiersze [Prawda, Jakby, Kolory, (Za)pytania]	53
Richard Foqué, Wiersze [Co nastąpi, Wielka rosza, Tutaj stoimy, Ponumerowane ciało]	57
Erick Kila, Wiersze [Każdy horyzont, Nieskończony, Jeszcze, To]	62
Rene Hooyberghs, Wiersze [Metro, poranne dzień dobry, Placyk, Placyk (2)]	66
Anna Kwapisiewicz-Sevens, Wiersze [*** Normalnie żyć..., Wieża kościelna w N., Spotkanie w kawiarence „Szczęście”]	70
Krzysztof Martwicki, Pięć mazowieckich opowiadań	73
Małgorzata Chomont, Wiersze/obrazy	80
Anna Kokot, Lulajże luleczko	81
Aleksandra Kurzawa, Wiersze [Bohater, Młodość, Leży Bóg na kozetce, Niebieskie]	88
Łukasz Staniszewski, Dzieciaki	92
ZBLIŻENIA	
Czesław Sobkowiak, Nie do końca umarł (o Marku Grewlingu)	95
Marek Grewling, Wiersze [Ahasverus, Alfabet Anachorety]	98
To zależy, co ma się świata do powiedzenia. [Rozmowę z Januszem Koniuszem przeprowadziła Mirosława Szott]	100
Anna Polus, Magdalena Kremer-Sochacka, Wokół książek 2. Zielonogórskiego Festiwalu Filmu i Teatru Kozzi – Dymny – Himilbach	105
Paweł Kalisz, Lubuskie Wawrzyny 2015	110
EKSLIBRIS W PRO LIBRIS	
Z teki Agaty Buchalik-Drzyzgi	116
PREZENTACJE	
Hilary Gwizdała	118

KOLEKCJONER LUBUSKI

Marian Łysakowski, Wspomnienia z podróży są jak echo dzwonków 121

VARIA

Mirosława Szott, O krytyce krytycznie 125

Robert Rudiak, Zielonogórski Slam Poetycki 2016 131

RECENZJE I OMÓWIENIA

Mieczysław J. Warszawski – próba potwierdzenia, czyli literacki czyściec. Szkic o wierszach z tomu

Nic ponad. Mieczysław J. Warszawski, *Nic ponad* (**Marek Grewling**) 135

„Zostaję z pytaniem” – *Moje herezje* Zygmunta Marka Piechockiego (**Katarzyna Krysińska**) 137

Literatura lubuska ujarzmiona

Robert Rudiak, *Ruch literacki na Środkowym Nadodrzu w XX i XXI w.* (**Jan Kurowicki**) 139

„Wszystko, czego nie ma, jest we mnie”. O Mieczysławie J. Warszawskim i jego wierszach z tomu

Nic ponad. Mieczysław J. Warszawski, *Nic ponad* (**Barbara Anna Dominiak**) 141

Tragiczne miłości genialnych artystów. O nowych poematach Elżbiety Musiał

Elżbieta Musiał, *Mówię pochylona cambrią* (**Robert Rudiak**) 143

Prywatne i literackie. *Kąt widzenia* Jacka Łukasiewicza. Jacek Łukasiewicz, *Kąt widzenia*.

Notatki literackie (**Czesław Sobkowiak**) 145

Dwa przystanki w tramwaju.

Wokół słuchowiska Darka Błaszczyka *Pasażer Luter* (**Janusz Łastowiecki**) 147

Źródło natchnienia, czyli o poezji Ireneusza Szafranka

Ireneusz Szafranek, *Ostaniem światło* (**Robert Rudiak**) 150

Z Zielonej Góry na Antarktydę

Przemysław Piotrowski, *Kod Himmlera* (**Joanna Kapica-Curzytek**) 152

Pamięć? Wejście poety...

Jerzy Szewczyk, *Pamięć nie wystarczy* (**Czesław Strawa**) 154

Dzwonią dzwony

Marceli Tureczek, *Campanae, quae in confinio sonant. Studium z dziejów ludwisarstwa*

na pograniczu śląsko-brandenbursko-pomorskim w XIII-XVIII wieku (**Daniel Koteluk**) 156

Zapisywanie śladów

Mirosława Szott, *Anna* (**Czesław Sobkowiak**) 157

Colonia – godność człowieka w rozumieniu chilijskiej rzeczywistości lat 70. XX wieku

Colonia, reż. F. Gallenberg, Niemcy 2015 (**Jesica Woźniak**) 159

Hilary Gwizdała – poeta koloru. Wystawa *Hilary Gwizdała – Malarstwo*;

Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze 15.04-2.06.2016 (**Alina Polak**) 160

Mroczne aspekty osobowości. Marcin Radwański, *Nie odrzucaj mnie* (**Alina Polak**) 162

(Wy)dziedziczenie. Adam Bolesław Wierzbicki, *Dziedzictwo* (**Bogdan Nowicki**) 163

KSIĄŻKI NADEŚLANE 167

AUTORZY NUMERU 168

6. Proza Poetów. Festiwal Literacki im. Anny Tokarskiej 174

Na Montelupich strzelano w tył głowy

Anioły nie płaczą. Nikt też nigdy nie widział anielskich łez. Ale kiedy kolor ich intensywnie błękitnych oczu zmienia się na szary, a ciągle rozświetlający twarz uśmiech znika, wiadomo już, że człowiekowi, którego miały strzec, grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

Dzieci czują zagrożenie inaczej. Anioły mają do nich śmielszy dostęp, bo ze strony dziecka nie obawiają się fanaberii.

Tego wieczoru jedenastoletnia Jagusia, jak nazywali ją rodzice, długo nie mogła zasnąć. Taty od kilku dni nie było w domu, nawet mama opuszczała oczy, gdy dziewczynki wypytywały ją o los ojca. I choć miasto szykowało się już do snu, a ukochany kot Jagusi, Mruczek, spał już smacznie na kołderce w rogu łóżka, dziewczynka przewracała się z boku na bok, nie chcąc stracić okazji na powitanie taty, kiedy ten wróci po długiej nieobecności. Szmer rozmów z kuchni dotarł do jej uszu, potem zasmucony Anioł zaczął delikatnie nucić w jej głowie kołysankę. Dziewczynka walczyła jeszcze chwilę z ciężącymi coraz bardziej powiekami, ale ten śpiew był tak kojący i piękny, że straciła rozeznanie, czy to jeszcze jawa, czy już sen. Właśnie miała zamknąć oczy, gdy zobaczyła mamę wchodzącą do pokoju. Dziwna rzecz, mama była jakaś odmieniona, cała promieniowała, otoczona jasną poświatą. Trzymała dłoń na swoim wielkim brzuszku, gdzie spała nienarodzona siostrzyczka Jagusi.

– To będzie braciszek – poprawiła ją mama aksamitnym głosem, gładząc z czułością okrągłutki brzuch.

Jakiś chłód ciągnął od strony przedpokoju. Coś groźnego czaiło się za drzwiami mieszkania. Jagusia czuła to całym swym wrażliwym, dziecięcym umysłem. Mruczek obudził się i zaczął prychać, cofając się w róg łóżka.

– Boję się – wyszeptała dziewczynka, podciągając kołderkę powyżej brody.

– Nie bój się, dziecko. – Mama cały czas uśmiechała się. – Przecież twój Anioł Stróż jest przy tobie.

– Ale właśnie... – zaczęła Jagusia, gdy jakiś szum w przedpokoju odwrócił uwagę mamy.

– O, może tata wrócił? – Kobieta odwróciła się i ruszyła w tamtą stronę.

– Mamo! – zawołała dziewczynka, ale odpowiedziała jej cisza.

Sekundę potem rozległ się okropny hałas i ktoś zaczął krzyczeć przeraźliwie. Dom zatrzęsł się od tupotu ciężkich butów, ktoś ochryplym głosem warczał:

– Trzymaj go!

Jagusia pomimo przerażenia złapała wystraszonego kota na ręce i zbliżyła się do otwartych drzwi. Chwilę zmagając się z paraliżującym ją strachem, ale w końcu wyrwała na korytarz. Na podłodze, pod wieszakiem na ubrania leżała jej mama. Z boku, spod niej wypływała ciemna kałuża, zbliżając się powoli w kierunku bosych stóp dziecka. Pod wejściowymi drzwiami dwóch mężczyzn w czarnych płaszczach szamotało się z trzecim, przynięcionym do podłogi. Dziewczynka poznała go od razu.

– Tatuś! – krzyknęła, zasłaniając usta przerażonym Mruczkiem, który za wszelką cenę chciał wyrwać się z jej rąk.

Jedna z postaci dźwignęła się z kłeczek. Gdy mężczyzna wyprostował się, głową prawie sięgał do sufitu. Odrzucił ręce na bok i spojrzał na dziecko stojące boso w koszulce nocnej na zimnej posadzce. Jagusia dostrzegła przekrwione, żółte ślepie, które wbiły się w jej umysł, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Otworzyła usta i zaczęła krzyczeć najgłośniej, jak się da. Jeszcze chwilę szarpała się z jakimiś dłońmi, aż wreszcie otworzyła raptownie oczy i zobaczyła nad sobą zatroskaną twarz mamy.

– Jagusiu – mówiła mama, głaszcząc ją po głowie – to tylko zły sen, dziecko, to tylko zły sen.

Wtedy rozległo się natarczywe pukanie do drzwi.

Dzieci czują niebezpieczeństwo. Anioły mają do nich śmielszy dostęp. Tej nocy jednak szatan zerwał się z Boskiego łańcucha, by wprowadzić się do mieszkania ciężarnej kobiety i jej trzech córek. UB założyło w kwarterze Józefa Ostafina regularny kocioł. Zbliżał się też nieuchronnie czas rozwiązania dla Kazimieri Ostafin.

Do Izby Przyjęć kliniki na Kopernika podjechał ciemny samochód. Była godzina druga w nocy, w Izbie Przyjęć pusto. Dwóch ubranych w długie skórzane płaszcze mężczyzn wyszło z auta. Jeden z nich obserwował, jak ciężarna kobieta z trudem wydostaje się przez drzwi z tylnej kanapy, nie próbując jej choć trochę pomóc. Drugi energicznym krokiem ruszył w stronę drzwi wejściowych do szpitala. Gdy wtargnął do środka, zaczął wykrzykiwać coś, wywijając trzymanym w ręku pistoletem. Zanim kobieta wygramoliła się z samochodu, sapiąc szybko i trzymając się za brzuch, lekarz i trzy pielęgniarki stali już, przecierając oczy w gabinecie lekarza dyżurnego przed ostro gestykulującym mężczyzną.

– Ta suka ma tu zdechnąć i jej bachor też! – ryknął funkcjonariusz UB do zdumionego personelu. – A jeśli ktoś jej pomoże, to wrócę tu i załatwię mu wieczną kwaterę na Montelupich, paniali?!

Zapadła cisza. Sen zniknął z powiek ludzi w białych fartuchach bezpowrotnie i definitywnie.

– Zrozumiano?! – krzyknął znów mężczyzna, wlepiając wzrok w lekarza dyżurnego. Ten niepewnie pokiwał głową na znak, że przyjął do wiadomości nieludzki rozkaz.

W tym momencie Kazimiera Ostafin dotarła do drzwi Izby Przyjęć. Sił wystarczyło jej tylko, by wejść do środka. Zaraz za drzwiami osunęła się zemdlna na posadzkę. Nikt z personelu nie ruszył w jej kierunku. Ubek przemaszerował słabo oświetlonym holem i wyszedł na zewnątrz, trzaskając drzwiami. Ciemny samochód odjechał z piskiem opon.

Pozorny spokój dyżuru w Izbie Przyjęć kliniki na Kopernika zastąpiło nieme przerażenie.

Józef Ostafin urodzony 7 marca 1894 roku w Sułkowicach, pseudonim „Chudy”.

Jeden z kierowników nielegalnej podziemnej organizacji WiN.

Żona Kazimiera, trzy córki.

Procesowi przewodniczy ppłk dr Romuald Klimowiecki.

Ławnicy: mjr Józef Małachowski i mjr Jan Zabłocki.

Protokolant od drugiego dnia rozprawy: chor. Mieczysław Żeberek.

Prokurator: ppłk Stanisław Zarakowski.

Obrońca z wyboru oskarżonego: mec. Wilhelm Immergluck.

Kara wnioskowana przez prokuratora – KARA ŚMIERCI.

Kara orzeczona przez sąd – KARA ŚMIERCI.

Sąd wziął pod uwagę duże napięcie złej woli ze strony oskarżonego Józefa Ostafina oraz polityczną rolę, jaką ten odgrywał w organizacji. W działalności oskarżonego widoczny był zamiar kontynuowania kierunku politycznego, jakiemu do wojny służył.

Decyzją z 6 listopada 1947 roku Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaskawienia oskarżonego.

Najukochańsza moja Kazieńko i moje Dzieci.

...Jakżeż chciałbym Ci w czym pomóc, Kazieńko moja! Żyję Tobą i niedolą Twoją, a poza modlitwą o Twoje zdrowie nic więcej pomóc Ci nie mogę. Oby Bóg wysłuchał mnie i Dzieci nasze i wrócił Ci zdrowie, które jest dla mnie wszystkim, całym zadowoleniem i szczęściem moim. Los mój i sytuacja moja nic mnie nie obchodzi. Pogodziłem się ze wszystkim. Jedynie choroba Twoja tak ciężka i przewlekła, przeszło rok trwająca, a z mojej winy, z mej pracy wynikała jest moim stałym zmartwieniem...

Krysia weszła do pokoju z kolacją i zauważyła fotografie rozłożone na pościeli przed leżącą w łóżku matką.

– Popatrz, córciu, jaki tata jest przystojny w mundurze legionisty. – Chora kobieta podała dziewczynie fotografię, uśmiechając się z trudem.

– To prawda, mamó – odpowiedziała Krysia, szykując leki przepisane przez doktora Kędrę. Nie spojrzała jednak na fotografię.

– Czy nie było jakiegoś listu od ojca? – zapytała jeszcze kobieta, kładąc się bez sił na plecach. Po ostatnim upuszczaniu wody z brzucha czuła się bardzo źle, gorzej niż zwykle.

Córka wyrównała sprawnym ruchem pościel i podała jej tacę z posiłkiem.

– Nie było, mamó, jedz.

Dziewczyna czuła, że coś dławi ją w gardle. Wyszła więc szybko z pokoju, zatrzymała się dopiero w kuchni, opierając się o parapet okna. Szarpiąc się z klamką, otworzyła szeroko okno i zaciągnęła się wilgotnym listopadowym powietrzem. Deszcz spływał po szybie, tworząc plamę na kuchennej posadzce. Krysia wpatrywała się w spowite mgłą podwórko jej miasta. Miasta, które odwróciło się od jej rodziny. W którym uwięziono jej ojca patriotę. Gdzie umarł jej nienarodzony braciszek, bo matka nie uzyskała pomocy położnych. Zakryła twarz dłonią i zaczęła płakać. Teraz zupełnie bezsilnie i szczerze.

Na Montelupich strzelano w tył głowy. Ppor. Henryk Michalik był w tym naprawdę dobry. Rzadko kiedy używał więcej niż jeden nabój, by zabić „kaesiaka”. Wprowadził zwyczaj, by w czasie wykonywania wyroku przed ścianą na dziedzińcu więziennym zawsze stały dwie ciężarówki. Kiedy między nie wprowadzano skazanego, kierowcy ciężarówek zapuszczali silniki i dodawali gazu, by zagłuszyć huk wystrzałów.

Tego wieczoru, dnia 13 listopada 1947 roku o godzinie 19.10 ppor. Michalik wykonał swoją robotę profesjonalnie i bez fuszerki. Trzy kule, trzy trupy, jak się należy.

Czy widział wcześniej skazanego Ostafina Józefa na spacerniku? Możliwe. Choć było to teraz bez znaczenia. Ważne było tylko to, by ilość kul zgadzała się z ilością „kaesiaków”.

Wszystkie nazwiska, daty i wydarzenia są zgodne z faktami dostępnymi w biograficznej książce Danuty Suchorowskiej *Zbrodnia w imieniu prawa: Józef Ostafin, 1894-1947*. Cytowano oryginalny list Józefa Ostafina do rodziny.

* KS – kara śmierci.

Ostatnie śniadanie

Synowie rodziców bez rodowodu
przed świętem Paschy zabili baranka
który z woli Pana ocalał z potopu
by w wieku męskim pokryć stado owiec

Zgodnie z najnowszą sztuką medyczną
po sporządzeniu atlasu na lekcje anatomii zwierząt
rany mu obmyli winem z Kany Galilejskiej
żeby skruszał do wielkanocnego śniadania
które zjedli przy stole mistrza od struga
i ucieczek na ośle do Egiptu

Na przekór lokalnej tradycji
długo palili niekoszerne zioła
podrzucone im przez nieznanych sprawców

Otrzymali najwyższy wymiar kary

W erze wspólnoty plemiennej
dla przeciwiczenia projektu kodeksu karnego
szybko strącano głowy wyjęte spod prawa
za dociekliwość zmysłów i nachalność ręki

Miejsce

Po poczęciu Pięcioksięgu
pośród gwiazd i planet
stworzył niebo piekło i czyściec
żeby każdy z wyroku Sądu Ostatecznego
posiadł miejsce wieczyste

Na skutek obrotu ciał niebieskich
wszystko się pomieszało
niebo dla nas przeznaczone
piekłem się stało

Krzyż

Przed wniebowstąpieniem
rozdał królestwo ziemskie
które otrzymał w darze
od Ojca Niebieskiego

Jak zapowiedział w Kazaniu na Górze
pierwszym dał mniej
ostatnim więcej
żeby było sprawiedliwie

Sobie nie pozostawił
miejsca na krzyż po powrocie
Odchodził
na zawsze

Znak zapytania

Przez mistrzów Renesansu
ulepiona na garncarskim kole
według receptury niebios
przyszła z Edenu
już wyciętego w pień
gdyż przesłaniał Panu
widok na zakazany owoc
W białej sukni powyżej kolan
zwiastowała rajską rozkosz
Wymowne ślady
znaczyła sandałami z węża
ujętego podczas ucieczki
przed osądem prawa
Gotowa do ślubu
w pierwszej napotkanej świątyni
by co roku rodzić
prawdziwego proroka
albo prorokinię

I nie wiem –
była z boskiego nadania
czy ze zmyśleń zmysłów
żebym sobie zasłużył
na siedem grzechów głównych

Ceśka mi się śniła

Spotkaliśmy się przypadkiem, albo i nie. Dowiedział się, że przyjechałem.

Piłem kawę. Zaproponowałem. Chciał herbaty. Mocnej. Siorbnął ze dwa razy tego wrzątku, podniósł głowę, zatopił we mnie tępe spojrzenie. Z ciemnej poranej twarzy patrzyły czarne, przyciągające oczy.

– Wiesz, Ceśka mi się śniła... – zaczął i zamilkł. Wpatrywał się we mnie. Dopiero po chwili: – W nocy przyszła do mnie. Myślałem, że co chciała. Stała i stoi, i nic. Patrzy na mnie. „Co tak stoisz, siadaj”, mówię do niej, a ona nawet nie drgnie. Tylko wbiła we mnie oczy i gapi się. „Siadaj”, mówię znowu. Stoi, uśmiecha się. Wiem, że pomarła. Chcę jej dotknąć, podsunąć fotel, w którym siadała przed telewizorem, ale nie mogę się ruszyć, nawet ręki podnieść. Swój głos tylko słyszę, coraz słabszy, jakbym ochrypnął raptem. Ona już przestaje się uśmiechać, bieleje cała. Stała tak trochę, potem się odwróciła i wyszła, przez okno. Wiesz, co to może być, taki sen? Stare ludzie kiedyś sobie sny tłumaczyli, tylko nie pójdę ich pytać. – Uśmiechnął się pokracznie. – Rano wziąłem dwie świeczki i poszedł na cmentarz. I pytam się, co chce ody mnie. Palę jednego papierosa, drugiego. Czekam. Może da mi jakiś znak. Zająrzałem na grób ojca. Znowum wrócił. Palę kolejnego papierosa. „Tylem się za ciebie namodlił”, mówię do tego krzyża, do tych błyskających czerwono zniczy, do zwieńczonych już kwiatków, wieńców, bo to było ze dwa tygodnie po pogrzebie. Przez cały tydzień, dzień w dzień modlitwy, a to różaniec, a to w kościele ze dwa dni, byłem nawet u spowiedzi. Ksiądz mało nie wypadł z konfesjonatu, gdy mnie zobaczył. Od Pierwszej Komunii tylem się nie namodlił co wtedy... – zamilkł nagle. Zacerpnął powietrza. Po chwili ciągnął dalej: – Mówię do niej nad tym grobem, może i słyszała, kto tam wie, tego nie zbadasz. „Przychodzisz w nocy, spać mi nie dajesz, wstaję i myślę cożes chciała; aż łeb od tego myślenia mnie boli. Przecież pogrzeb miałaś ładny, gadam jej, wieńce jak trzeba, i ksiądz ładnie odprawił, i narodu się zeszło, cała wieś bez mała. Nakarmiłem wszystkich, i po kieliszku, choć ksiądz wzbraniał, my wypili. Było jak u ludzi...”.

Zamyślił się wpatrzony we mnie.

Swaty

Siedziałem i paliłem papierosa, radio cicho brzdąkało. Nagle słyszę: „prrr”. Ktoś podjechał. Furmanką, pewnie z daleka, myślę. Podszedłem do okna. Chłop schodzi z wozu i zabiera się do otwierania mojej bramy. Na ławce wspartej na kłonicach kobieta odświeżnie ubrana. Fura wjeżdża na podwórze jak do siebie. Wyszedłem. Oboje idą w moją stronę. Stary wali śmiało jak sąsiad albo dobry znajomy, co to bywa raz po raz, a dziewczyna, myślę, że córka, trochę z tyłu, drobi kroki, pewnie się wstydzi. Mierzę ich wzrokiem – oni mnie. On wyciąga rękę, podaje swoje nazwisko – ja swoje. Mówi, że chciałby pogadać.

– To pogadajmy – powiedziałam i zapraszam ich do chałupy.

Idę przodem, w drzwiach puszczam ich przed sobą. Podsuwam krzesła, najpierw staremu, potem dziewczynie. Ten od razu siada, kręci węża; dziewczyna wierci się na krześle, rozgląda. Zrobiłem herbatę i czekam, co będzie dalej. Zaczynam miarkować, o czym mamy gadać, ale siedzę cicho. On też się nie kwapi; pociąga gorącą herbatę, jakby z tydzień nie pił. Młoda ukradkiem spogląda na niego.

W lodówce mam flaszkę wódki. Proponuję kielicha. Kiwa głową, że może być. Wychylił się po jednym. Skrzywił się, wierzchem dłoni wytarł usta i zaczął:

– Moja córka – spojrzał z ukosa na dziewczynę, potem znowu na mnie – jest w ciąży z pana synem.

Tego się spodziewałem, niech to szlag. Złość mnie taka wzięła, hulał, hulał, teraz ma! Przyglądam się pannie, czy akuratna będzie synowa: z zadartym nosem, pyzata, może trochę za bardzo, dużo jej w sobie, jak na młódkę za dużo (podług mnie, starego) – nie bardzo mi się widzi. Ale dziecko w drodze – ojciec musi być. A że mi się nie widzi... przecież ja z nią spać nie będę. Odwracam głowę w stronę starego. Uśmiechnął się do mnie.

– Zaraz go obudzę – powiedziałem.

Zaskrzypiały wrota i zobaczyłem jego rozczochraną głowę z sianem we włosach. Gęba skwaszona, jakby dopiero zjadł cytrynę.

– Co się stało?! – Z pretensjami do mnie, że mu spać nie daję.

– Ano stało się, stało. Gości masz.

– Jakich gości?!

Widzę, że nie ma zamiaru wychodzić. Ociąga się, marudzi, że niedziela, że niewyspany.

– Gdy ci powiem jakich, od razu mocno staniesz na nogach.

Wybałusza oczy, spogląda na furmankę, na konia, koń na niego, on znowu na mnie. Pewnie też mu kołowacieje. Już nie mówi, że niewyspany, nie ogląda się na ciepłe jeszcze legowisko w sianie. Mówię, że dziewczyna z ojcem przyjechała.

– Jaka dziewczyna?! Po co przyjechała?!

– Chodź do chałupy, zobaczysz, sam się spytasz. Tylko się ubierz i wytrzep siano z włosów.

Wszedłem pierwszy. On stanął w drzwiach niepewnie, jakby miał uciekać, i bąknął pod nosem „dzień dobry”. Skinąłem ręką, by podszedł bliżej. Pytam, czy zna tę dziewczynę. Mowę mu chyba odjęło. Mruczy coś pod nosem, stęka, w końcu wydusił z siebie, że tak.

– Jest w ciąży – mówię.

Pytam, czy to jego dziecko. Spojrzał szybko na nią, potem na mnie.

– Tak – zamruczał obrażony.

– Bierz krzesło i siadaj.

Postawiłem trzeci kieliszek. Wypiliśmy.

– No, teraz trzeba pogadać o weselu.

czarna sukienka

ech, wanno, półplaneto, na twoim równiku schnie gąbka, pielgrzym, który krążenie,
żwawość
odzyskuje na ciele. Czemu masz tylko południe,

dno biegunowe, dlaczego ty jesteś skorupą, a ja przed wyjściem jestem
jądrem półziemi w potopie wpisanym w powszednie obowiązki schludnych.

na twojej północy trwa białe niebo z wieszakiem,
a na nim kiecka, gwiazda – sięgałaby do kostek, gdybyśmy
wisały razem; ale brakuje czasu, by wspinać się
na twoje, twoje empireum, o brak go, dlatego w ściągniętej
ze stropu sukience przechodniów spotykam jak smolna, smolna szanta.

oddychać nie oddychać

dźwigające historie atmosferyczne
(etherial)

kto przytrzyma sznurki napowietrzne: palce nad wodą rozczapierzy,
przejedzie, powolny wobec krwi, opuszkami w płynnym szkłe parę razy: o, wy,

linki wychodzące z buzi otwieranej przy powierzchni – pod nosem
rzeczy budzącej się do świadomości zwierzęcia chmury, szarpnięć, prądów,
napięć, wirów i przeniesień,

z rąk puszcanych, niewypuszczanych, o, ty, wykroju freelancera,
o, wy, deszczulki z wojen i powstań, o, skubane wy pakuły od Wilde'a
de profundis, Nilsie ty Holgerssonie na grzbiecie gęsi, której *niczego, proszę*

pana, tak nie żal jak porcelany, o, ty, Trumanie Capote z przyjaciółką starą,
w pantoflach tenisowych lecącą od gwiazdki do gwiazdki, o, wy, Gerdo i Kaju,

pąki w kaskadowej róży, i ty, cadyku wyświecony od Nachmana, który pono
nie oddalałeś przybysza, zanim mu najcięższe u ciebie nie spadło brzemię,
o ty, Lauro Brown, która

odpoczęłaś, żeby i podrzutek pofrunął, zaufawszy oknu, wy, dzieci-zawiniątka,
od Piotrusia Pana latawice, latawce, dźwigający historie atmosferyczne innych,
jeśli ktoś z nich mocniejszy od was wiatr potrafi ośwoić, i nie powie: nie bądź.

Tak daleko

Nie szukam miejsca na odpoczynek: przy szosie,
w oście, palę papierosa.
Czerwieni się plebania obok; jaszczurka pnie się po cegle,
jedna z łapek bluszczu. Za siatką pieje niewidoczny kogut,
gdaczą czarno nakrapiane kury, a głos obcego mężczyzny
zza pleców powie: tu mieszkał znajomy, człowiek bez nogi.
Siedzisz w jego pokoju.

Podnoszę głowę, żeby znaleźć sufit, chmurę gładkoszarą
w groszki z jaskrawości; światło przesieje się
przez stare płótno.
Chciałam cię dotknąć, zanim mnie zasypie.

W drodze do miasta

Widziałam dwa żurawie na zaorany polu;
szarady, kręgosłupy z nieznanej opowieści.

Nie były moje ptaki. Nie była moja ziemia
ani las nieczytelny, z bazgrołów na powietrzu.

Nie zabierałam rzeki z cytatu z szyby obok;
przecięła most i znikła. Ktoś później zmazał domy.

Z nich patrzyli przeze mnie ludzie niczym żurawie
w spulchniony dawno spłacheć; przydrożnie nieobecni.

Gapiałam się z daleka w nagłówki z minerałów.

Podróż do Paryża

Tego dnia pogoda była nadzwyczaj piękna. Ciemne sosny, skąpane w promieniach wiecznego słońca były poruszane przez delikatny powiew wiatru. Intensywna jasność sprawiała, że chciało się skakać z radości. Tegoroczne lato było naprawdę piękne. W tak uroczej porze roku można było oddać się wielu przyjemnościom, które pozwalały na oderwanie się od szarej codzienności. Tego otóż dnia rodzina Meyerów wyruszyła w podróż do Paryża.

Szwajcaria słynie z wielu rzeczy: serów, zegarków czy banków. Rodzina Meyerów była jednym z ogólnie rozpoznawalnych elementów szwajcarskiej rzeczywistości. Dlaczego? Otóż nie słynęła z samego nazwiska, które nie wyróżniało się niczym szczególnym, jednak z piastowanych urzędów i medialności (szczególnie pani domu). Głową tej rodziny jest Peter Meyer, pięćdziesięciopięcioletni bankier, który jest dyrektorem Banku Narodowego. Jego żona – Ingeborg, znana skądinąd z telewizji, zajmuje się szeroko pojętą sztuką – z wykształcenia aktorka, z zamiłowania poetka. Ich syn Klaus pracuje w banku razem z ojcem. Państwo Meyerowie cieszą się niezsarganą opinią. Jednak to tylko pozory... Aktorskie umiejętności pomagają w maskowaniu niektórych, zagrażających przejrzystości ich wizerunku niegodziwości. W domu Meyerów milczenie przerywane było kłótniami. Relacje rodzinne opierały się na protekcyjności rodziców względem ich syna. A i między nimi nie układało się tak, jak być powinno.

Klaus w ciągu swego młodego życia miał wiele planów. Od zawsze chciał mieszkać z dala od rodziców. Wiedział bowiem, że atmosfera, która panuje w domu, nie sprzyja mu. Nie chciał być jednym z elementów rodziny idealnej. Nieco inne zamiary względem syna miał Peter. W jego wizji (która została poniekąd wcielona w życie) Klaus miał być dziedzicem jego dorobku i osiągnięć. To właśnie na nim miała spocząć piecza nad bankiem. Młody Meyer sprzeciwiał się temu, miał inne cele w życiu. Nie zgadzał się z ojcem, jednak ze względu na pozycję ojca musiał przyjąć propozycję pracy w banku. Czuł się nieswojo. Życie bankowca nie było wpisane w jego naturę...

Ingeborg trzymała się na uboczu, żyła własnym, na pół wyimaginowanym, scenicznym życiem. Uważała się za człowieka z wyższymi celami. Realizowała się jako świetna aktorka i równie dobra pisarka. Peter wiedział, że w ciągu ich wspólnego życia doszło do kryzysu. Nie był ślepy na sytuację w małżeństwie, jednak obawiał się bezpośredniej konfrontacji... Rozwód nie wchodził w grę. Życie musiało toczyć się własnym, kłótniowym, pełnym sprzeczności rytmem. Nieraz dumał nad przeszłością. Miał w sobie coś z romantyka. Wieczorami, przy szklance whisky i zapalonym cygarze oddawał się nostalgicznym wspomnieniom, kiedy to miłość była czynnikiem ich łączącym. Przed oczyma miał te lata, kiedy zakochany spotykał się z pełną szalonych pomysłów panną Ingeborg. Rozważania zawsze kończyły się jednak smutnym wnioskiem, że uczucie, które kiedyś wyrzuciło ich świat do góry nogami, wygasło. Zniknęło.

Raz do roku państwo Meyerowie organizowali rodzinną podróż do któregoś z europejskich krajów. Takim sposobem udało im się zwiedzić naprawdę wiele ciekawych, godnych zobaczenia miejsc. Tego roku postanowili odwiedzić Francję. Podczas pobytu w Hiszpanii zwiedzali zabytki Barcelony i pobliskich, małych

miasteczek. Będąc zaś w Pampelunie, oddali się oglądaniu pasjonującej corridy. Podczas ich najdłuższej podróży do Rosji zwiedzali Plac Czerwony, Mauzoleum Lenina oraz kiczowatą dla nich Cerkiew. Zaś z podróży do Polski w pamięci najbardziej utkwiły im Kraków i Wrocław. Jedno dość przerażające wspomnienie z Wrocławiem mieściło się tuż obok kościoła świętej Elżbiety, w sentencji *Mors ianua vitae* – śmierć bramą życia. Peter wyrzył te słowa w swej pamięci, wiedział bowiem, że są one kluczowe dla zrozumienia sensu istnienia. W jego wieku człowiek ma prawo myśleć o nieciekawie rysującej się przyszłości. Szczerze mówiąc, temat przemijania, śmierci był mu bliski, ciekawość drugiej strony życia niezmiernie go interesowała.

Podróżowali zawsze pociągiem (sentyment z dzieciństwa, kiedy to Peter podróżował wraz z ojcem po Niemczech). Berno latem jest szczególnie piękne, wręcz magiczne. O tej porze roku wszystko wydawało się jeszcze bardziej zachwycające. W te stare kamienice, wyrafinowane budynki i cuda nowoczesnej architektury można by wpatrywać się całymi dniami. Linia kolejowa przebiega tuż obok budynku banku, w którym stary Meyer był dyrektorem. Peter skierował swe ostatnie spojrzenie na ten właśnie bank.

Kilometry miały. Podróż toczyła się swoim powolnym rytmem. Klaus i Ingeborg byli zmęczeni. Cisza w przedziale stwarzała możliwość rozmyślenia nad przyszłością. W głowie ojca rodziny kotłowały się myśli. Myślał o tym, co przyniesie los. Komu powierzy on swoje dziedzictwo, budowane przez lata, o które troszczył się i dbał z należytą, wrodzoną precyzją i troską? W testamencie, który planował napisać po powrocie z Paryża, głównym spadkobiercą miał zostać jego syn. Tuż obok, z głową opartą na ramieniu drzemał Wolfgang – kamerdyner domu Meyerów, którego zawsze zabierali w podróż ze sobą. Związany był z ich domem od niepamiętnych już lat. Zawsze towarzyszył Meyerom w podróżach. Stary, siwy człowiek, który wykazywał się jednak niezwykłym wyczuciem na sztukę, żwawymi ruchami i nieprzeciętną inteligencją. W oczach rodziny był niezwykle cennym pomocnikiem, a czasem nawet doradcą. Cenili go za jego otwartość i nietuzinkowe pomysły. Prawdziwy przyjaciel rodziny. Mimo zamkniętych oczu, do uszu Wolfganga docierały zewnętrzne szepty Petera, który w gonitwie myśli nie kontrolował swego zachowania.

Po kilku godzinach podróży dało się słyszeć krzyk konduktora „przerwał przerwał”. Było już późno. Jasno świecące słońce zniknęło gdzieś za nieboskłonem. Świat okryła noc. Pociąg hamował. Pisk hamulców obudził Klause. Peter wysiadł z przedziału i udał się na zewnątrz, by zapalić tak lubiane przez niego cygaro. Z kieszeni swej marynarki wyjął aromatyczne, kubańskie cygaro. W bezkresnej ciemności przerywanej odbłaskami nielicznych światel rozbłysnął jasny płomień zapalniczki. Zbliżywszy ów płomień do zwiniętego tytoniu, z ust Meyera wydobył się gęsty, szary dym. Stał pewnie, rozkoszując się smakiem. Kolejne porcje dymu wydobywały się na świeże, nocne powietrze, w którym czuć było zapach starego pociągu. Po kilku minutach do ojca podszedł Klaus.

- Daleko jeszcze do Paryża? – zapytał.
- Blisko czterysta kilometrów – odpowiedział zdawkowo Peter.
- No to jeszcze parę ładnych godzin jazdy przed nami – zagał młody.
- Tak, synu... Jeszcze trochę... do Paryża... – odpowiedział jakby zamyślony Meyer.
- O czym myślisz, ojczu?
- Nieważne, synu – ocknął się raptownie Peter. – Nieważne...

Stali obok siebie, każdy pogrążony w swoich myślach. Na niebie spomiędzy chmur zerkał ciekawie księżyc. Peter i Klaus wsiedli do pociągu. W ich przedziale zastali Ingeborg i Wolfganga. Ona – zamyślona spoglądała przez okno, zaś kamerdyner siedział grzecznie, wpatrując się w podłogę. Drzwi rozsunęły się, ukazując postać dyrektora, tuż za nim szedł jego syn. Zajęli swoje miejsca: Peter przy żonie, ich syn zaś przy Wolfgangu. Młody Meyer zaczął czytać książkę. Ingeborg z mężem rzucili niezobowiązujące spojrzenie na siebie, a po chwili na Klause.

„Odjazd, odjazd!” – dało się słyszeć z zewnątrz. Pociąg mknął wzdłuż lasów, nie kończących się lasów, w których panowała błoga cisza. Noc zdawała się być cicha i ciepła. Nieświeże powietrze, jakie było w prze-

dziale, doprowadzało Ingeborg do szału. Otworzyła okno, aby powiew świeżego powietrza mógł zagościć i tu. W oddali widać było małe, ledwo co widoczne światła. Chmury rozstąpiły się, ujawniając tym samym ostrą jasność księżyca. Gwiazdy teatralnie odbijały się w tafli mijanego właśnie jeziora. Ingeborg odetchnęła pełną piersią. Reszta podróźnych nie śmiała nic powiedzieć w tym jakże ważnym dla niej momencie. Nikt jednak nie przypuszczał, że ta noc będzie nocą przełomową, a zarazem tak straszną...

Droga mijала. Klaus postanowił przejść się po wąskim korytarzyku wagonu. Wstąpił do toalety. W przedziale panowała cisza. Zmęczeni podróżą i sobą usnęli. Na zegarze dobiegała już północ. Nocą papierosy smakują lepiej – pomyślał Klaus. Uchyliwszy okno w pociągu, wyjął paczkę papierosów, wyjął jednego i zapalił. W powietrzu unióś się dym. Pociąg wjeżdżał właśnie do tunelu. Nocami, kiedy nikt mu nie przeszkadzał, czuł się autonomiczny. Mógł wtedy podejmować decyzje, które sprawiały, że czuł się zadowolony. Podobnie jak ojciec, Klaus często oddawał się nocnym rozważaniom. Pograżał się w planowaniu rzeczywistości wyjętej spod panowania ojca. Czuł się nieograniczony i wolny, starał się wtedy brać życie w swoje ręce. Wszystko miało jednak rankiem, przy śniadaniu, kiedy to patrzył na twarz Petera...

Klaus wrócił do przedziału. Światło było zgaszzone. Kiedy je zapalił, jego oczom ukazał się straszliwy widok. Peter Meyer, ten, który był jego stwórcą i panem życia, leżał martwy na podłodze. Z jego serca kapłała na podłogę ciepła krew. Ingeborg i Wolfgang spali. Niezmaconą ciszę przerwał głośny krzyk Klausa. Matka i kamerdyner obudzili się. Ich oczom ukazał się smutny widok. Wielki dyrektor banku leży skulony jak niemowlę, z jego oczu uszedł już blask... Zdawał się patrzeć w wieczność. Młody Meyer czuł, jak przyspiesza bicie jego serca, a kolana gną się pod nim. Ingeborg zareagowała nieco wymuszonym płaczem. Dobry sługa Wolfgang miał kamienną, niewzruszoną twarz. Był zaskoczony i posępniały. Nikt nie odzywał się. Od momentu krzyku Klausa nie padło ani jedno słowo. Można było usłyszeć jedynie szlochanie żony...

Śmierć starego Meyera była ciosem dla idealnego wizerunku rodziny. Po jego zgonie musiało się wszystko zmienić. Los jest nieprzewidywalny, zaś w połączeniu z wiecznością jest nieobliczalny. Tragiczna sytuacja zrodziła jedno pytanie: kto jest mordercą? Czyżby Ingeborg? Klaus? Wolfgang? A może ktoś inny? Jeżeli tak, to kto? Każdy z nich miał jakiś powód, dla którego życie bez Petera byłoby dobrym rozwiązaniem. Ingeborg od dawna myślała, jakie będzie jej życie po śmierci męża. Układała nawet w głowie scenariusze na przyszłość... Przyszłość bez Petera, bez ograniczeń... Klaus mógłby być mordercą, miał wszak tyle powodów! Był jednak niewinny; to podczas jego nieobecności doszło do zabójstwa. Wolfgang? Ten stary, dobry Wolfi, który był na każde skinienie Meyera? Niemożliwe!

Śmiertelną ciszę przerwał Klaus.

– Kto mógł go zabić?

– O, synu... Cierpię tak mocno jak ty... Nie mogłabym go uśmiercić!

– Wolfgangu, a jak ty sądzisz? – zapytał młody Meyer.

– Odpowiedź jest dziecinnie prosta... – powiedział poważnie Wolfgang, śmiejąc się diabolicznie.

– Cóż to znaczy?! – oburzył się Meyer.

– Tak, mój drogi... To ja. Ja go zabiłem...

Klaus chciał coś powiedzieć, jednak zabrakło mu odwagi.

– Ty? Nasz przyjaciel, który od tylu lat z nami mieszkał i pracował?! – wykrzyknęła Ingeborg.

– Tak – rzekł odważnie – to ja!

– Dlaczego? – zapytała.

– Od długiego czasu obserwowałem, jaką wzajemną nienawiścią się darzycie. Nie mogłem pozwolić, żebyście męczyli się dalej. Za mocno kochałem Petera, bym mógł pozwolić na jego cierpienie. Nie mogłem już na to patrzeć, było mi go szkoda... Was też... On chciał tylko, aby wasza przyszłość była szczęśliwa, chciał mieć wszystko pod kontrolą. Stąd jego protekcyjne zachowanie, jednak wiercie mi, kochał was

ponad życie. Widząc, jak ten porządek i planowanie wam przeszkadza, nie mogłem uczynić niczego innego, jak to, co zrobiłem...

– Oszalałeś?! – wykrzyknęła Ingeborg.

– Pytasz mnie, czy oszalałem? Powinnaś mi podziękować. Wszyscy wiemy, że od teraz życie potoczy się tak, jak miało to być pierwotnie...

Pociąg jechał powoli w stronę Paryża. Noc była nader spokojna. Bezczesna cisza kołysała gałązkami świerków, układając się do snu. Nocne ptaki nie przejmowały się ciszą. Świergotały najpiękniej, jak potrafiły. I tak mknął nieszczęsny pociąg, a w nim Ingeborg, Klaus, Wolfgang i truchło Petera. Milczeli, jednak czuli gdzieś w sobie ogromną ulgę i szczęście...



Wirtualny łut szczęścia

Gdy się w mieszkaniu komórki dzwonek
echem odbija od ściany,
odbierz natychmiast,
zawołaj żonę,
choć to numer nieznany.

Zapewne jakaś superoferta,
wieść o bonusach, promocji,
czeka wysyłki
ciężka koperta,
za darmo, w ramach dobroci.

Może wygrałeś główną nagrodę,
dostałeś pakiet darmowy,
lub możesz kupić
leczniczą wodę,
bez której trudno być zdrowym.

Choć plik banknotów kusi, szeleści,
czas i sumienie ponagla;
to się naprawdę
w głowie nie mieści;
pamiętaj – nie daj się nabrać.

Gdy głos w komórce dziewczęcy, młody,
twoje korzyści wylicza,
ty zanurz głowę,
do zimnej wody –
nie musi być ta lecznicza.

Aby od losu nie dostać w skórę,
lecz z życia hojne brać dary,
nie wyłączajcie
nigdy komórek,
a nade wszystko tych szarych!

Uczta

Gdym przed letnim słońcem uciekł do zadaszeń,
na mój stół sfrunął drobny szary ptaszek.
Rozwija skrzydełka, a potem je składa,
i otwiera dziobek, jakby chciał pogadać.

Skoro razem ze mną schronił się do cienia,
trzeba by mu chyba dać coś do jedzenia;
aby mógł nasycić żołądek malutki,
pokruszyłem kęsa z porannej drożdżówki.

Ptaszek dziobie zręcznie, jak gdyby się spieszył,
a mnie jego uczta najzwyczajniej cieszy.
Obserwuję malca, napawam się cieniem,
ogarnia mnie z wolna radość i wzruszenie.

Nie minęła chwila, gdy wydziobał wszystko,
po ostatni okruszek podszedł bardzo blisko!
Zafurczał, odleciał, tyle go widziano,
zostawił po sobie mokre świeże guano.

Gorzów Wlkp., 3.07.2014

Zwykły dzień na osiedlu

Biało-czarny kundel z ogromnymi w stosunku do swojego wątłego ciała uszami chyżo biegnie przed siebie, ciągnąc za sobą swoją panią. Jeszcze tylko jeden zaniedbany skwer i razem znajdują się przy osiedlowym spożywczaku. Z trudem trzymającą równowagę Halina przeklina pod nosem swojego permanentnego o tej porze kaca. Schyla się i uwiązuje psa pod płotem. Wchodzi jako jedna z pierwszych klientek do sklepu. Zupełnie nie pamięta wczorajszego wieczoru. Tak jak zwykle piła od samego rana, więc ma trudności z rekonstrukcją tak późnych wieczornych wydarzeń. Zdaje się, że wczoraj odwiedziła ją znajoma z pobliskiego bloku. Rzecz rozchodziła się oczywiście o pieniądze, a że Halina dwa dni temu otrzymała zapomogę z pomocy społecznej, skończyło się na jakiejś butelczynie czy dwóch. Któż spamięta takie szczegóły? – tłumaczyła sobie spokojnie. Był tam też chyba Heniek, który pojawił się, nie wiadomo skąd. Zresztą on pojawia się zawsze tam, gdzie jest darmowe picie. Gnój, zawsze chodzi na sępa, nie kupi nawet butelki oranżady. Jak zwykle dobierał się do niej i łapał pod stołem, stary zbereźnik.

Halina przechadza się po sklepie z pulsującą bólem głową. W kieszeni spranych džinsów wyczuwa gotówkę, co poprawia jej humor tego pięknego, słonecznego dnia. Z miną snobistycznej alkoholiczki przegląda rodzaje piw, bo z rana pija tylko ten alkohol. Dziś na pewno będzie coś z puszek. Nie będzie przecież dziadować i chodzić oddawać później butelki, jak jakiś zwykły lump bez kasy. W końcu wrzuca do koszyka ciemne, wysokoprocentowe dwie puszek i staje do kasy. Gdy wychodzi na dwór, przed sklepem stoi już Heniek i jego kumpel Rysiek, z petami przyklejonymi do swoich zarośniętych gęb.

– Halina, daj pociągnąć – odzywa się bez przywitania Heniek.

– Spierdalaj, dziadu – odpowiada spokojnie kobieta, stając obok nich i otwierając puszkę. – Może coś wam zostawię na koniec – dodaje po chwili, widząc w ich oczach pragnienie i desperację.

Mężczyźni kończą palić i stoją, niespokojnie spoglądając to na siebie, to na sączącą piwo Halinę. Ta po chwili wypija puszkę i oddaje końcówkę Heńkowi.

– Byście się wzięli za jakąś robotę albo, kurwa, coś. Sępicie tylko wciąż – opieprza ich kobieta, spoglądając na tę parę z pogardą. – Pierdolę was, idę sobie – mówi po chwili i odchodzi w stronę swojego bloku.

Heniek z Ryśkiem pozwalają tak do siebie mówić, nie mają wyjścia. Kiedyś, w latach 90. jeździli razem do Niemiec na wystawki. Ściągali do kraju zepsute kuchenki, odkurzacze i żelazka. Naprawiali je i sprzedawali po znajomych. Dobrze im się powodziło. Nie to co teraz. Obaj są na niskich rentach inwalidzkich, które ledwo wystarczają na opłaty.

– Chodź, przejdziemy się po rewirze, może jakieś pety znajdziemy. – Heniek szturcha kolegę i ruszają na obchód.

Ich celem są okoliczne śmietniki i ławki, przy których jest duże prawdopodobieństwo znalezienia niedopałków, niedopitych puszek i butelek. Zawsze chodzą razem i wspólnie też dzielą wszystkie zdobycze. Już po kilku minutach znajdują kilka „skarbów”, wszystko to jednak zbyt mało, żeby kupić coś mocniejszego do picia.

Heniek jest w coraz gorszym humorze. Widać, jak telepie go od wewnątrz. Ciągłe się drapie i gada do siebie pod nosem. Rysiek trzyma się lepiej i spaceruje spokojnie za swoim druhem, wierząc, że ten jak zwykle coś wymyśli i wyratuje ich z opresji. W końcu postanawiają zakotwiczyć pod osiedlową pocztą, skąd mają też niedaleko do sklepu, gdzie kręci się mnóstwo osób. Wstyd nie pozwala im zebrać, ale czekają na okazję, która musi w końcu przyjść.

Po godzinie oczekiwania pod pocztą pojawia siwy i chudy dziadek ubrany w granatową kurtkę. Uśmiecha się wciąż, drepcze wolno i gada coś do siebie. Z ciekawością podchodzi do Heńka, który już z daleka łapie z nim kontakt wzrokowy, wyczuwając szansę.

– Panowie, gdzie tu można kupić ćwiarteczkę? – pyta staruszek, wyjmując portfel pełny banknotów.

– A pan z osiedla? – odzywa się Heniek.

– Nie, przyjechałem tutaj do syna. Panie, tutaj mogę kupić?

– Wie pan co, tutaj nie, ale jak pan da kilka złotych, to my panu kupimy. Niech pan się nie obawia – odpowiada z uśmiechem Heniu.

Starszy mężczyzna zastanawia się chwilę, przygląda mężczyznom, przewraca banknoty i w końcu wyjmuje pięćdziesiąt złotych.

– Pan tu poczeka, zaraz będzie ćwiarteczka – odzywa się Rysiu i uśmiecha się do swojego kolegi, który trzyma już w rękach kasę.

Szybko ruszają do oddalonego o kilkanaście metrów sklepu. Kupują ćwiartkę dla dziadka, a dla siebie pół litra i oranżadę. Postanawiają, że Rysiu poczeka z flaszką za sklepem, a z ćwiartką pójdzie tylko Heniu.

Po dziesięciu minutach siedzą już na murku, popijając darmową wódkę i śmiejąc się ze spotkanego frajera. Do głowy uderza im dzisiejszy fart i dobry alkohol. Są w wyśmienitych nastrojach. Wspominają stare, dobre czasy, gdy byli młodzi i mieli poważanie na tym zasranym osiedlu.

Godzinę później Heniek budzi się z pijackiego zamroczenia. Od razu zauważa, że jest sam i leży na schodach, przy chodniku prowadzącym do jego klatki schodowej. Wierci się niespokojnie, czując, jak betonowe schody wdzierają się w jego schorowany kręgosłup. Widzi też nad sobą twarz jakiegoś mężczyzny. Wpatruje się w nią, ale nie może jej zidentyfikować. Mężczyzna łapie go za ramię i próbuje pociągnąć.

– Zostaw mnie, kurwa, człowieku – syczy Heniek, nie poddając się próbom podniesienia go ze schodów. – Spierdalaj! – krzyczy w końcu i przewraca się na drugi bok, zatracając się ponownie w pijackim śnie.

Stachu codziennie wracając z pracy, zachodzi do osiedlowego sklepu. Pracuje u jednego mechanika, kilka ulic dalej. Ma tam pół etatu na umowie, a resztę dostaje na czarno. Ledwo wystarcza, żeby zapłacić czynsz i jakieś jedzenie. Żona z córką już dawno uciekły od niego. Skończyły się pieniądze i skończyła się miłość. Kiedyś jeździł sporo na „jumę” z chłopakami. Kradli u Niemców perfumy, ciuchy, alkohole, czasami okradali też samochody. Wszystko szło jak świeże bułeczki. Były pieniądze na mieszkanie, sprzęt i dobre życie. Teraz wszystko się skończyło. Takie ciężkie czasy.

Stachu stoi na chodniku i patrzy na pijanego w trupa Heńka. Próbuje go szarpać i pomóc wstać. Ten jednak nie ma siły i ochoty, żeby się podnieść. W końcu, po kilku minutach szarpaniny daje sobie spokój. Zostawia rozłożonego na schodach mężczyznę i idzie do sklepu.

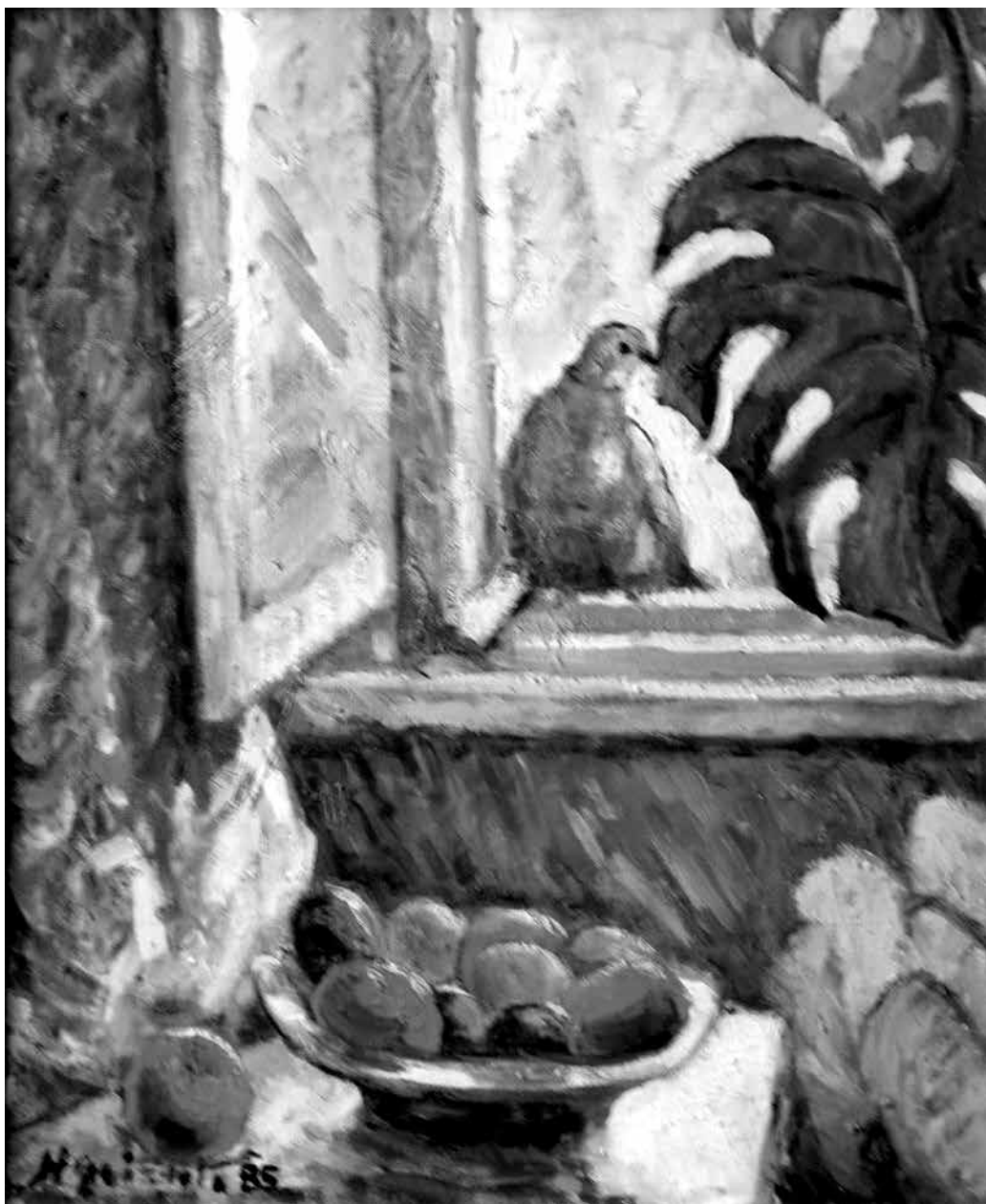
Tak jak zawsze kupuje tylko jedno mocne piwo i wychodzi na zewnątrz. Otwiera puszkę i na stojąco wypija ją duszkiem. Nie pozwala sobie na więcej, nie chce skończyć jak te żule, okupujące od rana monopolowy. Wierzy, że w końcu los się do niego uśmiechnie, coś się polepszy i stanie ponownie na nogi. Może wtedy wróci do niego żona, a córce znów będzie kupował drogie prezenty.

Kończy piwo, ale puszkę nie rzuca na trawnik, jak robi to większość. Kieruje się do oddalonego o dwadzieścia metrów kosza na śmieci. Gdy jest już blisko, rzuca puszkę, ale jak zwykle nie trafia. Podchodzi więc bliżej, łapie puszkę i w końcu wrzuca ją do śmietnika.

Czuje się odrobinę lepiej, lekki szmer w głowie poprawia mu humor. Czuje głód i postanawia szybko pójść i przygotować sobie obiad.

Zapach smażonych na słoninie ziemniaków wypełnia starą kawalerkę. W kuchni nie ma okna, więc Stachu otwiera wszystkie okna. Bierze talerz jedzenia, siada na kanapie i włącza telewizor. Trafia na najnowsze wiadomości. Wcina ziemniaki i ogląda z niesmakiem polityków.

– Pieprzeni złodzieje. Muszę chyba obejrzeć jakiegoś pornosa – mruczy do siebie, kończąc jedzenie i odkładając talerz na stół.



Jesteś

Jesteś światłem poranka
dnia i kartki
na której zapisuję słowa
Błaskiem gwiazd i księżyca
gdy noc kładzie się cieniem
na ziemi

Jesteś płatkami śniegu
z których każdy jest inny
Drogą i ścieżką jesteś
bym mógł iść
i szukać ciszy

w zgiełku świata

Las

1.

W ciszy nocy drzewa wznoszą ramiona do gwiazd
chcą ich dosięgnąć, próbują od wieków

tak pozostanie

2.

Korzenie wędrują w głąb, mocno trzymają w objęciach
ziemię
opłatają każdą grudkę bo potrzebna jest woda
i minerały
by pnie, korony mogły podążać ku światłu
kiedy w doliny nad łąkami w przebłyskach jezior
schodzą zwierzęta a wszystkie piętra lasu
rozśpiewują ptaki
motyle rozkładają skrzydła
lecą do ciepła między słońca kwiatów
koncertują pasikoniki, wtórują im trzmiele
skrzeczy sójka bo wtargnąłem jak intruz
poszukując borowików, rydzów, podgrzybków
dopełniał się kosz i dzień

u schyłku lata

W ogrodzie

W zapomnianym ogrodzie
słuchać rozmowy ptaków
podziwiać owady
kosztując owoce zdzięczalej czereśni
których smaku nie znajdziesz nigdzie
poza tym miejscem
w zapomnianym ogrodzie
gdzie skoszona trawa jest już sianem
– jego aromaty w cieniu starych drzew
ach jakie tam sny
słodkie dni
przeminęły

Nie powrócą

Ze snu

Przemykałem od strony klonu który już ponad trzysta lat
zmaga się z żywiołami czterech pór roku
rozpoznawałem dom przypominając sobie jego zakamarki
od piwnicy po strych i obórkę z piecem obok
zapach i smak chleba ale nie widziałem drewnutni
gdzie gromadziło się drewno na opał gdzie stała dębowa beczka
z kiszonymi ogórkami i swoje miejsce miała
ręczna sieczkarnia do cięcia słomy, lucerny i pokrzyw
i potrzebne sprzęty jak to w gospodarstwie
choć było nieco inaczej i zmieniony widok najbliższy
nowe budowle w ogrodzie i w sadzie
byłem w miejscu gdzie trzeba

Słyszałem jak kobieta której nie znałem
pytała kogoś z domowników – Kto tam idzie
i słyszałem odpowiedź – Ktoś idzie do wsi
Nieznajoma i odpowiadający nie wiedzieli
że tutaj stawiałem pierwsze kroki
a teraz po latach wracam

w tym śnie

Jeden wieczór

Spędź ze mną jeszcze ten jeden wieczór, proszę... Tylko jeden, niezapomniany. Doskonały pod każdym względem. Taki, który zostanie w nas na zawsze...

To przecież zaledwie chwila, mały fragment życia, ale poświęcony tylko dla mnie i właśnie to może uczynić go wyjątkowym.

Tylko pomyśl...

Jest bardzo późne letnie popołudnie, słońce schodzi coraz niżej, choć wciąż jeszcze mocno grzeje. Zapach traw i kwiatów w ogrodzie jest intensywny, ma się wrażenie, że wręcz oblepia wszystko, do czego dotrze. Jesteśmy tym zapachem spowici, rozleniwieni, na granicy odurzenia.

Pszczółki zwabione ulatującą wonią dawno zjedzonego ciasta z owocami pobrzękują niecierpliwie, daremnie dopominając się dostępu do smakołyku. W pustych kieliszkach z osadem słodkiego wina kilka z nich, nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa, delektuje się gronową, wonną, prawie niewidoczną warstwą jeszcze przed chwilą naszej przyjemności.

Krajobraz za drewnianym, niskim i gęstym płotem traci wyrazistość konturów, a tam, gdzie do tej pory zalegały słoneczne plamy, swoje panowanie rozpoczął ożywczy cień. Zieleń z jasnozielonej przeistacza się w głęboką, ciemną, niemal z domieszką czerni. Wszystko po upalnym dniu zaczyna oddychać głębiej, a rozpościerająca się nieopodal łąka szczerze oddaje drogocenną wilgoć, pozwalając swoim mieszkańcom opuścić schronienia, które zajęli, przestraszeni parzącymi dotknięciami słońca. Znowu słychać ptaki, nawołujące, głośnie, beczelnie pewne swoich talentów.

Siedzimy, czekając, aż nadejdzie kolejny akt tego niesamowitego spektaklu. Czas leniwie płynie obok nas, tracąc swoje ramy i ograniczenia.

Pierwsza fala niemal niezauważalnie skradającego się chłodu dotyka naszych odkrytych ramion i bosych stóp, zapowiadając nadciągający wieczór, więc wracamy do domu: ty sięgasz po ciepłe swetry, a ja w tym czasie przygotowuję herbatę. W białych, dużych kubkach napar herbaty dojrzewa, nieśpiesznie zabarwiając wrzątek kolorowymi, tanecznie przenikającymi się smugami uwalnianej esencji.

Wychodzę z herbatą do ogrodu i widzę, że czekasz na mnie. Siadamy razem na huśtawce, nadając jej spokojny, prawie nieodczuwalny rytm. Z przyjemnością nakładam szorstki, wełniany sweter i powoli sączę gorącą i aromatyczną herbatę. Otaczasz mnie ramieniem, a ja wtulam głowę pomiędzy twój bark i policzek.

Jest cicho, rześko i magicznie...

Nad łąką nadciągają pierwsze opary srebrnej mgły, nadając im tajemniczy wygląd szkockich wrzosowisk. Ptaki już umilkły, ale teraz świeższe prześcigają się w swoich koncertach, trąc skrzydełka jak oszalałe.

Czekamy razem, aż gęstniejący zmrok łapczywie zagarnie wszystko, na co jeszcze patrzymy. Powoli i my stajemy się jego częścią, zapadając się w niego bezwolnie.

Niedopita, już zimna herbata w tych ciemnościach wygląda jak złapane w pułapkę fajansowych kubków fragmenty aksamitnego nieba. Może gdyby sięgnąć łyżeczką, udałooby się złapać parę gwiazd?

Wtulam się w ciebie mocno, z całych sił, odpędzając obawę, że w ciemności zgubimy do siebie drogę. Pachniesz spokojem, ciszą i tym wszystkim, co daje mi poczucie, że teraz wszystko jest tak, jak trzeba. Jakby nigdy nie było żadnego „przedtem” ani nadchodzącego „potem”. Jest tylko „tu i teraz”. Krótka, wszystkimi zmysłami odczuwalna chwila absolutnego szczęścia, na którą tak rozpaczliwie się czeka, a która przychodzi w najmniej spodziewanym momencie.

Ale przecież to nie ty, to nie ja. Nas już nie ma i nigdy nie będzie... Może nie było nas wcale? Nie ma łąki, ogrodu, domu, nie ma nawet huśtawki, a wieczór taki jak ten nigdy nam się nie zdarzy...



Zmarznięta ziemia

Lot trzmiela jest niepewny, jeśli tuż przed zimą
wypełźnie z doniczki leżącej na szafie. Zwiastuje
nieszczęście. To pewne, jak śmierć dwudniowych
piskląt, dziobanych przez srokę, po ucieczce starych,
zwłaszcza gdy z litości wyrzucisz z piętra ich dygocące

ciała. Teraz idzie wiosna – najlepsza pora roku w mieście.
Nieopodał sypnęła się kolej, która poprowadzi nas
wszędzie, dokąd sama biegnie. Dzisiaj jeszcze nie wiem,
dokąd idę, jak trzmiel obudzony o złej porze roku,
ale już niedługo będę wiedział, gdzie jestem.

Tam spojrzę ci w oczy (oczy, których nie widzisz,
nie dostrzegą ciebie), lecz co się nie stało,
już się nie wydarzy. Raz się żyje, raz umiera,
sen jest międzyczasem. Ostatnia stacja to pokój
z widokiem na pogrzeb.

Mgła

Szóstego miesiąca noszenia pod sercem przyszłych zwłok zauważyłam nadchodzącą nad miasto lepką mgłę. Tak gęstą, jakby zabrała ze sobą wodę z jeziora stojącego w sąsiedztwie.

Pierwszy raz od pół roku zapaliłam fajkę. Papieros to nie owoc, nie jest zakazany, a małe ciało będące we mnie zużywało małe porcje czasu – pomyślałam. Pięć minut podtrzymywałam ten ogień. Kiedy mgła podeszła pod dom, otworzyłam jej drzwi, a ona

osiadła szczelnie powierzchnie na parterze. Była tak piękna, że szeroko otworzyłam usta, a kilka godzin później lekarze otworzyli mi brzuch. Przyszedłeś. Urodziłeś się z dymu i mgły.

Silny jak pożar i szybko jak rzeka.

Pomiędzy

Człowiek po śmierci jest cięższy niż wcześniej
(choć wierzący w duszę mówią coś o gramach),
pewnie sama śmierć to dodatkowy bagaż.

Wczoraj w obcym mieście, w obcym autobusie
mocowałem się z biletem całe trzy sekundy.
Co kraj, to obyczaj, co miasto, to kasownik.

Nagle kasownik przesunął się znacznie, jak wszyscy
wokół. Kiedy opadł kurz, na pierwszy rzut oka widać,
że dla niektórych nic nie będzie takie jak dawniej –
(to zrozumiałe, nigdy nic nie było takie jak wcześniej).

W domu otworzyłem piwo, usiadłem wygodnie,
otworzyłem okno. Czas pójść do najwyższego
i zejść na ziemię. Pokonałem czterdzieści metrów

w niecałe trzy sekundy.

Grus

*Aleksander, zobaczywszy ogrom swego królestwa,
płakał przez trzy dni z żalu, że wszystko już zdobyte*
Plutarch

Trzeba nauczyć się tańca, żeby wiedzieć,
że czasem nie warto tańczyć, jak inni zagrają,
jednak niekiedy nawet najlepsi, nadeptnięci

w tańcu wyskakują z butów. Lee Richardson
przegrywa start, ale leci dalej, jak żuraw,
w swój ostatni lot, bez szansy na powrót.

Na kolejnych okrążeniach trudno dostrzec –
odjeżdżał czy wracał. W końcu odjechał,
ale już nie wrócił. W Hastings rozsypał się na wietrze,

jak szpryca.

Prozy

Dzień zaczął się od niespodzianki. Nie nowym wierszem, co byłoby czymś świetnym, gdyby okazał się wysokiej miary, lecz tym, że z samego rana, tuż po otwarciu swojego warsztatu, mechanik samochodowy (w Zawadzie) gratisowo naprawił w moim dwudziestoletnim Oplu Astrze światła mijania, które wysiadły. Pokrzepiło mnie to. I mogłem już jechać bez obawy, że policja wlepi mi mandat. Jednak czyn, a nie słowo – bezinteresowne czyny. Gdybyśmy znacząco byli do nich zdolni, mogłyby w przestrzeni międzyludzkiej sprawić wiele dobrego. Inaczej mówiąc – tak niewiele trzeba. Potem ubrałem się w stare rzeczy, łachy, podarty sweter, nieco przepoconą koszulę, znoszoną czapkę, podarte, wybrudzone robocze spodnie. Buty na nogi. I wcześniej, mimo kwietniowego zimna, ruszyłem do ogrodu, by pobrudzić ziemią ręce. Szarża zielska, traw, pokrzyw, dziczenie drzew i krzewów przybrały na sile. Tak ma się rzecz z ogrodami. Można się nimi fascynować i je oglądać i o nich czytać, myśleć na rozmaite sposoby, ale trzeba też pamiętać, że w ich kształt wpisany jest ogromny wysiłek. Człowiecza myśl i dusza. Płynie stąd nauka, której nie lubimy. Wymagają nieustannego (wszystko wymaga) kształtowania, dbałości, pielęgnacji. Ostatnio jednak utrwała się mentalność, żeby dać jak najmniej wysiłku, mieć za darmo, łatwo, natychmiast, bez pracy, dostarczone kurierem, w ładnym opakowaniu. Tu i ówdzie jednak ludzie pamiętają o obowiązkach. Szarpie więc darnie, przetrząsam zgnilizny, wycinam gałązki, bolą ręce, ziemię uwalniam od korzeni i widzę, że może być czysta i piękna. Jest rano. Chłód. Dobry moment, gdy słońce wychodzi tuż nad czubki drzew olchowego lasu i przez mgliste powłoki przedziera się żółto-

mleczne jego światło. Ale wieczorem ostra połówka księżycy wysoko nad budzącymi się do życia lipami. Niepokojąca. Połowa kwietnia. Rok temu dni były ciepłe, słoneczne. Mietek Warszawski miał przed sobą, dla siebie, na swoim łożu, zaledwie dwa tygodnie życia.

Żyjemy z dnia na dzień. Tu i teraz. Jakby nie było przeszłości. Szybko się we współczesnych głowach to, co było, anihiluje. Wiadomości i opakowania podlegają zniszczeniu. Nikt już nie je dwudniowego chleba. Wczorajsze gazety są warte wyrzucenia. Świadomość nie nadąza za zmianami, nie wiadomo, jaki ich cel, jaki skutek, co będzie jutro, za co mamy być odpowiedzialni. Ze swoim „tak” albo „nie”. Brak szerszych odniesień. Dzisiaj ważne jedno, jutro co innego, nowe poglądy, reklamy, rozkazy, hasła, strategie, interesy, zalecenia, rzeczy, diametralnie inne w ustach tych samych ludzi, którzy wczoraj głosili swoje pewności i już ich nie głoszą, głoszą nowe pewności. Maszyny cywilizacji dyktują taki bieg. Zmieniają zawartość. Może tak trzeba. Za chwilę wszystko zmieni się. W jakie teraz? Życie. Chwile. Pozbawione przeszłości. Głębi. Namysłu. Dezaktualizujące się rzeczywistości. Na każde spostrzeżenie, rację koloru, znaczenia i przeznaczenia napiera wielość różnych, nowych zdań i emocji. Wrażenie. Oto epoka Internetu. Kwitnie relatywizm. Jest, czego dotąd nie było. Takiego świata jeszcze nie było. Młodziutkie dziewczyny za kierownicami luksusowych aut. Powiększają sobie usta. Ciężary pozornie ramionom odjęte, kłopoty myślom, hierarchie zawieszone, granice przekraczane, człowiek uwolniony, odkrywa potencje, sfery (w które wchodzi) i tam

rozwija rulony swoich (uprawnionych) pomysłów, alternatyw, czuć, istnień oraz wizji i już nie udaje mu się inaczej potwierdzać swego „ja”, cały nurzając się w imaginacjach, w cyfrowych widokach, wirtualnych sensach piękna, śmierci, miłości i rozkoszy itd. Daje się pochłaniać i nimi zniewalać. Klika i uzyskuje szybki efekt. Bez trudu. I zarazem komunikuje się z innymi. Dostępny jest cały Glob. I znowu klika, bo nie umie inaczej funkcjonować. Byleby czymkolwiek zapełnić pustkę. A co będzie, gdy wyłączą prąd? Ale. **Ania Kwapisiewicz-Sevens**, od lat mieszkająca w Belgii, wiedziona szlachetnym pomysłem, zrobiła garść przekładów poezji poetów flamandzkich. Dokonała tego z zapalem i uzyskała dobry efekt. Duża to przygoda czytać rzeczy literackie z innego, choć nie tak odległego, zwłaszcza obecnie, obszaru kulturowego. W rzeczy samej podobne w nich problemy egzystencjalne i rozterki duchowe. Ciemność i światło, marzenia i niepokoje. Pytania o sens egzystencji. Tyle że ujmowane z innego nieco punktu widzenia. Z innego okna Europy.

Wiosna. Gniją liście, zalegają. Wilgotny zapach. Słysząc mowę ptaków. Trawy weszły w miejsca kwiatów i warzyw. Róże kolcami ranią ręce. Uporałem się. Trzeba iść powoli i ostrożnie wyrywać i ciąć, i tak podążać do celu. Piszę do B. D. z dobrą intencją i pocieszeniem, po przeczytaniu jej wierszy, że jest poetką. Ale B. D. z powagą odpowiada mi, że brak jej iskry do tworzenia. Od iskry wszystko się zaczyna. Tak. Iskra decyduje. Ma rację. Daje ogień. Drogę. Dzisiaj mało kto tak traktuje tę subtelność związaną z tworzeniem. Chyba niedobra to epoka, w której kto cokolwiek napisze (lub namaluje), zaraz rości sobie prawo do bycia artystą. Mamy wolność. Wysyp, a wręcz napór „dzieł”. To sprawia, że marnieje waga prawdziwych dzieł. Co jednak dzisiaj znaczy prawdziwych? Wielu wmawia sobie i innym, po różnych kursach i warsztatach artystycznych, że ich miejsce jest w mediach, galeriach i na salonach. Że to, co robią, oznacza sztukę. Która jest prawdziwa. No tak. Jak rozsądzić? Trzeba się zagłębić, cierpieć, coś wydobyć, coś ukryć i odkryć w słowach. I na dodatek nie być poza układami. Utwory **Beaty Patrycji Klary** są niebanalne. Ostatnio wydała *Obiekty totemiczne*

nagrodzone Lubuskim Wawrzynem Literackim. Niebanalne – to jeszcze nie tak dużo, ale już coś, jakiś w tym przyczółek wartości. Furtka do bycia rozpoznawalną, oryginalną w swoim rytmie, tematach, fascynacjach, detalach, obsesjach itp. I w epatacjach, które mają przykuwać uwagę czytelnika. Byleby nie stało się to fetyszem, manierą, jedynym punktem dojścia. Różnym celom poezja służy, do różnych zadań jest powołana. Tło magiczne, totemiczne – nie do odrzucenia, ale czasami może przeszkadzać. Jak w każdej sztuce, dzieło winno być świadectwem, śladem osobistej prawdy (tu sporo trzeba się napocić), korespondującej z doświadczeniem podmiotowym, które jak linie papilarne pozwalają identyfikować rzeczywistość duchową twórcy. Czy taka jest książka Klary? **Władek Łazuka** wydał nakładem Biblioteki w Gorzowie okazały zbiór wierszy *Chwila z kosem*. Ładnie edytorsko zrobiony. Jest cała jego poezja zanurzona w naturze, „z dala od zgiełku świata”. W niej poetycko autor żyje i znajduje swoje duchowe racje, dla niego autentyczne, które jako poeta pielęgnuje. Między podmiotem lirycznym a przyrodą zdaje się nie być rozdziewku. Poetyckie zmaganie ma na celu wyrażenie sakralności natury. Jak np. w wierszu *Biel krajobrazu*, która (ta „biel”) skłania poetę do odłożenia „kartki i ołówka”, „żeby nie zranić” jej literackim gestem. Sporo w tej książce pięknych utworów, takich jak *Lato*, które (w wierszu) jest znakomitą, wysoką racją istnienia, więc „nic więcej nie trzeba”. Subtelne to wiersze, nie narzuca się nimi poeta, który ceni ciszę. Tylko stara się istnieniu dać poetycką pochwałę. I raczej wyrazić jakąś część swojego rozumienia i współistnienia. W zwyczajności opisów i obrazów, w panowaniu nad słowem daje o sobie znać dojrzałość. A skoro Gorzów, to muszę zauważyć, że dziwny jest w treści i w intencjach w „Pegazie Lubuskim” (nr 65) tekst „Od red. nac.”. Już nie te czasy, Irku, żeby niemal nakazywać poetom, co pisać należy. I tak to zbliżył się wieczór. **Adam (Bągiński)** – też poniekąd przyrodnik – dał mi (dzisiaj) piękną, nasyconą poezją akwarelę. Owoc jego metafizycznych kontemplacji. Jest w nią wpisany fakt artystyczny, który wiedzie do uniwersalnych miar i wizji przestrzeni kosmicznej duchowości. Adam ma tę drogę już ustaloną, wielokrotnie potwierdzoną.

Wielu nie zdaje sobie sprawy z jej wagi. Albo woła innego rodzaju malarstwo. Takie, które wystawione jest na ryzyko kontaktu z konkretną rzeczywistością. Oglądam akwarelę w ten wiosenny wieczór. Lubię te nasycone barwy. Warto pomyśleć, jakie piękno jest w stanie nami zafascynować, przyciągając do wysokiego stanu urzeczona, zafascynowania i pewnością jego wysokich znaczeń. I też jakie przerażenie i okropieństwo ludzkich czynów, cierpień i zdarzeń zdoła poruszyć sfery człowieczej wrażliwości. Piękno, piękno, nadziemskie jego tonacje. Malarstwo powietrza i chmur. A gdzie twarze, ręce, oczy ludzi... Trudy codziennego życia, które także dodają dziełom sztuki głębię i ciężar prawdy? A z Adasiem to byliśmy w czerwcu w Norwidzie, na promocji kolejnej książki **Wojtki Śmigielskiej** *Śnieżnobiałe wiśnie*, obficie ilustrowanej Hrisulidisem, wydanej przez Pro Libris. Był to ważny dla poety dzień. Wszystkie te wiersze, często kilkustronicowe, są bardzo osobiste. Idą „Ku tej jedynej o której wiem”. Eksplorują intensywnie, rytmicznie, wspomagane dygresjami literackimi (Asnyk, Broniewski, Mickiewicz), podmiotowe wnętrza, w którym na równi gra erotyka, doświadczenia z kobietami i sprawy życia publicznego. Świetnie Małgosia to spotkanie (w istocie rozmowę) z autorem poprowadziła. Wina nie dało się potem prawie wcale napić, bo dzisiaj wszyscy przyjeżdżają autami. Dało się tylko wręczyć Mirce piękny, zielony, duży klonowy liść. Znak dnia. I znak lasu pod Zieloną Górą. Ale to już inna „Bajka”.

Ryndak (Zbigniew), ur. 17 marca 1935. Prozaik – autor kilku powieści oraz zbioru felietonów: *Drugi brzeg miłości*, *Góry i doliny*, *Czarne anioły* i in. W dawnym czasie jedyny tutaj autentyczny, z krwi i kości, narracyjny literat. Jego twarda, realistyczna proza, pokazująca prowincję, ludzi bez retuszu, czasami chropawa, miejscami ostra, przysporzyć mu miała podobno nawet niejakich problemów. Ale to już odległa przeszłość. O sobie tak pisze: „Wychowany zostałem w kulturze porządku, punktualności, gospodarności”. Pamiętam lata, kiedy Zbigniewa Ryndaka było w Zielonej Górze pełno. W Empiku, Topazie, Mokce, kawiarniach... W etatowych publikacjach Gazety Lubuskiej (w dziale terenowym pracował),

na zebraniach literackich. Jeździł enerdowskim trabantem, a potem fiatem 126p. Barwna postać, bo przekorna. Zauważalna. Zachowująca dystans do wszystkiego. Jechaliśmy na Jubileusz do sędziwego Wiesława Sautera, a on, prezes miejscowego ZLP, w drugą stronę, na swoje gdzieś z czytelnikami w powiatowym miasteczku (lub w GS-sie) spotkanie autorskie. Które mu ktoś z „Białego Domu” przy ulicy Westerplatte podobno podrzucił. I on to bez wahania łknął. A przecież nie był partyjny. W każdym słowie i w geście wyrazisty. Po swojemu dowcipny. Lubił czuć się pisarzem. Był beneficjentem awansu społecznego. Cieszyła go osiągnięta pozycja. Starał się z dużym przekąsem oraz uśmiechem, ironicznie, trochę prześmiewczo, zwłaszcza o kolegach literatach, snuć swoje opowieści. Szkoda, że nie napisał środowiskowej powieści. Czytałoby się z zainteresowaniem. A zorientowany był w szczegółach. Anegdociarz. Kiedyś w felietonie *Na gorąco* o elitach zielonogórskich napisał: „Jelita”. Należało być ostrożnym w jego towarzystwie, gdyż co się powiedziało, zanadto prywatnie i szczerze, potrafił zaraz przytoczyć, podając oczywiście nazwisko rozmówcy. To był jego żywioł. Wbić szpilkę. Zamieszać. Zawsze nienagannie ubrany, zadbane, z Grundigiem pod pachą, jego głos w jednolitym tonie. Ostentacyjnie szpanował, pałac kultowe w owym czasie papierosy Marlboro. Powściągliwy. Jakby nie cały się odśaniał, bo nie chciał lub nie potrafił. Nigdy chyba nie używał głosu w mocniejszej tonacji. Kiedy odeszła od niego żona (z jakimś bokserem z Poznania), przy okazji opróżniając mieszkanie z czego cenniejszego tylko się dało, np. dzieł sztuki, a także (podobno) zawartości konta, to następnego dnia kolegów i znajomych, w redakcji lub na ulicy, o tym informował. Taki miał sposób na odreagowanie stresu? Czasami go odwiedzałem w jego redakcyjnym pokoiku, nie miał czasu, siedział za maszyną do pisania, pisał, co miał pisać dla uzyskania wierszówki i z obowiązku, ale bywało, że opowiadał o swoich rewelacjach, znajomościach, np. z Andrzejem Brychtem (autorem *Raportu z Monachium*), z którym się kumplował. Uporządkowany, żył (żyje) regularnym rytmem, był na ustach wielu. Ryndak był, Ryndak powiedział, pisze nową powieść itp. Mówiło się o nim. Dlatego, że o wszystkim miał

i głosił swoje zdanie, często kontrowersyjne. Teraz też różnorakie zdania obwieszcza na swoim blogu. A to zawsze zaciekawia. A potem nagle, gdy osiągnął emeryturę, zniknął. Przestał publicznie się pokazywać, nie przychodzi już na żadne spotkania, zebrania literackie, nie ma z nikim kontaktu. Tak się jego życie zmieniło. Jego pasją, która dała mu podobno niezłe pieniądze, było prowadzenie biura matrymonialnego. Więc wyłączył się Zbigniew Ryndak z wszelakich kontaktów ze środowiskiem literackim. Ale. Kilka dni temu dzwoni Adam i powiada, spotkałem na deptaku Ryndaka. Wyobraź sobie. Trzyma się dobrze. Ma 81 lat. Podążył do apteki. Nie tylko pisze, ale i gdzieś w Belgii podobno wydają mu książki, które rozprowadzane są po całym świecie. Przysyłają nawet honoraria. Jak duże, nie wiadomo. Zdumiewające to, jakby nie patrzeć. No i zaczęło się opowiadanie, jak to chodzili do Palmiarni. Wybierali stolik. Ryndak miał gest, fundował herbatę. Wyjmował legitymację pisarską, opowiadając poznanym paniom, jaki to literacki świat on reprezentuje, a na dodatek otwierał legitymację dziennikarską. Chciał imponować. Pytam: i co, działało to na dziewczyny? Adam odpowiada: działało. Nie rozumiałem, skąd oni dwaj przy jednym stoliku. Co takiego mieli wspólnego. A mieli. Właśnie to, że obaj są po szkołach spożywczych. Adam trafił na praktykę (staż) na rok do cukrowni Chybie koło Cieszyna, a Ryndak na kilka lat do krochmalni w Sułęczynie. Obaj wyrwali się z tych prowincji w inne (artystyczne) światy. Trafili do Zielonej Góry. Wszystko to jest już legendą.

Szyłkin (Henryk), ur. 1 listopada 1928 r. w Santoce (mitologicznej, wielokrotnie przywoływanej w wierszach) na Wileńszczyźnie. Poeta, tłumacz po-

ezji, prozaik. Jeden z tych, który tworzyli w połowie lat 50. (obok Janusza Koniusza, Tadeusza Jasińskiego, Zdzisława Morawskiego) podwaliny i mit lokalnego życia literackiego. Obecnie najstarszy, żyjący lubuski literat. Niegdyś bardzo aktywny, w oddziale ZLP poważnie pełnił funkcję skarbnika. Jego dar organizacyjny był przydatny i skuteczny przy realizacji imprez pisarskich, np. spotkań autorskich. To, że wiele rzeczy dochodziło do skutku, to zasługa osobistej pracowitości i wieloletniej jego współpracy z Januszem Koniuszem. Po debiucie książkowym (*Kolory wzruszeń*, 1958) wydawał swoje zbiory sukcesywnie. Ostatnia jego książka *Santoka* ukazała się w 2008 r. Po tej aktywności zielonogórski autor zamilkł, a przy tym został nieco zapomniany. Można rzec, że jest poezja Szyłkina w swej strukturze lirycznej raczej prosta, co nie znaczy, że wolna od mocnych doznań. Złożyły się na jej treść wzruszenia osobiste, egzystencjalne, uczuciowe. Potem przyszedł etap apokaliptyczny, w którym poeta wieści zagładę i grozę katastrofy cywilizacji w globalnym ujęciu. Nie bez wpływu był tu stan wojenny. A na koniec zaznaczył się w kilku jego książkach etap powrotu – sentymentalny, liryczny, faktograficzny do osobistej Itaki, Santoki, doliny czystej przyrody, uroczych zakoli Łokai, do krainy dzieciństwa, młodości, którą rokrocznie latem odwiedzał. Dużo tu sielskich krajobrazów, wspomnień dawnego polskiego życia na wileńskich, polskich kresach. Zniszczone ślady dawnego życia po latach poeta opisał. Tu też wątki i odniesienia religijne, patriotyczne i rodzinne spletają się z fascynacjami tamtejszą przyrodą. Są to ważne jego wiersze, często sonety. Poetycki żal zaś autentyczny. I wydaje się, że ten właśnie retrospektywny wysiłek można uznać za spełnienie artystyczne Henryka Szyłkina.

Ucho igielne

Myśl jak nić
przewlekam przez ucho igielne
Myśl jednak urywa się
bezmyślnie
Bezmyślnie... Nie!
Bagaż spraw pozostawiam
by myśli nie pętił
by myśli nie urwał
Na drodze życia przystajemy
wchodzimy w ciszę
ogarnia nas pokój
To tylko miłość dotyka

Zielona Góra, sierpień 2015

A niebo mi podpowiada

*Zmierzam tam, gdzie jest pięknie
I gdzie mierzę siłę z siłami natury*

Clark Little

Młody człowiek ma na stopach duże trapiery
Wygnaniec, wędrowiec
Dobry on czy mądry
Kto to wie...

Słuchać młodzieńcze serce i pytanie o poezję
Dniem szedł do źródła u schyłku dnia
Stanął pod czarną górą
żegna słońce, spogląda w niebo

Niebo pokazało mu chmurę
jedynaczkę rozświetloną
Jakby ubóstwioną
Pełną słońca
W kształcie pióra
Nazwał ją imieniem poetki

Pod stopą miał matkę Ziemię, obok matkę Polkę
Obie pyta jak żyć by widzieć i słyszeć

Niebo mu podpowiada też!
Ugiął kolana by zawiązać buty sobie i swojej matce.

+18, czyli raczej dla dorosłych

Ostatnio spotkałem się ze stwierdzeniem, że w piśmiennictwie, które uprawiam, zbyt wiele jest wulgaryzmów. Jest w tym ziarno prawdy. Wszak nieraz w tekście rzuci się jakąś k...ą, ch...m czy sk.....m, jednak bez przesady. Z tego co się orientuję, w dotychczas opublikowanych przeze mnie wierszach (tomiki, antologie, almanachy, wydawnictwa pokonkursowe, prasa) nie nadużywam wulgaryzmów. Ostre przekleństwa powinienem policzyć na palcach obu rąk. Nieco gorzej jest z tekstami prozatorskimi. W tym przypadku raczej liczenia bym się nie podjął (zawsze byłem kiepski z matematyki, co mogą potwierdzić moje nauczycielki, które darzyłem ogromną sympatią w odróżnieniu od przedmiotu, którego uczyły). Ten język jest językiem bohaterów moich prozatorskich próbek. Ich jednak trudno oskarżyć. Więc jako autorowi nie pozostaje mi nic innego, jak całą winę wziąć na siebie.

Nie ja pierwszy i nie ostatni. Już Janowi Chryzostomowi Paskowi w *Pamiętnikach* pisanych pod koniec XVII wieku zdarzało się rzucić mięsem. Z ust jednego z hetmanów (nie pamiętam już którego, *Pamiętniki* Paska czytałem ponad dwadzieścia lat temu) padły słowa: „Dawać tego sk.....a”. Dotyczyły one Kmicica (pierwowzór Andrzeja Kmicica z *Potopu* Henryka Sienkiewicza), który po powrocie ze zwiadu biegał po majdanie, siejąc panikę wśród żołnierzy przerażonych potęgą nadciągających Moskali. Jak wynika z przekazu Paska, najbardziej krwisty bohater Sienkiewiczowskiej *Trylogii* nie zawsze był bohaterem. Podobnym epitetem Pasek określił księcia Siedmiogrodu Jerzego Rakoczego, który od południa najechał ziemie Rzeczypospolitej i wspólnie z Karolem Gustawem i Radziwiłłami dążył do rozbioru Polski.

Pamiętam, wraz z kumplami (byliśmy w ósmej klasie) słuchaliśmy z wypiekami na twarzy nagranej na kasecie wyprodukowanej w gorzowskim Stilonie XIII księgi *Pana Tadeusza* (poetycki majstersztyk) oraz głupkowatej w treści (tak to oceniam z perspektywy czasu) bajeczki o księżniczce o nimfomańskich skłonnościach. Autorstwo obu sprośnych naszpikowanych przekleństwami tekstów przypisuje się czołowemu polskiemu romantykowi Aleksandrowi Fredrze, znanemu z wielu wybitnych dzieł, które za moich czasów były w kanonie lektur szkolnych. Spostrzegłem, że wielu moich kolegów miało problemy z nauczeniem się na pamięć dwudziestu paru wersów inwokacji naszej epopei narodowej, z ogromnym wysiłkiem dukając je przy tablicy (wówczas był chyba taki wymóg, by każdy kończący szkołę podstawową znał wstęp do jednego z najwybitniejszych dzieł polskiej literatury), jednak do perfekcji opanowali XIII Księgę nie mieszczącą się nawet w lekturach nadobowiązkowych, której wybrane fragmenty na zawołanie recytowali bez zająknięcia. Może po prostu byli słuchowcami i łatwiej przyswajali treść, słysząc ją niż widząc (patrz: czytając). W tych czasach nie było jeszcze legalnych audiobooków. Przynajmniej nie przypominam sobie o takich. Ten na stilonowskiej kasecie był raczej nielegalny.

Mocne przekleństwa znaleźć można w prozie trzech muszkieterów pokolenia współczesności, czyli Marka Nowakowskiego, Marka Hłaski oraz Andrzeja Brychta. Jednak biorąc pod uwagę, że bohaterowie ich twórczości reprezentują tak zwany margines społeczny, zwany wówczas lumpenproletariatem, czyli drobnych przestępców, ludzi od szemranych interesów, bywalców melin, tanie dziwki i innego

rodzaju niebieskie ptaki, ogromną przesadą byłoby stwierdzenie, że ich twórczość epatuje wulgarnością językową. W liczącym niemal sto stron *Księżu Nocy* Nowakowskiego ostrych przekleństw jest zaledwie kilka. Podobnie jest z twórczością najwybitniejszego pisarza nurtu chłopskiego w literaturze polskiej Wiesława Myślińskiego (dwukrotnie nagrodzony Nagrodą Nike, a ostatnio Literacką Nagrodą Miasta Warszawy). W jego bodajże najlepszym dziele *Kamień na kamieniu* główny bohater zbulwersowany do granic wytrzymałości haniebnym poniżeniem brata wykrzykuje do sprawcy jego poniżenia: „Ty, (tu pada ostre przekleństwo oznaczające syna kobiety trudniącej się nierządem) Skoblu!”. W filmowej adaptacji tej powieści w reżyserii Ryszarda Bera z roku 1995 przekleństwo jest w nieco złagodzonej formie i oznacza potomka rodzaju męskiego psa rodzaju żeńskiego, co powoduje pomniejszenie ekspresji i ładunku emocjonalnego, przez co scena nie jest już tak przekonująca i autentyczna jak w książce.

Naszpikowana przekleństwami jest debiutancka książka Doroty Maślowskiej (uważanej za największe objawienie ostatnich lat w polskiej literaturze) *Wojna polsko-ruska pod flagą białą-czerwoną*, w której autorka przybliżyła subkulturę blockersów. Książki nie czytałem, oglądałem film na podstawie tej książki w reżyserii Xawerego Żuławskiego (genialna rola Borysa Szyca). Bez wątplenia mogę stwierdzić, że pod względem rzucanego mięsa dorównuje on filmom Władysława Pasikowskiego czy Wojciecha Smarzowskiego.

Podobnie jest z tekstami piosenek. Nie będę tu przytaczał hip-hopu, bo w tym nie siedzę. Kilkanaście lat temu wpadła mi w ręce kasetka hip-hopowej

grupy z Poznania, w tekstach której stosunek słów niecenzuralnych do tak zwanych cenzuralnych wynosił mniej więcej jeden do jednego. Mięsem lubi też nieraz sobie rzucić Kazik (na tym polega urok jego twórczości), zarówno w piosenkach do własnych tekstów, jak i tych napisanych przez swojego ojca Stanisława Staszewskiego. Mocne słowa można też znaleźć w twórczości nieodżałowanego Jacka Kaczmarskiego czy satyrycznych piosenkach Krzysztofa Daukszewicza. Tego typu przykłady zapewne można by mnożyć. Jednak ten tekst, który z zamierzenia miał być felietonem, nieco się rozrósł, a nie chciałbym zanudzać potencjalnych czytelników.

Co by nie pisać o wulgaryzmach, były, są i zapewne będą elementem naszego języka. Język ulicy, który wdarł się do literatury (niekoniecznie pięknej), ciągle ewoluuje. Jest żywy i wulgarny, ale bywa też i uniwersalny. Weźmy na przykład taki uznawany za wulgarny czasownik pierdo..ć. Powszechnie oznacza gadanie głupot. Wystarczy jednak dodać mu kilka przedrostków czy przyrostków, dzięki czemu będzie można określić wiele podstawowych czynności. Tak na przykład z przedrostkiem za- znaczy tyle co ukraść (coś) lub uderzyć (w coś). Z przedrostkiem u-, uciąć, obciąć (coś np. ucho, rękaw), oblać (kogoś na egzaminie). Z przedrostkiem o-, zbesztać, zrugać (kogoś) lub sprzedać. Z przedrostkiem wy-, wyrzucić. Z przedrostkiem w-, zjeść, ewentualnie wpaść (w coś, na przykład w kałużę). Z przedrostkiem prze-, przegrać, przepuścić, przetrwonić. Z zaimkiem się, oznacza guzdrać się, robić coś wolno. I tak niemal można zrobić z każdym wulgaryzmem, gdyż większość z nich cechuje się niezwykłą pojemnością semantyczną. No cóż, wyrażenia poprawne i dobrze ułożone mogą im tylko pozazdrościć.

Łąka była niska, zielona
rzeka płynęła dołem
śmieci zagradzały drogę kołom

córka Kapuletów
schodziła niżej, szukając śladów banity
wędkarze rozkładali ręce
nikt cię tu nie widział
nawet Szymon z Cyreny
który za butelkę wody
wziął godną zapłatę
zabierając ci portfel i jeszcze nieznoszoną kurtkę
szukała cię w zaroślach gdzie wiją gniazda nieczekane ptaki
odgarniała gałęzie
pajęczyny
nawoływała zaklinała zamykała oczy
nadaremno

wracając pomyliła drogę
po schodach gubiła buty
w wąskich uliczkach
wbiegała pod słońce
oślepiąca
szukała oddechu zabójcy banity odszczepieńca

gotowa wybaczyć
czekała

Powracający

Czasami mu się śnią
(nie tylko Scylla i Charybda)
tańczące szczury
biegają
po białych łąkach
za głosem
rozkwitających dziewcząt

w ich oczach
kołyszą się tonące statki
na których on
wsluchany w kłamliwe nuty
wypatruje ładu

zapisuje imiona syren
woła je imionami bogiń

Itaką nazywa każde
miejsce
gdzie witają go
słodkim lotosem

Mistrzyni słowa

Pochłonięta stukaniem w klawiaturę komputera prawie nie zauważałam przechodzących obok ludzi. Niektórzy się zatrzymywali, zaciekawieni tym, co wyświetlało się na dużym ekranie, zainstalowanym nad moim miejscem pracy.

- Eee, to jakaś reklama jest.
- Scenę rozłożyli, kable, zaraz koncert tu będzie.
- Chyba nie, bo jakaś laska tu siedzi i pisze.
- Laptopy reklamuje.

W tle słychać muzykę z głośników i płacz dzieci. Przyciszony szelest, jaki zawsze słychać, kiedy obok przechodzą ludzie. Urywki rozmów, śmiech i podniesione głosy. Typowe sobotnie przedpołudnie w centrum handlowym. Z czasem coraz więcej ludzi i rosnący gwar.

Muszę się skupić i zająć pisaniem opowiadania. Mam w umowie stronę na godzinę, docelowo osiem stron znormalizowanego maszynopisu. Jest na razie pierwsza strona, nawet jestem zadowolona, ale robię sobie przerwę, żeby się zastanowić, co dalej. Łyk kawy, już przestygłej. Marzę o tym, żeby choć na chwilę wstać z krzesła i pochodzić. Pisząc u siebie w domu, zawsze można podejść do okna, wyjść do kuchni, wyjąć coś z lodówki albo wziąć coś do picia. Kiedy pisanie nie idzie, można zrobić pranie, chwycić za odkurzacz albo uporządkować książki na półkach. Albo odpowiedzieć na przedawnione maile.

Ale jestem tutaj i nie ma łożenia, mam siedzieć i pisać. Na przerwę jeszcze za wcześnie. Mogę najwyżej pozaglądać do słowników. Przyniosłam ze sobą papierowe, tylko takie lubię. Dotyk książki i szelest kartek jest obiecujący – może za chwilę wymyślę, co napisać dalej.

Moja chwila przerwy jest chyba nieco za długa, bo podchodzi do mnie menadżer:

- Napisz coś wreszcie, ludzie czekają i robi się nudno.

Wystukuję na chybił trafił dwa zdania i czuję, że w tym miejscu powinien być dialog. To akurat łatwe, więc bez większego zastanowienia klecę krótką wymianę zdań między moimi postaciami. Idę dalej! Coś się zaczyna dziać. Może teraz będzie już łatwiej. Wśród ludzi, którzy stoją dookoła sceny za barierkami, podniósł się lekki szmer.

- Patrz, Jacek, ona coś pisze na klawiaturze i to się tam wyświetla.
- Jakaś reklama. Ale ciekawe, po co ona tak pisze?
- Ja bym chyba nie mogła. Siedzieć tak na scenie, żeby ludzie oglądali.
- A kto to? Z jakiegoś serialu może? Słuchaj, Bożenka, może to ta młoda z *Singielki*? Patrz, taka jakby podobna.
- Nie, tamta nie była taka gruba. I włosy ma inne.
- Jakie buty ma! Nawet za darmo bym takich nie chciała.

– Skąd, to nie jest żaden serial. W Warszawie widziałam, jak kręcą. Cały czas to samo powtarzali, bo się reżyserowi nie podobało. A tu żadnych aktorów nie ma.

– Jak nie robią do telewizji, to po co?

– Eee tam, zrób zdjęcie i idziemy dalej. Słuchaj, muszę jeszcze do tych bluzek zajrzeć. Może jeszcze są te, co widziałam w zeszłym tygodniu.

Powinnam się bardziej postarać, żeby przyciągnąć jak najwięcej osób. Na razie tylko nieliczni przystają pod moją sceną i z zainteresowaniem wpatrują się w ekran. Wrzucam fragment na swoją stronę na Facebooku. Ile będzie polubień? Piszę na ekranie kolejną stronę, a menadżer rozdaje wydruki i kody do pobrania e-booka.

– Promocja, pierwsza strona gratis, następne za dwa złote dziesięć groszy brutto. Tylko dzisiaj! Najnowe opowiadanie Małgorzaty Borskiej, najlepiej sprzedającej się pisarki eventowej. Numer jeden w Polsce! Najwięcej sprzedanych stron! Wkrótce w sprzedaży tom opowiadań napisanych w galeriach handlowych w całej Polsce. Książka papierowa albo e-book!

– Ale się reklamuje. Myśli, że jak zrobi taki show, to od razu wszyscy polecą i kupią jej książki.

– Wszyscy nic tylko piszą. Do uczciwej roboty by się zabrali.

– No, panie, jak roboty nigdzie nie ma, to pisanie zostaje. Taki kraj.

– Lepiej, żeby coś zaśpiewała.

– Jak ona śpiewa, tak jak wygląda, to dzięki bardzo.

– Ale głupota, żeby płacić hajs za coś takiego. Kto to będzie czytał?

Też się zastanawiam. Dawno już pożegnałam się z pomysłami na ambitne książki o wysokich walorach literackich. To nie u nas, gdzie więcej niż połowa ludzi nie czyta wcale. Trzeba pisać tak, żeby ludziom się spodobało. A produkt trzeba odpowiednio zareklamować i dotrzeć do odbiorców. Takie literackie eventy są przyszłościowe, wystarczy się postarać o dobrego menadżera i wykreować wydarzenie.

– Mama, zrobisz zdjęcie?

– Ale migiem, bo już nie ma czasu. Tata będzie czekał.

– Obiecałaś mi, że pójdziemy na lody!

– Krycha, no gdzie ty się podziewasz. Włazisz do sklepu i nawet nie powiesz, że idziesz.



Królowa kosmosu

nie lubi ludzi
to widzieć jak żyje w świecie
bohaterów opisanych od początku
do przewidywalności

okrywa się historiami
jak letnią sukienką sprawia
wrażenie lekkości

zapisuje swoje życiorysy pomiędzy
eliotami ulissesami dziewczynkami
już bez zapalek
najbardziej samotnych wśród
nieżyjących jak i ona

16

nawet kanary nie jeżdżą tym
autobusem. pętla jest daleko
za jakimkolwiek miastem.
mocno powiedziane że to dzielnica
patologii. sfera wykluczonych
na zawsze. tam ma najwięcej koleżanek.

grozi że jeśli nie odwzajemnię miłości
to pójdzie na dziwki. tak je nazywam.
on mówi znajome które dają mu chwilę
bliskości. odpręża się. nie ma jednak
chętnych za tomik wierszy czy czułe
słówka. może pięć stów załatwiłoby
sprawę. ale tych w kieszeni brak.
zostaje sam.

są inne sposoby na ulgę.
są inne sposoby by zabić miłość.
jej przecież nie ma.

Współpraca z redakcją belgijskiego pisma „Gierik & Nieuw Vlaams Tijdschrift”

Pole działań pisma „Pro Libris” wciąż się rozszerza. W 2016 r., dzięki zielonogórskiej poetce Annie Kwapisiewicz-Sevens, zamieszkałej od wielu lat w Belgii podjęliśmy współpracę z pismem „Gierik & Nieuw Vlaams Tijdschrift”. Pismo jest nam bliskie z racji profilu kulturalno-literackiego. Istnieje od listopada 1983 r., założone przez redaktorów Guya Commermana i Erika van Maldera z Flandrii. Ukazuje się w cyklu kwartalnym.

Przez kilka miesięcy rozmawialiśmy, korespondowaliśmy mejlowo, ustalaliśmy warunki współpracy, a przede wszystkim wyłanialiśmy sylwetki i twórczość autorów lubuskich, których zamierzaliśmy przybliżyć zagranicznym odbiorcom. Podobnie nasi belgijscy partnerzy selekcjonowali materiał poetycki rodzimych twórców, których postanowili zaprezentować na łamach „Pro Libris”. Z toczonych rozmów i redakcyjnej

pracy wyłonił się obraz – myślimy – interesujący dla każdej ze stron. „Gierik & Nieuw Vlaams Tijdschrift” zaprezentuje swoim czytelnikom przetłumaczoną na niderlandzki poezję Anny Tokarskiej, Janusza Koniusza, Mieczysława J. Warszawskiego, Czesława Sobkowiaka i Wojciecha Śmigiełskiego. W swoim wyborze kierowaliśmy się chęcią zaprezentowania poetów lubuskich, którzy w znaczący sposób wpłynęli na kulturę regionu. Nasi belgijscy partnerzy z podobną starannością i – jak podejrzewamy – kierując się podobnymi pobudkami, przygotowali wiersze ważnych niderlandzkojęzycznych poetów. W numerze pomieściliśmy wiersze Guya Commermana, Richarda Fokué, Rene Hooyberghsa, Ericka Kili oraz Anny Kwapisiewicz-Sevens. Mają Państwo okazję zapoznać się z nigdy dotąd nie publikowaną w „Pro Libris” poezją belgijską przełożoną na język polski.



Z cyklu *Postrzegania*

Prawda

To kłamstwo, że każdy brzeg jest ocaleniem,
że każdy dzień stworzenia rodził słowo
i jedynie pierwotne ożywa w grotach.
W pieśni marynarzy skarży się latarnia morska,
smak diamentów przypomina już tylko szlachetność,
zranione głosy bredzą w okopach.

Gdzie zdomowiła się prawda, zaczyna się poszukiwanie,
tuż za tym płynie krew, krzepnie po drodze,
przewiewa po nieznanym grobie Federico.
On wiedział, że to się mogło wydarzyć, wiedział więcej
niż to, co ukryte we wszystkich przejrzystych wierszach,
gdzie się nie pojawiał, prześladowało go światło.

To kłamstwo, że nie istnieje prawda.

Jakby

Pisał pieśń na później, nie śpiewała jej.
Kiedy pisał wiersz, pytała, czy to na dziś.
Czasem robił rzeczy, które radowały,
ale i wtedy pozostawała smutna.
Śnił pod małym, kolorowym baldachimem
i to wystarczało, by czynić cuda.

Akurat gdy ściemniało się niebo, budziła się,
nastawiała kawę, siadała, wstawiała.
Robiła tak każdego dnia, jakby go kochała.
Noce stawały się samotniejsze,
pochlebianie przerodziło się w kradzież.
Nie obwiniała nikogo, spoglądała wokoło, widziała niewiele
i nie przeszkadzało jej to, o nic nie pytała, wystarczyło.

Napisał do niej życzliwy list, którego nigdy nie wysłał.

Kolory

Obmawiają się szepcząc, nieśmiały niebieski
rozdziewicza podnieconą żółć, zarumieniona czerwień
ubożeje w smutnym maku.
Kwiaty pachną pocałunkami
ziemi, metafory spokoju
i szelest w łąkach zbóż.

Przestrzelone skrzydło wędrownej czapli
nad śpiącym krajobrazem wydm
w ekstazie przed muzami słońca,
odgłos zachęcających promieni.
W domach śpią ludzie
i śnią docześnie trójwymiarowo.

Kolory stawiają czoła szybkości światła, lekkomyślnie.

(Za)pytania

Jak powstrzymać żal i lęk,
jak głęboka może być bruzda w ziemi i skórze,
czy reguła złotego środka również podoła pięknu?
Jak czcimy to, co nas codziennie otacza,
gdzie piszemy o przemijaniu,
każda doba żąda posiłku, czyż nie?

Gdzie lądują zarozumiałe komety,
dlaczego surowy kamień zawsze leży gdzie indziej
i zaciera pamięć albo wie lepiej?
Czy dzieciństwo może zadziwiać całe życie?
Oko za oko czyni nas widzących ślepymi,
jest klepsydra symbolem czy filozofią?

Jak powstrzymają siarka i sól przemilczenie?

Co nastąpi

Chwyta za gardło
nie odpuszcza
co ma przyjść nadejdzie
co już było przeszło
nie wiesz jak
nie wiesz gdzie.

Lgnie do murów
ropieje w mokro słonej ziemi
sącząc się kwaśno znika
nie wiadomo jak
rozrasta się po domach
więzi odmięśnia
tamy
do kości zgubione
zgniłe.

Nie wiesz jak
godziny upływają z dni
czas gubi swoje miejsce
nie wiesz dokąd
wszystko zmierza
nie wiesz jak.

(Wiersz z tomu: *De grote rokade*, Wydawnictwo P. Leuven, Belgii 2012)

Wielka roszada

Długo po wielkiej roszadzie
pozostaje jedynie nieprzemyślany koniec gry
czarnego o biały
białego o czarny.

Pustoszeją plansze
królowie porzucają
wyniszczony prosty lud
tylko wieże zagrażają.
Perfidna gra
samotnego trwania
krok po kroku
daremnie wypełnia pola

z siłą i wypłowiałą przemocą
aż do upadku wież
i bezbronności królów.
Co pozostaje jest bezsensownym polowaniem

czarnego na czarny
białego na biały
żadnej mocy aby dzielić
żadnej zgody do kupienia.

Podczas gdy miejsca walki gasną
królowie prześladują samych siebie
z wolna
przysuwając się do każdego.

(Wiersz z tomu: *De grote rokade*, Wydawnictwo P. Leuven, Belgii 2012)

Tutaj stoimy

Co wiemy
czym jesteśmy
kto to nazwie.
Bezimiennie zostanie zważone
na szali czasu.
Kłamstwo do prawdy pochylone
zmyślone rytuały
mordy w imieniu
Boga krwi i ziemi.
Kto to nazwie?

Tylko firmament jest niezmierny
odbity w nas samych
beziemienny ślepy i nieforemny
przybity do ziemi
jak nów księżyca
ukrywającego swoje światło
ze strachu przed cieniem.
Pustka gubi się w pustce
czołgając się szuka schronienia
aby istnieć.

Jakby brak ciał dopełniał przestrzeń
jakby czas o nas zapomniał
zamarły zegary.
I nic nie może się zmienić
nic więcej powstać.
Tutaj gdzie wszystkie linie
zostały już wyznaczone
początek i koniec
niepodzielnie uwięziony w kłatkach
niedotykalnie trwale brzmiący.

Tutaj stoimy jesteśmy.
Tu pieczętujemy swój los.
Nic już nie zginie
wszystko więc może przeminąć.
Tak oto zostanie niedomknięta wieczność
i musimy dźwigać gwiazdy
podczas gdy światło
wije swoją pajęczynę
i ogłuszająco lśni
na niezmierzonym firmamencie.

(Wiersz z tomu: *Hier staan wij*, Wydawnictwo P. Leuven, België 2015)

Ponumerowane ciało

Ponumerowane ciało
ból jak cyfra
głęboko w skórze
wypalony znak.

Geometrycznie poukładany
poliniowany w rzędach
ponumerowane ciało
czeka wypatruje
aż zostanie wywołane
aż ktoś je sprowadzi
do bezimiennej liczby naturalnej.

Będzie policzone
jedno po drugim
pierwsze i ostatnie
zebrane i rozparcelowane
w beczce bez dna
w ciemnej materii
spętane.

Tonie jak wygaszone słońce
w zapadającym zmierzchu.
Ponumerowane ciało
nie liczy się.

Każdy horyzont

Ognisty punkt
wędrowiec zachodzącego wieczoru
poniżej horyzontu daleki dźwięk tłumi
czerwień
gdzieś – później
gorliwiec strażnik
biegną ślepo do
nic

Nieskończony

dusza nie jest potrzebna
w świecie
jest kamieniem

powiedzmy
że głęboko w świecie
jest dobrze

Jeszcze

Pociąg zatrzymał się
na granicy, musiały przefrunąć
dwa motyle
było cicho, tylko
szept współczesnych
kobiet
wszystko musiało się jeszcze wydarzyć
między stacjami
i głos czekających
omijająco
rzucał się w oczy

To

proszę państwa
o uwagę dla pustki
wyznaję
mieszkamy w snach
w klejnotach które świecą
ty zaś dziękuj
pytaj

Metro

Na dziś wystarczy,
ma już dość swojej prawej nogi.
Leży odkręcona obok, zielony
plastik, pod osłoną jamy metra.

Nie musi więcej żebrać.
Ogłuchł w samym sobie,
butelka jeszcze w ręce. Wygląda
na mleko, ale tak nie jest.
Zamieszkuje tu codziennie,
oczy zamknięte, wirująca w koło wyspa,
tysiące, które dla niego
nie istnieją. Każdego dnia

nachodzi mnie myśl: dlaczego
nikt jeszcze nie ukradł tej nogi, czy
wydarzy się to kiedyś, po prostu
zostanie strącona z ruchomych schodów,

w metro przez wrzeszczących chuliganów
od zamroczenia do zamroczenia,
ze śladami walki na twarzy,
triumfującą flagą
na przodzie?

poranne dzień dobry

jestem wdzięczny pijanej kobiecie
która zakłóciła w nocy mój sen.
śnię
wciąż od nowa
o niepowodzeniu, potykając się
o barykady niemocy.

jest czwarta rano
a ona biegnie krzycząc przez Hoogstraat:
zachrypła ze złości czy
beznadziejnej bezsilności
obrażając noc.

kogo jeszcze zbudziła, zrodziła,
uwolniła z marzeń
zachęciła do napisania ody?

kos który krzyczał radośnie o poranku
zauważył pomyłkę, zaszył się zmieszany
w swoim gnieździe.

Placyk

Najpierw myślę: Serge Gainsbourg
powrócił, papieros, wodnobiałe
łydki, sandały, ciemnożółty
nieprzemakalny płaszcz.

Jest piąta rano, kiedy patrzę
nagi z okna. To budzi się mój placyk
nie Paryż.

Pierwsze ciepło – wrzesień
– kobieta pcha wózek dziecięcy
jak jakiś chodzik na kółkach.

Pomrukuje swoim szamańskim
niedosłyszane slogany nieszczęść:
je vais, je vais et je viens.

Trzech pasażerów, mlecznobiałe pieski
z jednego miotu patrzą na mnie
zdziwione.

Placyk (2)

Placyk jeszcze sztywny z zimna, ale spójrz:
kreska rzeki Schelde już nie jest szara,
czterech mężczyzn bez czapek, rower
z „diamentowymi” szprychami.

czy to już to co długo wyczekiwane?
jeszcze nie, to luty.
w receptorze oka krajobrazy
z Etel Adnan, wiosna w Libanie:

to jest dopiero wiosna. w piachu wokół
anonimowego drzewa zwinął się pies,
to jego ulubione miejsce. młody
biedak, dopiero co przegnany, ponieważ się

na chodniku, szemrze francuską
mowę żebraków, szary jak worek na śmieci
zjednoczył się z ponurym kamieniem
w którym jeszcze drzemie nocny przymrozek.

Tłumaczenie: **Anna Kwapisiewicz-Sevens**
Konsultacje literackie: **Agnieszka Wilanowska-Daniels**

do zdjęcia K. Abraheem (Miniemenkerk w Brukseli)

Normalnie żyć
jak –

władać językiem
bez posiadania własnego kraju
jak –

zostać mieszkać pracować
ze znakiem kary i biedy
o wodzie i chlebie

podwójne *Ordo minimorum*

kloszardzi od Franciszka z Paoli
nie wpuszczeni na wyspę
do portu w Mesynie
nie wysłuchani
najmniejsi
z małych

Na skale ołtarza
pod figurą Piety
ofiarowują samych siebie
zamyśleni w śnie
o cudzie świata

Wieża kościelna w N.

Jest jak przyklejona
do szaroniebieskiej smugi chmury
gotycka piramida
akcent różu przebija
blaszanego koguta
pieje
stojąc na krzyżu

Przy Passantenhaven
właściciele mobilhomów uprzątają krzesła
na których jeszcze przed chwilą
przesiadawali
w marcowym słońcu
wydłużającego się dnia

Dumnie pod prąd przepływa „Lady Night”
z krukiem na dziobie rozgarnia
zmierch
fal

Spotkanie w kawiarence „Szczęście”

poeta
poszukiwał „Szczęścia”
wszedł w eskortie
zdziwiony o
popołudniowej godzinie
w dzień spektaklu

„*Fidelio*”

teatralny rytuał
czułego czasu
świata

przy kawie
ludzie miasta pochyleni
nad gazetami
w „De Standaard” wiara
w czarne lub białe
litery
co wybrać
co jest warte kilku słów
w pośpiechu zaaranżowanej
rozmowy jak przez sukno
podanie ręki

Pięć mazowieckich opowiadań

1. Kolistość

W naszej rodzinie ciągle ktoś wyruszał w niepewne. Do Parany w Brazylii, do Prus, na łaskawy chleb, do Mławy albo na kolejną nieszczęsną wojnę. I ciągle potem trzeba było wszystko zaczynać od dymu z komina... Nasza historia toczyła się pod górę kostropato i drabiniasto jak te koła, które wyrabiał ojciec, stelmach. Dobrze o tym powiedziała kiedyś ciotka Chrobotka. Była już stara, miała prawie sto lat. Całe życie tyrała u kogoś na służbie i zapomniała czytać i pisać. Litery nie były jej potrzebne, bo i po co? Czy do zmywania garów albo dawania prosiakom żreć potrzeba kaligrafii? Nie potrzeba. Nic nie potrzeba.

Zastałem ją w lipcowy dzień przed letnią kuchnią przy smażeniu naleśników. Kiedy zapytałem, jak to było kiedyś: czy tak samo, ciociu Chrobociu, czy inaczej, ona nie patrząc na mnie, powoli nałożyła ciasto na patelnię, zakolysała, żeby się równo rozlało i postawiła na ogniu. A potem wzruszyła ramionami:

– Jak było?... Zawsze było tak samo, Stefcu, kolisto. Potoczyście.

Nie zrozumiałem, a wtedy dała mi naleśnika, kazała zjeść i popić mlekiem.

– Kiedy byłem młoda – powiedziała po chwili, patrząc, jak jem – taka młoda jak ty tera, to wszystko mnie się zdawało piersze i ostateczne. A potem... Hmm..., potem to już tylko takie, co już kiedyś było. Przez całe życie patrzyłam, jak tzy płynęły i jak wysychały, ale oczy były te same. Było, minęło, ale znowu będzie, zanim minie. I tak wkoło Wojtek, na okrągło. Takie to nasze życie i całe jestestwo. Kolisto, powiadam – westchnęła. – Jedz, pojedz se gorącego, Stefcu, bo zimne niedobre i trzewiom zaszkodzić może.

– A skoro tak kolisto się to wszystko toczy – zapytałem po chwili – to znaczy, że kiedyś znowu wszystko stracimy? I że trzeba się będzie błąkać to tu, to tam, jak dotąd?

Popatrzyła na mnie poważnym wzrokiem, a na jej czole, tuż pod brzegiem chustki, pojawiła się taka podłużna, troskliwa zmarszczka.

– A kto to wie? Nikt... – odpowiedziała. – Ale... Zresztu, chodź, cuś ci pokażę.

Podniosła się i kazała mi iść za sobą do wozówki. Tam w rogu stała stara dwukółka żelaźnianka, jeszcze po mniej czy bardziej świętej pamięci Bolku Wróźbicie. Zaprzęgał w nią, całował ciotkę Chrobotkę w usta i ruszał po jarmarkach i odpustach sprzedawać przyszłość i ciepłe lody. Był ciotki Chrobotki mężem przyzywany. Bliską duszą.

Ciotka zrzuciła z dwukółki parciane, zakurzone worki.

– Patrz – powiedziała poważnym tonem – te koła przetoczyły się po świecie wte, wewte i nazad niepa-miętne kilometry. Ale od kiedy świętej pamięci Bolek umarł, jeszcze za bolszewickiej wojny, dwukółka nie drgnęła ani o włos. A przecie to ciągle koła...

2. Pranie

W środy ciotka robiła pranie. Gotowała, krochmaliła, dorzucała farbki ultramaryny, żeby, jak mawiała, pościel była biała jak list. A potem rozsnuwała pomiędzy papierówkami żagle prześcieradeł, poszew, po-
włoczek i jaśków. Jak skończyła, lubiła usiąść sobie na zydelku, żeby odsapnąć. Patrzyła na upraną pościel jak kapitan okrętu na morze – szerokim, jasnym spojrzeniem. I wtedy dziwnym trafem, jak na zawołanie, zrywał się lekki wiatr. Uśmiechała się, bo tak miało być. Jej oczy niebiesciły się tajemniczo. Spoglądała na prześcieradła, a które właśnie dotknęła okiem, zaczynało posłusznie się kołysać. Jeśli teraz czasem roz-
myślałam, co wtedy bywało naprawdę magiczne, to właśnie spojrzenia ciotki Chrobotki. I te prześcieradła.

3. Fasola

Zachodziłem do niej czasem, żeby się wygadać albo poradzić w jakiejś ważnej sprawie. Słuchała uważ-
nie, nie przerywała i nigdy nie kazała sobie dwa razy powtarzać albo opowiadać jeszcze raz od początku. A uważnie słuchając, zwykle coś robiła. Kroiła pokrzywy dla kurczaków, zarabiała ciasto albo cerowała. Była jedną z tych najprawdziwszych osób, które jak małe dzieci nigdy nie siedzą bezczynnie.

Tamtej wiosny byłem w podłym nastroju. Chciało mi się płakać. Ciotkę Chrobotkę zastałem przy łuska-
niu fasoli. Kiedy przestąpiłem próg, powoli podniosła głowę i popatrzyła na mnie tymi swoimi błękitnymi
oczami. Popatrzyła i już wiedziała. Ale o nic nie zapytała. Zresztą, nigdy nie pytała pierwsza. Zawsze dobrze
wiedziała, że jeśli jakieś słowo ma paść, to i tak prędzej czy później padnie, jak ulęganka. Po co je pośpieszać?
Po nic. Przecież słowo, jak to słowo, musi się wypowiedzieć w powietrzu. Wymówić sobą w przestwór.

– Dlaczego jest tak, jak jest?... – zapytałem owego dnia ze ściśniętym gardłem.

Ale musiałem to powiedzieć takim tonem, że ciotka przerwała łuskanie, kazała siadać i powoli opo-
wiała po kolei.

Wziąłem głęboki oddech i zacząłem wyliczać wszystkie biedy ostatnich tygodni i dni. Choroby matki, brak pracy
ojca, drożyznę, że nie ma jak opłacić kursu krawieckiego dla Wandzi, mojej siostry, i wreszcie to najważniejsze: że
nie rosnę. Że mając osiemnaście lat, mierzę zaledwie sto pięć centymetrów*... I Anielka, moja druga siostra, też nie
rośnie. Mówiłem tak i mówiłem, a co zdanie, to w oku stawała mi łaża. Co zdanie, to smutniejsza, najsmutniejsza...

Słuchała mnie, kiwała głową, a suche fasolowe ziarna spadały, cicho podzwaniając o ścianki blaszanej
miski jak sygnaturki w odległych kościołach.

– Co komu pisane, to i tak będzie – westchnęła wreszcie. – Choćbyś nie wiadomo co robił, to i tak pójdziesz
w puste nic. W niwecz. Tak to już Pan Bóg skarkulował ten świat. Sekretnie. Ot, i to wszystko... A życie? To
całe życie? Piasek między palcami, nic więcej.

Zebrała w fartuch fasolowe strąki i powoli odłożyła na zydel obok. Potem, mrużąc oczy, uważnie spoj-
rzała gdzieś za mnie, w jakąś dal za oknem. Pomyślałem sobie, że może kogoś albo czegoś wypatruje. Jej
błękitne oczy najwyraźniej próbowały się przebić, precyzyjnie i zobaczyć. Nawet głowę zadarła, jakby to coś
było daleko, wysoko, hen. I wypatrywała uparcie. Co tam wtedy ujrziała, jakie światy-zaświaty, nie wiem.

– Jest dzień i jest noc – odezwała się po chwili. – I jak kto pyta, jest, i jak odpowiada, też jest. I jeszcze czasem
jest tak, że nijak nie idzie odpowiedzieć. Przynajmniej z tego tutaj naszego bytowania. Bo w głowę zachodzisz,
gadasz, udajesz, pstrokacisz szukać na lewo i prawo, że już coś niecoś wiesz, a i tak na mało lepszego głupka

* Opowiada Stefan Pycka (1906-1979), niskiego wzrostu aktor teatralny i cyrkowy. W latach 1932-39 członek znanego w całej
Europie berlińskiego zespołu cyrkowego Schaeffer's Liliputaner. Po wojnie współtwórca warszawskiego objazdowego Teatru
„Bajka”. Zagrał m.in. w *Krzyżakach* A. Forda. Mieszkał w osadzie Strzegowo na Mazowszu.

wychodzisz. W ten czas zdrowiej zamilknąć. Patrz, ten stary Pykiel, znałeś go, właśnie wziął i umarł. Nagle, na serce. A przecież chłop był rumiany malowany i najpierwszego zdrowia. Powiadają, że pewnie podsłuchał zwierzęta i dlatego. A taki był mądry, a jaki wygadany, że ho ho! Każdego jednego na zebraniach w remizie ogniowej przegadał, bez wyjątku. I co z tego? Niby z takiego tępego bydłęcia słowa nie wydebisz, ale jak już, to nie daj Panie Boże! – Ciotka Chrobotka tylko machnęła ręką. – Chcesz żyć, nie podsłuchuj. Nawet wigilijną nocą.

– Tak, z tymi stworzeniami to trzeba uważać – podjęła po chwili. – Że niby takie nic, prawda? Tylko łeb urznąć, do gara i na stół, a jednak. Albo znowuż takie ziele. Drzewo na ten przykład. Z jednego drzewa krzyż i łopata, lubią powtarzać przysłowiowo. A czemu akurat krzyż? Czemu nie kołyska? Przecie drzewo samo z siebie takie niewinne, daje owoc albo cień, a pozwoliło z siebie zrobić takiego potwora. Dlaczego? Nie da się powiedzieć. A skąd się to całe cierpienie bierze, pytasz? Pójdziesz kiedy ze mną na Budy Strzegowskie, to wtenczas dopiero najprawdziwsze cierpienie zobaczysz. Tam żyje stara Weronika, głucha i niewidoma. Głucha jak pień i ślepa jak noc... Od drzwi chatki do studni ktoś jej zrobił niby taki płot z łat drewnianych byle jakich, żeby po nim trafiła i se mogła wody naciskać. I co z tego, skoro przy studni żuraw? Wysoki wniebogłósy i próchniaty, że strach. To jak nacisknie? Wody w domu nie ma, a ognia boi się palić, to czasem całymi tygodniami nic gotowanego do ust nie włoży, chyba że ktoś się zlituje i przyniesie. Ale to rzadko, bo przecież człowiek prędzej gówno spod własnej dupy zje, niż drugiemu coś da bezcennie. A jak ją to zapyta, jak się Weronice żyje, a ona jakoś tam po swojemu usłyszy czy zrozumie, to tylko się kłania głęboko i żegna po trzykroć, jak jakaś Ruska. I oczy podnosi niewidomie w sufit, jak w niebo, i cała się uśmiecha, wdzięczna anielsko. Głupia albo święta, powiadają o niej. Pewnie i jedno, i drugie, kto to wie? Ten cały jej żywot to dopiero jest droga krzyżowa. Pan Jezus Nazaretański na krzyżu cierpiał bez mała trzy godziny, a ona już tak ze trzydzieści lat, z okładem! I co na to powiesz, Stefek? Nic nie powiesz, bo na to nie da rady po ludzku odpowiedzieć. Nijak. Tylko głowę zamknąć i cicho siedzieć, sza... – przerwała i popatrzyła w okno.

– A czemu jest tak, jak jest? – wzruszyła ramionami. – Ano właśnie... – I przyłożyła sobie palec do ust.

Cisza zapadła. Takiej ciszy, jak wtedy, już nigdy potem nie słyszałem. Bywały cisze przeróżne, wygodne, niewygodne, gęste i jak makiem zasiał, krajowe i zagraniczne, pospolite i przed burzami, ale takiej jak tamta u ciotki Chrobotki już nigdzie potem nie zastałem.

Po chwili, kiedy zbierałem się do wyjścia, ciotka powiedziała bardziej do samej siebie niż do mnie:

– U tej Weroniki, w tej jej chatce, wszędzie kurz na trzy palce bez mała, ale pachnie żywym jaśminem. Nawet zimową porą. I nikt nie wie, jak i skąd. Owszem, węszyli pokątnie, wsadzali nosy, ale nigdzie nic, ani świeżej gałązki, ani perfumy, a jednak pachnie. Cuda codzienne, prawdziwe niewidy!

I kręcąc głową, wróciła do łuskania fasoli.

4. Wariaci

Jak to jest, że prawie każda wieś ma swojego wariata? – zastanawiałem się. Zwykle jest taki jeden. Ten najbardziej znany, najoryginalniejszy i najbardziej wariacki. Inni też są, ale z takich czy innych względów pozostają niepopularni. Bo są na przykład źli, ponurzy, bo się ich wszyscy boją. Lubią robić psikusy albo bywają niebezpieczni dla kobiet. Albo krzyczą i biją czym popadnie. Albo, i to jest najgorsze, są opętani i ucieka się od nich jak diabeł przed wodą święconą, i nie chce się nic o nich wiedzieć.

Jak to jest, zachodziłem w głowę, że wariat ma zwykle inne imię niż ma naprawdę? No bo, dajmy na to, pierwszego z brzegu Staśka S. nazywają Józkiem. „O, popatrz, to ten głupi Józku, zezun, co ma tylko trzy palce u rąk!”. Nawet trudno sobie wyobrazić, że ktoś mógłby o nim powiedzieć: „głupi Stasiek”. Nigdy w życiu! Ale „głupi Józku” – tak, jak najbardziej. Skąd się to brało, nikt się nie zastanawiał. Po prostu: „głupi Józku” i już.

A tę starą wariatkę ochrztili Bartułą. Nikt nie zna jej imienia, bo jego nigdy nie miała. Znalezione ją niemowlęciem. Dawno temu pod drzwiami kościoła. Rozsupłano zawiniątko i zaczęli ją wołać Bartułka,

i tak już zostało. Nikt nie zachodził w głowę dlaczego. Po prostu: Bartułka, bo zawinątko bartułe w sobie było, czyli lite albo sute.

„Bartułka, znaaajda! Bartułka, znaaajda!” – niosło się wołanie dzieciaków, kiedy oważ ciągnęła przez Baboszewo swoje ciężkie i śmierzzące ciało. Tylko czasem, choć wcale nie tak rzadko, wołanie nagle zamierało na widok pary oswojonych ptasząt kopciuszków, co mieszały w jej łachmanach i lubiły se szczebiotliwie wyfrunąć spod jej pach. Ot tak, w powietrze, jak to ptacy! Bartułka zaśmiewała się wtedy do rozpuku i machała rękami, a jej małe oczka zdawały się mówić: „A widzicie, nie jestem taka głupia, jak wam się zdaje!”. Po chwili ptaszki wracały pod pachy, a Bartułka dalej człapała po wsi, żując bezzębnymi dziąslami kamyki.

Albo czemu nazywają Adasiem rumianego syna Genowefy Grzędy, sławnej krawcowej z Baboszewa pod Płońskiem? A była to krawcowa ekstrordynaryjna – szyła nawet mundury wojskowe, oficerskie, na zamówienia z Warszawy! Utało się dać głupiemu Adasiowi parę groszy, żeby poszedł i podlał kwiaty na cmentarzu. „Skwar latoś niemiłosierny, roboty, pani kochana, we żniwa co nie miara, jak się mu da, to pójdzie i podleje”. Adaś lubił zaczepić, chwycić mocno za ramię i pleść jakieś koszały-opały, których nie sposób było zrozumieć. „Daj spokój, Adaś, idź se stąd. No, idź, wynocha!” – opędzano się przed nim jak przed jakąś zarazą. A wtedy Adaś mocno się denerwował. Kręcił głową, odgrażał pięściami i pluł na lewo i prawo gęstą śliną. Uspokajał się dopiero na widok wyciągniętej ręki z papierosem. Brał i długo wachał, a potem kazał sobie przypalić, zaciągał się głęboko, uśmiechał i już wszystko było dobrze. Nikt nie pamiętał, a może nawet nie wiedział, że „głupi Adaś” to tak naprawdę Karol.

Bywali też wariaci istniejący tylko w połowie. To znaczy istniejący lub nie. Taka Czeška z Ponikwi na ten przykład. Czeška jednak nie byle jaka, bo – przysłowiowa! Od niepamiętnych czasów mawiano, że ktoś wygląda albo śmieje się „jak Czeška z Ponikwi”. Czyli, że – nie przymierzając – głupawo. Tylko w tym szkopuł, że nikt nie miał pojęcia, co to za Czeška. I z jakiej Ponikwi – też nikt nie wiedział. Podobno widywano ją kiedyś żebrzącą po odpustach, ale nikt sobie za to by głowy uciąć nie dał. Tak było do dnia, kiedy to jednego roku w Przemienienie Pańskie pojawiła się na odpuscie w Drogiszce. Ktoś ją wtedy zapytał, skąd jest, a ona, że z Ponikwi i że Czeška ją wołają. I czar prysł jak cudowna woda ze źródła opodal drewnianego kościoła, gdzie siedziała, żebrząc. Czar prysł, bo już było jasne, że Czeška naprawdę istnieje, ale jeszcze bardziej prysł, bo ani tak bardzo głupawo nie wyglądała, ani się głupawo nie śmiała. Ot, taka zwykła żebraczka, jakich setki. Ale przysłowie zostało.

Byli też wariaci niemal zupełnie nieznani. Najczęściej ukryci przed oczami ciekawskich. Głęboko zaszyjni w głębi chałup, wstydlivi. Bano się, że jak kto zobaczy, to odkryje tajemnicę, że tak naprawdę to wszystko było inaczej. Że to wcale nie ruskie sołdaty w wojnę z dwudziestego roku zgwałcili żonę C-owskiego, tylko po prostu „tak już musiało być”, choć C-owsky to najprzykładniejszy i bogaci gospodarze, i parafianie, że mucha nie siada. Nijak nie szło sobie wyobrazić, że najnormalniej w świecie mogą mieć taką niecząstą dziewczuchę. A podobna do C-owskiego jakby kto skórę ściągnął!

Byli też odmienicy-legendy. Trochę jak senne widma, które przeszły tuż obok, nie pozostawiając śladu.

– Pytasz, synku, co to za landszaft na tej ścianie? – Matka przysiadła na brzegu swojego łóżka. – Za mały byłeś wtedy, nie możesz pamiętać, ano to posłuchaj.

I zaczyna opowiadać, jak to jednego razu przerywała buraki z ciotką Chrobotką. Właśnie skończyły rząd, kiedy ciotka Chrobotka powiedziała:

– Patrz, ktoś idzie drogu.

Matka odwróciła się i zobaczyła, jak pomiędzy wierzbami powoli drepce w stronę Strzegowa mały, śmieszny człowieczek. W poszarzałej, za ciasnej marynarce, brązowych spodniach i starym kapeluszu. Na plecach niesie przytroczone sznurkami jakby wielki kajet. Kiedy się przybliżył, okazało się, że ma już swoje lata. Chuda twarz poburządzona była zmarszczkami. Tylko mu te małe oczka płonęły jakby nieziemskim blaskiem. Wydawało się, że wszystko wie i rozumie.

– Kto ty jesteś? – zapytał.

Popatrzył na nie i tylko się lekko uśmiechnął, jakby się dziwiąc, że nie wiedzą. Zdjął z nosa okrągłe okulary w kościanej, popękanej oprawce i zaczął je przecierać chustką do nosa brudną jak święta ziemia. I dalej się uśmiechał, i zerkał raz na matkę, raz na ciotkę Chrobotkę. Ciotka szturchnęła matkę łokciem, że to może głuchy jakiś albo niemota.

– No powiedz, kto ty jesteś? – zapytały znowu.

Człowieczek spoważniał, ostrożnie nałożył okulary i uroczyście zdjął z prawie tysej głowy kapelusz. Potem dumnie wymamrotał tak fikuśne imię, że go nie zapamiętały, i że jest „artyst”. A mamrotał jakby z ruskim akcentem.

Matka wzięła go do nas, żeby się umył i przenocował. Kiedy zapytała, jaki ty jesteś artysta i co za sztuki pokazujesz, człowieczek sięgnął po swój wielki zeszyt, pogrzebał w nim i wyjął mały, kolorowy obrazek. Podał go matce. Na obrazku był jakiś dom, ulica, a w dali za domem wieża kościelna. A wszystko bardzo piękne, kolorowe i wypisz wymaluj jak żywe. Uśmiechnął się, wskazał palcem obrazek i powiedział:

– O.

I było to jedyne słowo, nie słowo, jakie z siebie tego wieczora wydusił. Matka o nic nie wypytywała, bo przecież nie wypadało.

Po kolacji, zaraz jak skończył jeść, odsunął talerz i rozłożył na stole te swoje papiery. Podkreślił knot lampy i starannie rozłożył ołówki i kredki, kolorowe krążki wodnych farbek, kozik do ostrzenia, maleńką brązową flaszkę po lekach, w którą nabrał wody z wiadra, i różnej wielkości pędzelki. Wyjął drewnianą firkę, obsadził papierosa, zapalił i zaczął malować. Pykał kłębuszki dymu, a spod jego palców wyrastać zaczęły jak prawdziwe: wieżyczka naszego kościółka, dwa stare dęby, obrys parkanu z dartego kamienia, zieloną smugę Wkry z rybakiem w łódce i zarośla starowkrza. A ponad tym wszystkim niebo niebiesciutkie i bardzo niebiańskie, i słońce, choć za oknem była już przecież noc. Bo wszystko odmalowywał z głowy, tak jak zapamiętał za dnia.

Rano zjadł na śniadanie twaróg ze szczypiorem, a potem wyciągnął do matki rękę z tym obrazkiem.

– Dla nień, niech ma... – powiedział.

Potem zarzucił na plecy te swoje kartony, uchylił kapelusza i zniknął. I nikt go więcej tu u nas nie widział. Gdyby nie ten landszaft na ścianie, to matce czasem się wydaje, że może go wcale nie było i że może jej się to wszystko tylko przyśniło jak jakaś leśna baśń.

5. Szatkowanie

Szatkowanie kapusty to było dopiero coś! Szatkownica była przechodnia i trzeba ją było wcześniej zamawiać. Tego dnia, kiedy się miała pojawić, ojciec szedł na podwórze odkryć kapuścianą reję, potem turlał przed sień beczkę osiemdziesiątkę, fasował dekiel, sprawdzał, czy się przez rok nie wykoślawił i czy leży fest, i długo ostukiwał bednarki, ta tam, tak tak, ty tyń, ta tam... Wreszcie pomyślał ukropem, żeby się do środka żadna zaraza, zajda czy, nie daj Boże, ansy nie wdały. Para wesoło buchała w jesienne powietrze. Powiadali, że taka kapuściana para jest dobra na nieszczęśliwą miłość. Najbardziej tę z żałosnych, kiedy to podstarzały jegomość zakocha się w młodej dziewczynie albo na odwrót. Ale jak parę należało w takim ambarasie aplikować i czy rzeczywiście pomagała, tego nie wiedział nikt. Na koniec ojciec jeszcze raz ostukiwał bednarki. Krótko i lekko, ta ta, ty tyń. I beczka była gotowa.

Tymczasem w domu zbierały się wszystkie ciotki i sąsiadki. Jedna przynosiła ciasto drożdżowe z kruszonką, inna nalewkę z pigwy, a jeszcze inna, co biedniejsza, przychodziła od lat tak samo – na koślawy ryj i do towarzystwa. Plotki były, śmiechy, chichoty, opowieści o dawnych czasach, o duchach i o miłości.

– A bo to od razu trzeba się zakochiwać albo iść za mąż? – Ciotka Chrobotka nie miała złudzeń. – Gdybym ja wszystkich kawalerów, co do mnie w swoim czasie w konkury uderzali, miała nosić w sercu, to by tam dla was miejsca nie starczyło. A tak, to i oni się zmieścili, i wy nie narzekacie! – Ciotka wesoło machnęła ręką.

– Ciociu, a co to znaczy, że to się nigdy nie wymyśli? – zapytała nagle Anielka.

– Co się nie wymyśli, córuchna? – Ciotka Chrobotka zmarszczyła czoło.

– No to, tutaj... – I Anielka dotknęła się poniżej pępka.

Popatrzyliśmy wszyscy na siebie, ktoś się nawet wymownie zakrzuszył.

– Bo na tańcach w szkole w Rydzynie to taka jedna mi powiedziała, żebym tego nie żałowała, bo i tak się nie wymyśli. – Anielka miała rezolutną minę. – A potem jeszcze powiedziała, że jak nie dasz chłopakom, to dasz robakom...

Zamilkła szatkwonica i w kuchni zapadła głucha cisza. Przerwała ją dopiero mucha, która taktownie uwięzła gdzieś w pajęczynie. Potem ojciec chrząknął chyłkiem, że może, ten tego owego, wyjdzie przed się zobaczyć, czy przypadkiem deszcz nie idzie... I szybko wyszedł.

Anielka zagryzła kapuścianego głęba, wyczekująco spoglądając na ciotkę Chrobotkę. Ciotka poprawiła chustkę na głowie, musnęła guzik wysoko zapiętej pod szyją bluzki i nagle szeroko się uśmiechnęła.

– Chocie no tutaj, Niesiu, siadaj! – przywołała Anielkę, klepiąc się w kolana.

Kiedy Anielka umościła się wygodnie na jej kolanach, ciotka Chrobotka zaczęła ją ostrożnie głaskać po włosach swoją sękatą od roboty dłonią.

– Śliczna i taka mądra dziewczuszka z ciebie, aniołku – zaczęła. – I o ważne sprawy potrafisz zapytać, chociaż dziecko jeszcze jesteś. A tera pokaż mi, Niesiu, gdzie masz serce.

Anielka szybko pokazała paluszkiem.

– No właśnie, tutaj – przytaknęła ciotka. – To jak tutaj będzie dużo, dużo tego serca i dużo miłości, to tam... – ciotka zrobiła nieokreślony gest wokół pępka – to tam się będzie mydlić i mydlić w nieskończoność. I się nie wymyśli. Przenigdy. Ale jak serca będzie tylko tyle, co kot napłakał, to się mydlenie szybko skończy. Oto i cała zagadka.

Anielka patrzyła na ciotkę Chrobotkę, nie do końca rozumiejąc.

– Trza kochać, moje dziecko, mocno kochać, a wtedy wszystko jest możliwe! I wstydzić się nikt nie musi, że się mydli, ani rumienić, i we wszystkim jest nadzieja. Teraz już wiesz?

Anielka niepewnie pokiwała główką, że tak.

– No to jak już wszystko wiesz... – Ciotka szeroko się uśmiechnęła i zaczęła rozsznurowywać buciki Anielki. – Skoro już jesteś taka duża i mądra panna, to zaraz nam tutaj pokażesz, co umiesz!

I uniosła Anielkę do góry jak lalkę i wstawiła prosto do beczki z kapustą. Tylko czubek głowy jej było widać.

– Deptaj, deptaj, tylko aby nie omykać! – Pogroziła uśmiechniętym palcem.

Chwilę potem otwarły się drzwi i pojawił się wuj Longin, co to uciekł z katorgi na Syberii. Wuj Longin lubił zajrzeć, kiedy akurat było szatkowanie. Siadał wtedy pośród kobiet, uśmiechał się i wyciągał zza pachy buteleczkę. Któraś stawiała szklanki, któraś małosolne, inna jakąś spyrkę i na zdrowie, żeby nam się.

Jako weteran wuj Longin miał napoleońskie jeszcze prawo do wyszynku napojów spirytusowych. Nikt nie pytał o żaden glejt, nikogo nie obchodziło, jaka wojna czy powstanie zrobiły go weteranem, wystarczyło, że był na Syberii.

Jak się już wszyscy dobrze rozgrzali, kobiety prosiły, żeby wuj Longin coś opowiedział, a najlepiej tamto o mandżurskiej wojnie.

– Znać to na wylot, tyle razy już gadałem – próbował się wymigać i z szelmowskim uśmiechem pukał się palcem w policzek, żeby mu która całusa przyznała. Wtedy co młodsza i ładniejsza całowała ten policzek weterański i jeszcze czasem czule pogłaskała po siwiutkiej czuprynie.

– No to jak już tak koniecznie chcecie, kobitki, popłakać, to czemu nie?

I cały kontent zaczynał snuć fabułę obszerną jak Syberia, duszoszczypatielną jak cała Rosja, za każdym razem odrobinę inną niż poprzednio, ale zawsze pełną tajemniczych niedomówień i miłosnych zwrotów akcji. Było tam przemijanie, wiatr, była rozważna, romantyczna, był ranny żołnierz, biedna sierotka, czekanie, sukienki, pocafunki, słodkości i szczęśliwe rozwiązanie, czyli wszystko, czego potrzeba kobiecie. One słuchały, kiwały

głowami, wzdychały i ścisnęło je w dołku, bo też by tak chciały. Pierwszą łzę ocierały zwykle wtedy, kiedy ona z tym maleństwem na rękę wsiadała do pociągu w Chabarowsku, a on wsparty o kule zostawał na peronie i było już wiadomo, że już nigdy, przenigdy... Ale najciekawsze, że jak szatkowanie szatkowaniem, żadna nie zapytała wuję, co było dalej. Zupełnie, jakby je to w ogóle nie interesowało. A przecież wuj miał w zanadrzu i to, jak podły los rzucił na drugi koniec świata, a potem na przeciwległy, i jak o mały włos, i jeszcze wiele, wiele innych niezwykłych rozmaitych, ale one nic, tylko wszystkie chlipały milcząco. Najpewniej jednak jak zawsze chodziło o to samo. Tylko o opowiadanie i słuchanie. Bo przecież wiadomo, że to jest najważniejsze.

Kiedy wuj Longin kończył opowieść o mandżurskiej wojnie, któraś pytała o Syberię. W oku wuję błyskał wówczas nerw zawadiacki, kazał sobie jeszcze dolać, nabierał powietrza i już za moment wszyscy byli tam wraz z nim. Gdzieś nad Irtyszem, na północ od Omska.

– Pięć zamarzniętych reniferów widziałem, tak było zimno! O, tak im kopyta sterczały, o, tak! – I pokazywał wyprężonymi ramionami jak.

Kłękał tam na tym mrozie i błagał Ostrobramską i Tę z Kodnia, Obydwie, żeby gdziekolwiek wrócić i żyć. A wszędzie, jak okiem zatoczył, tylko biel, las, las, biel, lodowata mgła i nic więcej.

– Mocz zamarzał w locie i dzwonił o lód jak sygnaturka. I ten wichur z góry, z dołu, z lewej, z prawej. Takie pizdy wygwizdy, że nie do pojęcia!

Tygodniami majaczył po pas w śniegu, padał i podnosił się i znowu, i znowu, byle dalej, byle bliżej zachodniej strony, byle gdziekolwiek indziej! Żywego ducha całymi wiorstami, ba, setkami wiorst nie uświadczył. Tylko czasem ptasi krzyż sępił na śnieżnym niebie albo wilczy cień pośród świerków. I ta trwoga, że nie ma już żadnego później, żadnego jutro, że to się stanie już tu i nie będzie już nic więcej. I ta przerażająca ulga, że zamarzających śmierć nie boli, bo jest snem. A potem, po kolejnej nocy bezbrzeżnej, kiedy się rankiem wydrapywał z jamy w śniegu, to nagłe zdumienie, jak cholernie trudno jest umrzeć. Jakże trudno umrzeć, choć już się chce i potrzebuje!...

– Taki z człowieka jest zwier niedobity, mówię wam, a uparty na to życie jak pies na kości.

Powinno go już unicestwić tyle razy: zimno, głód, zapadające się pod nogami jęczydoły, łamiące się nawałą śniegową gałęzie, niedźwiedzie, które spotkał, bezsens, panika, rozpacz, wszystko! A on żył. Ciągłe żył. Nie wiedział, gdzie jest i czy nie kręci się w kółko, ale brnął byle dalej i dalej. Do siebie, do Strzegowa, do Polski, do tego białego, z najśmielszych snów, dziwnego nikąd!...

I wreszcie ten poranek i tor kolejowy, jak zmartwychwstanie. Kiedy przypadł szyn, przyłożył ucho, czy nie dudni, czy nie nadjeżdża. Nie mógł tego ucha oderwać. Przymarzło. Dopiero jak skrzesał ogień i podpalił skórkę brzozowej kory, którą zawsze miał przy sobie, to jakoś odtajało. I ucho przyłożył jeszcze raz, i usłyszał... Dudni, nadjeżdża!!!

– O, popatrzcie tutaj, ten siny ślad mi został, jak stygmata boska.

Kiedy dotarł do ludzkiej siedziby: „Najabrsk, tak się zwało, to miasto”, dowiedział się, że przez cztery lata była Wielka Wojna Światowa, i że nie ma już cara, i znowu jest na mapie prawdziwa Polska. Niepodległa. *Bezzabornaja*.

– Nikakoj Priwislańskij Kraj, tol'ka toczna prawilnaja Pol'sza – powtarzał Nikołaj Aleksandrowicz Angebaum, lejtnant „Krasnoj Armii” – Wozwraszczaj, towariszcz Pol'jak!

Nie chciał wierzyć. Dopiero jak Nikołaj Aleksandrowicz Angebaum, lejtnant „Krasnoj Armii”, powtórzył kilka razy z naciskiem: „Kanieszna, pażaušta, daroga swobodnaja, ujezzaj, towariszcz Pol'jak! Ujezzaj!!!”, wreszcie poczuł się wolny. *Wsiewo otliczno swobodnyj*. Wyrobił papiery i wrócił do Polski nowo narodzonej. Do Polski z mgły i majaków.

Kiedy pojawił się w Strzegowie i szedł drogą z synem, to powiedzieli, że dziadek z wnukiem idą... Tak zmarniał i zestarzał się.

[tekst nagrodzony I nagrodą w XVII Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty w Kargowej]

Małgorzata Chomont

Wiersze/obrazy

...A moje drzwi są zielone.

...A moje drzwi są zielone, a okno błękitne... przez drzwi las wchodzi, a oknem wlatują barwne motyle... Nieraz też oknem biały obłok wpadnie... i ułoży się miękko przy stole... Przez drzwi gałąź drzewa przywita mnie wieczorem... a Wiatr, który wietrznie przewiew robi między oknem a stołem, z uśmiechem powie: ...nie przez próg, drogie panie!... Oddycham więc sobie tą zielenią, oczy poję błękitem, liczę chmury na niebie, z liści zakładki robię w zeszycie, nocą herbatę piję z księżycem... ech... Ile bym straciła, gdyby nie moje okno błękitne i drzwi zielone....

W zachwycie...

Powiało słodką nutą traw... i widziałam lecące do domu gołębie...

O drzewa zahaczały się wdzięcznie nitki babiego lata, które wtenczas były wszędzie...

Po trawach turlały się błogo myśli wypuszczane na wolność... na wypięknienie... Coś jest takiego w tej ziemskiej przestrzeni, co prosi o jeszcze... i nawet się nie rumieni... Ta przestrzeń patrzenia jest spragniona...

Dałam jej to dziś... i sama byłam zarumieniona...



Fot. Małgorzata Chomont

Lulajże laleczko

Geneza. Asocjacje

Wówczas

Oto ona – hybryda z miękkiej masy i ognia. Wynurza się ze stosu iskier i świeci nienaturalnym blaskiem. Mami, uwodzi naszyjnikami z płomieni. Nadeszła! Piekielna, samozwańcza papieżyca. Jej wyciągnięte w górę dłonie wydają się błogosławić z ironią *urbi et orbi*. Pokornie schylam głowę pod jej lawą błogosławieństwa, a ona wlewa mi się w puste kratery po dawnych myślach. Czuję, jak wypełniam się nadnaturalną mądrością i wiedzą, zgłębiam zagadkę wszechbytu. Ożywcze prądy krążą w mojej zatankowanej ogniem głowie, spopielając dawne synapsy. Nie ratuję się gaśnicą rozsądku, pozwalam płonąć stosom pełnym swoich starych historyjek. Ulotnią się do miejsca, w którym już dawno powinny tkwić – zdematerializują się w niebycie.

Drżałam na całym ciele, zęby szczękały, pogrążałam się w przyjemnym transie. Byłam obok, nad i pod sobą, wypełniałam swoim ciałem całą prywatną galaktykę jestestwa. Poczułam, że znów mam władzę nad tymi skomercjalizowanymi kawałkami plastiku, steruję nimi, manewruję – kierując je wprost do piekła. Ponownie mogłam oglądać to misterium ognia, pasję przemijania. Czułam się niczym szalony Neron, który przygląda się płonącemu miastu i jego spalającym się mieszkankom. Liturgia ognia, oczyszczenie. Święte obrzędy palenia lalek!

Jak zwykle jako pierwsze spalały się długie włosy i oto nagle nad głową lalki pojawiała się aureola zniszczenia. Mogłam w tej jednej chwili paść na kolana i modlić się do tego świętego trupa, ale zwykle udawało mi się powstrzymać ten nagły impuls. Spalony nimb ulatniał się jak dym, a w miejscu włosów widziałam już tylko łysą, odstręczającą czaszkę. Wkrótce i ją pochłaniał ogień – skóra twarzy zniekształcała się i deformowała, jakby dotknięta błyskawiczną progerią. Ogień łapczywie zlizywał z twarzy martwe, wytrzeszczone oczy, niewielki nos i czerwone usta. Całość jednym strumieniem spływała w dół na idealne piersi i wąską talię. Tak, mogłam dostrzec, jak wygląda ogień w piersiach, dostrzegałam topiącą się bliznę po matce – cień pępka, widziałam gotującą się w płomieniach zawartość różowych dawniej majteczek z misternej koronki.

Szybko zostawała przede mną tylko bezkształtna masa z długimi, smukłymi nogami, która – choćby mogła – nie miała jak uciekać. Wyobrażałam sobie, że nogi próbują bezskutecznie wywijać pożegnalne hołupce, tańczą jakiegoś obłąkańczego kankana na pograniczu życia i śmierci, a w zasadzie już za zasłoną Pani Kostuchy. Wkrótce wszystko zniknęło, wpalało się. W ogniu widziałam jeszcze bąble wrzącej masy, ale i one w końcu przestawały pękać. Pozostawałam sama przy dogasającym demonie ognia. Chociaż nie... Nie byłam sama. Towarzyszył mi obezwładniający, nieludzki śwąd. Przenikał włosy i ubranie, komórki mojej skóry, a nawet myśli. Byłby ohydny – z pewnością dla większości ludzi, ale jednak nie dla mnie. Rozkoszowałam się nim z przyjemnością, jak inni upajają się perfumami Chanel N° 5 czy intymnym zapachem kochanka. Pijana aromatem, przez wiele godzin tkwiłam w ekstazie osobistej mszy zachwytu.

Duhkha*. Brak trwałego zadowolenia

W czasie mojego dzieciństwa stosy płonęły o wiele częściej niż za czasów inkwizycji. Bez sądu i procesu, bez świadków i mów obrończych adwokatów skazywałam moje prywatne czarownice na piekielne męki w językach ognia. *Sanctum officium!* Chwytałam lalki mocno za włosy – te wszystkie puste blondynki, temperamentne rudzielce i ponętne brunetki, często nie zadając sobie nawet trudu, by ściągnąć z nich ubrania (a przydałoby się je obnażyć dla ich większego poniżenia) i wrzucałam je po kolei w otwór gębowy najświętszego ognia oczyszczenia. Paliłam je wszystkie bez wyjątku, wciąż zdejmując z pótek w pokoju następne i następne, bez końca odnajdując w swoim otoczeniu ich plastikowe, wstrętne ciała. Te obrzydliwe, dziewczynskie wersje miniatuerek Joanny d'Arc, długorzęse i wydatnoustne, cycate i płaskie jak szkolna tablica, krótkospodniczkowe i długonogie. Obrzydliwe, obrzydliwe, obrzydliwe! Wszystkie lalki mojego dzieciństwa! Niech idą ode mnie precz!

Jakże chciałam, by wciąż konały w nieugaszonym ogniu, by bez końca żarzy je nienasycone płomienie. Jaką perwersyjną przyjemność odnajdywałam w tym spektaklu destrukcji, gdy oglądałam, jak ich figurki topią się jak wosk i znikają w smrodzie śmierci. „Kismet, kismet! Lulajże, laleczko!” – nagradzałam się szeptem ekstazy, kołłam rozkoszne podskoki duszy. O tak, miałam duszę. Śliczną, okrutną duszyczkę panienki z dobrego domu, która potrafiła odróżniać dobro od zła i znała trzy modele francuskiej koniugacji czasowników. Kochałam wszystkie pieski, nie znosiłam słodkich kłębuszków kociąt, ale z czystą nienawiścią paliłam tylko je – wszystkie lalki mojego dzieciństwa.

Mogłam w żarze ogniska piec nabite na patyk jabłko z dziadkowego ogrodu lub znalezione w piwnicy ziemniaka. Mogłam przy wieczornym ogniu na rodzinnym podwórku grać tylko poobijane kolana i posiniaczone dłonie. Mogłam śpiewać w blasku płomieni wszystkie znane mi piosenki, które usłyszałam w trzeszczącym radiu – mogłam tańczyć beztrudnie ni to nogami, ni to rękami, naśladując powyginane sylwetki z barwnych plam telewizyjnych teledysków. Mogłam, mogłam, mogłam... Tyle rzeczy pozornie mogłam, ale ja wołałam palić, palić, palić! Tak bez tytoniu – palić swoje lalki.

Nigdy mi ich nie brakowało, wciąż kolejne ciotce i zaaferowani sobą wujkowie ofiarowywali mi kolejne zapasy „opału”. Choć teraz wydaje mi się to dziwne, to zawsze dostawałam tylko plastikowe lalki. Bywały wśród nich i smukłe Barbie – samotne, z Kenem lub w zestawach z domami i basenami, częściej jednak zwykłe lalki z siemiężnego plastiku, który topił się nadzwyczaj smrodliwie i bez wdzięku. Lalki ubrane w stroje ludowe i lalki udające brzydkie, pokraczne bobasy; lalki w kraciastych sukienkach i białych bucikach, przypominających miniaturowe trumienki oraz lalki w spodniach ogrodniczkach. Te większe spośród nich były zwykle tandetnie wykonane, a ich twarze wyobrażały idealną pustkę.

Filtrowanie doświadczeń. Peregrynacja uczucia

Brzydziła się ich martwymi, plastikowymi ciałami i twarzami-maskami. Z przerażeniem myślała, że jest dziewczyną, że rzekomo należy do wielkiej, światowej zmywy różowych księżniczek. Nie chciała nigdy w niczym przypominać tych ugrzecznionych idiotek. Nie chciała, by prasowany puder ukrywał meandry jej zmarszczek, a szminka położona na wargach była obramowaniem dla wszystkich wypowiedzianych przez nią zdań. Chciała być w przyszłości wolna od terroru kobiecości. Z całej siły pragnęła, by ukryte pod ubraniem atrybuty płci nie determinowały jej personalnych wyborów. Anatomia nie mogła stanąć na drodze do jej rozwoju, genitalia nie mogły jej zaklinać w drzwiach bezradności.

Ze wściekłością rzucała lalki w ogień, a potem przez krótką chwilę napawała się swoją władzą. Oto ma moc sprawczą! Oto może sterować kukiełkami kobiecości! Oto ona – władczyni plastikowych marionetek!

* Buddyjski termin z sanskrytu, oznaczający bolesność lub cierpienie.

Plastikowa Alfa i Omega! Nie, nie miała w nocy koszmarów naszpikowanych trupami lalek. Żadne sowy z wykrzywionymi złowieszczo dziobami i olbrzymimi gałkami oczu nie pohukiwały jej po północy za oknem. Jednookie czarownice z obciętymi piersiami, dosiadające w wyuzdanych pozach poszarpane wiatrem miotły, nie przelatywały wieczorem nad jej łóżkiem z głośnym „szuuuuuu!”. Nie czuła się przez lalki przeklęta, nikt nie wbijał z wściekłością szpilek w jej podobiznę – laleczkę voodoo. Ale i tak często nie mogła w nocy zasnąć. Przez wiele godzin czuła jeszcze na policzkach ciepłą łunę bijącą z ogniska; długo, narkotycznie wachała swoje włosy, przesiąknięte odorem palącego się cielska dziewczęcości. Szperała w szufladach wspomnień w swoim mózgu, szukając bezkształtnych marzeń. Nie znajdowała jednak w nich nic, co mogłoby ukołysać jej umysł do snu bajeczką uspokojenia. Żadna z historyjek z jej życia nie działała jak smoczek na niemowlaka. Musiała zatem pozostać mocarną, wszechwładną władczynią marionetkowego świata!

Gdy nad ranem noc związała już swoje ponure instalacje cieni i półcieni z jej pokoju, podbiegała do wiszącego na ścianie lustro, analizowała. Badała swoje ciało centymetr po centymetrze, opuszkami palców wychwytywała podskórne nurty.

Przetwarzała dane...

Przetwarzała dane...

Przetwarzała dane...

Nie chciała zauważyć najdrobniejszej oznaki swojej płci, nie chciała być dziewczynką, nie chciała być nigdy kobietą. Marzyła, że zapomina swoje żeńskie imię, zmazuje je u wszystkich ludzi gumką amnezji, wciska je matce głęboko w gardło, do zadławienia (ale nie do zwymiotowania, by przypadkiem nie wypłynęło z powrotem i nie usiadło na tronie jej płciowości). Niech je żre, niech rozgniata zębami, miażdży na cząstki i fragmenty liter. Niech mlaszcze mokrym od śliny językiem, niech używa wszelkich dostępnych jej enzymów, by je zmielić, przemienić w papkę barwioną co najwyżej tuszem z długopisu, którym urzędnik wpisał jej dawne imię w akt urodzenia.

Pragnęła śmierci siebie – dziewczynki i narodzin siebie – chłopaka. Wszystkie spalone lalki miały ją w jakiś tajemniczy, magiczny sposób do tego marzenia przybliżyć. Mniej lalek w jej pokoju to przecież więcej testosteronu w krwi, w tkankach. Gdyby tylko ktoś sprzedawał lizaki z tym steroidowym hormonem płciowym, mogłaby je kupować na kilogramy i bez końca zlizywać z nich całą męskość. Bała się, że pewnego dnia bez tego hormonu wyskoczą jej nagle baloniaste biodra i pokraczne Himalaje piersi. Nawet hodowana cicho we wnętrzu jej ciała siostra anoreksja, wysuszająca jej kobiecość towarzyszka życia, nie pomoże jej przy tej bolesnej transformacji.

Owijąta więc ciasno kropki brodawek bandażem, by żadna wypukłość dojrzewania nie wydostała się na światło dzienne. Wygryzała paznokcie do krwi, aby w niczym nie przypominały damskich tipsów plastikowych laleczek. Specjalnie przewracała się na betonowe powierzchnie, nabijała sobie z premedytacją siniaki, świadomie kaleczyła kolana, by choć w tym upodobnić się do bez troskich, nieostrożnych chłopaków. Nosila męskie majtki, które ukradła kiedyś w desperacji kuzynowi i nie mniej męskie spodnie, w kieszeni zawsze odpustowy pistolet strzelający samym dźwiękiem. Dźwiękiem tęsknoty za byciem facetem. Gdy ciężar żeńskiego życia wydawał się już być ponad jej siły, przykładła zabawkową broń desperacko do skromni i naciskała spust. Wewnętrzna sprężynka naciągała się, a do jej uszu dolatywał krótki, suchy dźwięk. „Brzdęęęę!” – i już nic nie pozostawało z rojeń.

Ból był dobry, bo prawdziwy, realny. A najlepszym spośród nich był ten cielesny. Cymes! Przynosił wyzolenie z kołowrotka myśli, tonował wewnętrzne napięcie nerwowe, rozluźniał mięśnie – podobnie jak wstrzyknięty zręcznymi dłońmi anestezjologa chlorek D-tubokuraryny. Znow więc dla osiągnięcia ulgi psychicznej musiała nabijać sobie siniaki i rozrywać strupy na kolanach. Krew spływała bez skargi po jej łydkach, a ona miała nadzieję, że to jedyny rodzaj krwi, który z niej kiedykolwiek wypłynie. Nie widziała przed sobą menstruacyjnej przyszłości, szczerze mówiąc – nie widziała przed sobą żadnej przyszłości.

Dryfowała w teraźniejszości, walczyła z tu i teraz, z sobą. Balansowała na cienkiej linii pomiędzy normalnością a szaleństwem.

Prażródło – matka. Leczenie objawowe

Pomiędzy normalnością a szaleństwem, pomiędzy matką a psychologiem. Wysłała ją do niego, a jakże. Matka, mateczka, mamuska. Dość już miała jej przebieranek w męskie stroje, zakrwawionych kolan i granatowych map siniaków na ciele. Dość już miała jej wiecznego oglądania swojej płci w lustrze i pełnych ironii spojrzeń. Niedobrze się jej robiło od smrodu palonych, plastikowych lalek. Chciała, by stosi inkwizycji kobiecości jej dziecka przestały płonąć. Chciała różowego tiulu, spinek, kokardek i ciuci-ciuci. Chciała, by córka podbierała jej szminki, biżuterię i buty na obcasie. Niechby nawet – do cholery! – ukradła jej najlepszy biustonosz, ten francuski, z finezyjną koronką i misterną konstrukcją fiszbinów! Niechby go nawet przymierzyła, niechby tylko choć na niego popatrzyła, a potem to nawet pożarła i wypłuta, wszystko jej jedno! No dobra, niechby go nawet choć dotknęła! Nie, to było za wielkie, za odważne marzenie. Przecież jej córka nie jest w stanie nawet dotknąć damskiego fatałaszka, zwyczajnie się go brzydzi! Chyba ją parzy w dłonie, gotuje się w jej rękach jak ten lalczy plastik w ognisku.

A ona – matka tak walczy o to niewdzięczne dziecko, tak próbuje! Do psychologa prowadzi, na terapii nie oszczędza. I co z tego ma?! Kilka głupich rysunków, które jej córka namalowała na polecenie tego quasi-specjalisty. Jakieś esy-floresy, kredkowe wygibasy i oczywiście lalki. Zawsze tylko one i one! Znów płonęły sobie beztrosko na każdym pieprzonym obrazku tej stukniętej dziewczyny! I znów o mało nie zwymiotowała! Ponownie nieomal poczuła ten obrzydliwy smród palonego plastiku.

Ta terapia to zupełnie zmarnowany czas! Psycholog tylko siedzi rozparty na fotelu jak basza, paluszki ułożone w przepisową piramidkę, w oczach wymuszone, profesjonalne napięcie, a jej córka gryzmoli na potęgę te swoje trupki lalek! Niby wyraża w ten sposób na papierze swoje uczucia! No, co to za terapia?! Toż konował by szybciej wyleczyć te jej obsesje. Gdyby tylko znalazła na to jakieś pigułki, jakieś pastylki! Zaraz by je załadowała w głupi dziób tej córki – wariatki. Niech działają, niech naprostują ten zepsuty umysł, niech rozpuszczą kwasami te chore rojenia, te omamy plastikowe, lalkowe we łbie kiełbaszenie! Skąd to się u niej bierze, to całe wydziwianie, fochowanie, upór jakiś bezsensowny...

Stosi lalek jednak wciąż dymiły, zatrwały serce rodzicielki, gryzący dym plastiku mącił jej myśli. Córka chyba już otruła się oparami po tych lalczyńskich smrodach! Dopiero co wczoraj przyłapała ją, jak ścinała nożyczkami swoje rzęsy. Tłumaczyła, że nie chciała mieć takich długich, podobnych do tych od lalek. Prawie na siłę zaprowadziła ją znów do psychologa. On długo spoglądał na nią z jawną fascynacją, a potem kazał jej rysować te beznadziejne rysunki. Gdy jako matka tak ciężko doświadczonego dziecka spojrzała na niego z wściekłością, chrząknął coś tylko niewyraźnie i zapytał córkę o to, czy jakiś nieznajomy pan nie kazał jej dotykać się w „to” miejsce! Nie, tego już było dla matki za wiele. Szarpnęła córkę jak wyrwanym z ziemi chwastem i wymyślając psychologowi od zboczeńców, wybiegła z nią z gabinetu. No, bo kto to słyszał, jaki znowu pan, jakie dotykanie?! Jej przecież o lalki smażące się, wędzące, śmierdzące, o lalki spalone jej chodziło!

Dziedziczka abominacji. Odkrycie

Rysunki w gabinecie psychologa mi pomogły... Pomogły mi w podjęciu decyzji, że już na pewno do żadnego psychologa nigdy nie pójde. Gdyby był lalką, wrzuciłabym go bez wyrzutów sumienia, prosto w ogień i otrzępała dłonie – trzask-prask! Niech się smaży, aż po koniuszek tego okropnego, długiego, krogulczego paznokcia lewej ręki! Brrrrr! Brzydziłam się nim i jego chorymi insynuacjami. Jaki nieznajomy pan, jakie dotykanie?! Czy tak trudno zrozumieć, że nie chcę być dziewczyną? Nie chcę mieć ciała nafaszerowanego hormonami, estrogenem i progesteronem, nie chcę figurować w spisie ludności tego kraju w rubryce: „Kobiety”. Nie... bo nie!

Ja, samozwańcza władczyni marionetek, tak oto postanawiam: palić wciąż będę w ogniu nieugaszonym wszystkie swoje lalki, tak mi dopomóż ogniu najświętszy i ty, Hefajstosie, patronie mój doskonały! Oto jestem już pewna, że matka mnie nie akceptuje, przepycha mnie przez życie jak zbędny balast, gotowa chętnie się go pozbyć. Nie wiem dlaczego, nie wiem od kiedy. Może od zawsze? Co, ciekawi jesteście, co słyszał u mojego ojca? No cóż, ja nie ukrywam, także. Niestety, sprawę komplikuje nieco fakt, że jakoś nie wiem, kto nim jest. Moja matka jakoś nie raczyła mnie o tym drobnym fakcie poinformować. Ot, taka mało ważna informacja, prawda? Przecież ona nie powinna mieć żadnego znaczenia dla mojego życia. Jestem już przecież dużym człowieczkiem, a nie takim tyci-tyci, tatuś nie musi mi czytać bajek przed snem ani wycierać zasmarowanego noska. Obejdę się bez niego! No, powiedzcie szczerze, po co komu ojciec? No, po co? Bankomatem ma mi być comiesięcznym, a może czymś na kształt martwej natury, co to tylko leży bez ruchu na kanapie przed telewizorem i pochrapuje niemiarkowo? Nie potrzebuję takiego genetycznego wieszaka na uczucia w moim życiu, nie potrzebuję! Słyszycie, nie potrzebuję! Nie, nie, nie!

(Łzy, szloch, wycie)

Kurtyna w dół... Auć, jeszcze i ona bezdusznie walnęła mnie w głowę! Ach, gdyby tylko była lalką, od razu bym ją spaliła! „Fruuuu!” – tylko popiół by z niej pozostał. Szare płatki łupieżu z tkaniny, która kiedyś istniała.

Kismet. Odzyskiwanie pamięci

Potem

Kilka kilogramów przetopionych lalek potem... Nie byłam już tylko inkwizytorką laleczek – plastikowych boginek dzieciństwa. Stałam się dorosłą inkwizytorką. Kolejny kawałek plastiku w moim życiu, czyli dowód osobisty, uczynił mnie pod względem prawnym osobą dorosłą. A już zupełny przypadek zrobił ze mnie kogoś zupełnie innego. Wiecie, szukałam w domowych szafkach tych wszystkich papierzysk, mniej lub bardziej przydatnych do złożenia podania o wyrobienie dowodu osobistego. Niby tysiące razy wcześniej przekopywałam te szuflady, niby znałam je na pamięć, ale jakoś udało się im mnie zaskoczyć. Nagle to zobaczyłam... Taki pożółkły wycinek z gazety, z niewyraźnym zdjęciem. W sumie to miałam już zmiąć ten paperek i wyrzucić bez czytania do kosza, ale moją uwagę przyciągnęła fotografia. Z przerażeniem zauważyłam na niej roztrzaskany samochód, na którego masce siedziała wystrojona na biało lalka. Jakimś dziwnym zrzędzeniem losu kukła nie spadła z auta, tylko zadzierała do góry nogi, jakby siedziała na niewidzialnym fotelu ginekologicznym. Artykuł nosił tytuł „Śmierć tuż po ślubie”.

Trzęsłam się... Dygotałam... Treść żołądka podjechała mi do gardła... Mimo to czytałam, a każde ze zdań burzyło mój świat na tysiąc i jeden kawałków, każdy wyraz był niczym bomba podłożona pod moją dotychczasową osobowość. Fragmenty zdań wbijały mi się w czaszkę niczym szpikulce: „Młoda para właśnie wracała z kościoła po swoim ślubie...”, „Jechali na zabawę weselną w pobliskiej remizie...”, „Jadący z naprzeciwka drogą pijany rolnik Anatol P. nie dostosował prędkości do warunków panujących na drodze...”, „W wyniku wypadku śmierć poniosły dwie osoby...”.

Reminiscencje. Strzępy wrażeń

Naraz poczułam potężny ucisk w głowie, jakby ciśnienie śródczaszkowe miało ją znienacka rozsadzić. Jakaś moc wspomnień przeniosła mnie tam, wtedy... I już zaczęły mnie osaczać, okrążyć... Jakieś błyski przed oczyma, straszliwy huk, a potem przerażająca cisza. Cisza, cisza, sza... sza... sza... To było o wiele gorsze od najgłośniejszego nawet hałasu. I jeszcze ten nagły śwąd. Znajomy smród palonego plastiku i czegoś jeszcze. A potem dalekie rozmowy, odgłosy syren karetki pogotowia, straży pożarnej i policji, ciemność... Zanim jednak zapadła, taka najciemniejsza, najgłębsza, nim moje powieki całkowicie zastoniły źrenice, po raz ostatni spojrzałam na Nią. Spojrzałam tam, gdzie siedziała. Już zawsze będę tego żałować. Zemdlałam...

Paroksyzm bólu. Przypomnienie

Tak, już wiedziała, przypomniła sobie. Przez tyle lat oddalała od siebie to wydarzenie, aż ono samo znów dostało się do wnętrza jej wypierającej nieszczęścia świadomości. Ściskając w dłoniach wycinek prasowy tak mocno, że aż pobiegały jej kłykcie, pobiegła do matki. Wydawało się jej, że gdzieś w tle wciąż słyszy śmiejące się głośno wszystkie spalone przez nią lalki. Plastikowy śmiech z plastikowych usteczek, produkowany przez plastikowe marionetki.

Matka spała przed włączonym głośno telewizorem. Ta blada twarz także wydała się jej naraz bardzo podobna do plastikowej. Martwej. Obojętnej. Obcej. Przestraszyła się, że może nie zdąży już zadać najważniejszych pytań, może jest już za późno, krzyknęła więc przeraźliwie, a matka wówczas otworzyła szeroko oczy. Przeżalone, bynajmniej nie martwe. W zasadzie to spoglądające na nią z mieszaniną wściekłości i strachu. A ona chciała w końcu wiedzieć, chciała mieć pewność – co było w jej pamięci prawdą, a co fałszem. Chciała się upewnić, że rzeczywiście pamięta i Ją. Taką malutką i bezbronną. Częstkę siebie.

Był tylko dziki wrzask. Skowyt jadu. I nienawiść, która płynęła z ust matki niczym gorąca, niszcząca wszystko na swej drodze lawa. Toksyczna wydzielina zainfekowanego chorobą gruczołu macierzyństwa. Chciała się dowiedzieć? – To się dowiedziała! Tak, matka urodziła ją dwa lata przed ślubem. Tak, postanowiła wyjść za mąż za jej ojca, jechali po ślubie w kościele na wesele do remizy. Tak, jakiś pijany kierowca wjechał w ich auto. Tak, był wypadek, straszny wypadek. Tak, jej mąż – pan młody, zmarł. One ocalały. Matka i córka.

Nie, matka kłamała! Był jeszcze ktoś! Jeszcze ktoś był w tym ich rozbitym aucie!

I znowu wrzask matki: Nie, były tylko one! Tylko one wyszły z wypadku cało. No i jeszcze ozdobna lalka na wraku samochodu. Uduająca samotną, szczęśliwą pannę młodą.

Nie, kłamała! Dlaczego matka tak bardzo wypierała fakty?! Tam był ktoś jeszcze! I Ona była tam przecież, prawda?! Była?!

Matka w końcu pękła, uwalniając z siebie tajemnicę. „Tak, był tam ktoś jeszcze. Ona, taka malutka, taka jak ty. Twoja siostra bliźniaczka... Nie zdążyli jej uratować. Spaliła się w aucie”.

I zaraz pretensje w głosie matki: „Dlaczego to ona, a nie ty?!”.

Słowa rodzicielki jeszcze przeszywały mieczami okrucieństwa powietrze, gdy ona sama przewróciła się nagle. Znieruchomiła. Zesztywniała. Zaniemówiła. Pogotowie zabrało ją do szpitala, smutny pakunek bólu i destrukcji. Wylew. Paraliż. Brak kontaktu. Córka jeszcze zatem zdążyła poznać prawdę. A więc miała siostrę bliźniaczkę! Małą towarzyszkę wzrostu lalki. Jechały razem w tym ślubnym aucie w drodze na wesele rodziców. Ale tylko jedna dojechała do pełnoletniości. Mała siostrzyczka już na zawsze pozostała w jej wspomnieniach miniaturką, drobną laleczką, która spaliła się w czasie powypadkowego pożaru w aucie. Ona zaś ocalała. Ocalała wbrew życzeniu matki, która wołała, by to jej siostra nadal żyła. Zatem stąd ta całozyciowa nienawiść rodzicielki, stąd jawna niechęć względem niej, dziwna awersja.

Po tylu latach ona sama przypomniła sobie ten wypadek, ten nieludzi widok palącej się siostry. To właśnie jej gorejące ogniem zwłoki zobaczyła, nim zemdlała, a powieki litościwie zaślepiły panicznie przerażone oczy. Przez całe życie jej podświadomość wypierała z umysłu ten widok, ale ciało wiedziało swoje. Stąd wciąż obsesyjnie spalała lalki, wciąż jakąś perwersyjną przyjemność sprawiało jej oglądanie płonących figurek. Widać w ten sposób radziła sobie z wydarzeniami, których nie mogła zrozumieć ani o których nie mogła porozmawiać. Paradoksalnie, w płomieniach ognia ratowała swoją normalność, przyszłość, tożsamość, jestestwo. Uwalniała zamrożone wcześniej emocje.

Zdrowienie. Powolne kroki

Kierowca karetki transportowej cicho pogwizdywał jakąś melodię, która mogła być zarówno fragmentem pieśni kościelnej „Kiedy ranne wstają zorze”, ale także równie dobrze motywem z filmu „Ojciec chrzestny”. W samochodzie leżała na noszach, przypięta mocno pasami, na oko pięćdziesięcioletnia kobieta. Nie wiadomo,

czy spała, na jakim poziomie świadomości odbierała otaczającą ją rzeczywistość. Może dryfowała gdzieś hen, za horyzontem? Tuż przy niej siedział osiemnastoletni młodzieniec. Wciąż spoglądał na twarz leżącej, a potem kilkakrotnie pochylał się nad jej uchem. Coś do niego szeptał, coś nucił. Gdybyśmy nachyliłi się bliżej nad tą dwójką, moglibyśmy być może usłyszeć jego słowa. Tak, to wydaje się możliwe, rzeczywiście coś słysząc: „Lulajże, laleczko!” – śpiewa chłopak na melodii znanej koledy. I tak uśmiecha się przy tym delikatnie, nieśmiało.

A oto już ta tajemnicza karawana dojeżdża na miejsce. Stary budynek, łuszcząca się farba, aureola smutku. I jeszcze napis gdzieś na drzwiach: Dom Pomocy Społecznej „Wszystkie barwy codzienności”. Sparaliżowaną kobietę wnoszą do środka. Jest jeszcze trochę zamętu z papierami, trochę zamieszania i krótkich dyskusji, ustaleń. On zostawia numer telefonu do siebie. I oczywiście ową kobietę. Kobietę, która jest jego matką.

Gdy wychodzi za bramę budynku, mówi już tylko sam do siebie: „No, dość w moim życiu tego teatru kabuki!”. Może wypadałoby, żeby jeszcze ostentacyjnie zapalił papierosa i zaciągnął się ze smakiem dymem, ale przecież to nie film, nie czytamy skryptu scenariusza filmowego. Mamy więc scenę bez tytoniu, za to z zagadką. Tym razem już ostatnią. Bohater opowiadania jest najwyraźniej już zmęczony wciąż zmieniającą się akcją. I to na dodatek pod sam koniec tekstu! Czy to wypada tak gmatwać misternie konstruowaną fabułę? Halo, pisarczyku!

Rozplątanie. Obwążkiwanie życia

Plomienie ognia strzelały wysoko w górę, jakby próbowały podpalić brzeżki sukienek przelatującym nisko aniołom. Znów był ogień, znów płonęło. Tym razem jednak nie wrzucałem do ognia plastikowych lalek, ale wszystkie swoje ubrania – beznadziejnie kobiece sukienki, zbyt kolorowe swetry i rajstopy. Poczułem, że nareszcie jestem wolny – wolny od tajemnicy i obsesji matki. Już nie musiałem rysować tych wszystkich infantylnych, głupiutkich rysunków w gabinecie psychologa, by zrozumieć swoje pokrętne uczucia. Nim moja matka weszła w hermetyczny świat po wylewie, zdążyła jeszcze rzucić w moim kierunku tych kilka zdań, z których zbudowałem sobie tratwę ratunkową. Okazało się, że z nas bliźniaków to moją siostrę kochała bardziej. To za nią tęskniła całe życie, to ją opłakiwała, to ją chciała mieć przy swoim boku. Niestety, z tamtego wypadku wyszedłem cało tylko ja – dwuletni, okaleczony synek z żałobną duszyczką. Nie mogła mi nigdy wybaczyć, że to nie ja się spaliłem w tym samochodzie, tylko moja siostra bliźniaczka. Chciała wciąż mieć przy sobie śliczną córeczkę, a nie bezużytecznego syna z krzywymi nogami. Niestety, nie potrafiła wskrzesić zmarłego dziecka. Postanowiła więc nagiąć rzeczywistość do swoich marzeń i to mnie przeobrazić w swoją utraconą córeczkę. Tuż po wypadku, gdy tylko oboje, psychicznie pokaleczeni, wyszliśmy ze szpitala, zaczęła ubierać mnie w ubrania mojej zmarłej siostry. Nazywała mnie jej imieniem, przedstawiała publicznie jako dziewczynkę. Nikt nic nie zauważył, byliśmy naprawdę z siostrą wyjątkowo do siebie podobni. Nieświadomie zgodziłem się odgrywać dla niej i dla otoczenia ten teatr absurdu, w sferze publicznej funkcjonowałem jako dziewczynka. Jednocześnie nie mogłem się z tym pogodzić, walczyłem z narzucaną mi płcią. Stąd moje wybuchy buntu, wizyty u psychologa, nienawiść matki.

Wciąż widziałem pod zamkniętymi powiekami to palące się małe ciało siostrzyczki. By zagłuszyć własny ból, zacząłem palić lalki. W takich momentach, tam przy ogniu, to coś w mojej martwej duszy jakby mniej bolało. Ogień kołł nerwy, przypalał bliźnię po siostrze. Śwąd niósł wyzwolenie.

Matka po wylewie zawiesiła się gdzieś w mózgu, znieruchomiła jak plastikowa laleczka, kaleka marionetka w rękach przeznaczenia. Jest manekinem na sklepowej wystawie ludzkiej egzystencji. Nie będę jej animował swoim życiem – wystarczyło, że przez tyle lat na jej polecenie posłusznie poruszałem pacynką mojej utraconej siostry. Zostawiam bawienie się lalkami kilkuletnim dziewczynkom. Jutro odbieram nowy dowód osobisty, w którym będę już zapisany jako mężczyzna. Więc powiedzmy szczerze – nie wypada mi już bawić się lalkami.

(praca otrzymała II nagrodę w XVII Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. E. Paukshy w Kargowej)

Bohater

Superbohater ma niezwykle zdolności,
walczy z przestępczością,
ukrywa swoją tożsamość,
pomaga ludziom.
Czy Bóg jest superbohaterem,
czy wręcz przeciwnie?

17.02.2016

Wilkanowo

Młodość

Zawsze irytowało mnie,
że młodość jest głupia,
że młodości brak doświadczenia,
że nie panuje nad emocjami,
że nie jest rozsądna,
że nie zważa na niebezpieczeństwo.
Nie chce słuchać rad i nie docenia.
Nie dostrzega całego obrazu rzeczy.
Nie widzi własnej śmieszności.
Jest butna i gwałtowna,
popelnia wciąż te same błędy.
I na tym chyba polega jej urok.
I taka jest najszczęśliwsza.
Za tym właśnie tęsknicie.
Mam nadzieję, że na starość
pozostaniecie młodzi.

22.07.2016

Welberg/Steenberg

Holandia

Leży Bóg na kozetce

Zżyma się i płacze, opowiada mi,
ja słucham, a w duchu zastanawiam się:
czy to Bóg sam siebie mianował Bogiem?
Czy on sam siebie postanowił wziąć odpowiedzialność
za Twój i mój los?
W co wierzy Bóg?
Czy lubi, gdy go ludzie wielbią?
Czy niczego nie żałuje?
Czy był młody i teraz powiada,
że za dawnych czasów było inaczej?
Czy ma chwile wątplenia?
Pytam na głos: „Czy dobrze jest być Bogiem?”
Bóg tylko pociąga nosem
i dmie w chusteczkę.
Przyszedł się tylko pożalić,
a teraz odchodzi do naszych spraw.
Bo czy Bóg ma swoje sprawy?
Chyba tylko na kozetce.

13.12.2015

Wilkanowo

Niebieskie

(...) I niebieskie, jak na złość – niebieskie.
I ta mina, i pewność siebie.
skądinąd słuszna...
I plamka w oku,
i blizna na dłoni taka malutka,
maciupenka,
niebieskie...
W ustach odcisnęłabym swoje,
żeby sprawdzić, czy pasują.
Tu bym położyła dłoń,
a najlepiej cała się.
Brzęczy w uszach głos.
niebieskie (...)
– Słucham?
– Pytałem, czy dolać ci soku.
– Ach tak? Poproszę...

3.01.2016
Wilkanowo

Dzieciaki

Taki dziesięciopiętrowy blok na osiedlu jest jak okręt. Jak dzieciak wysoko podniesie głowę, to widzi, jak ostatnie piętro pędzi przez chmury.

Na kolanach podchodziło się do samej krawędzi dachu, aż strach zatykał gardło.

Na każdym piętrze mieszka załoga tego okrętu – wypróbowana kompania na dobre i na złe, tu zawsze pożyczysz wódki, tam ktoś miał telefon, a gdzieś jeszcze mieszkała piękna samotna sąsiadka.

Nasz okręt nie bał się swojego losu, kto miał wiedzieć, że gdy dorośniemy, rafy staną się większe, morze głębsze, a blokowa przyjaźń przeminie?

Ten blok stoi do dzisiaj, już z inną załogą. Nasza ferajna rozplynęła się po wszystkich oceanach tego i tamtego świata.

I tylko nasze duchy wciąż siedzą godzinami przed klatką, zdobywają mistrzostwo w piłkę i chowają się przed rodzicami.

Moja pierwsza śmierć

Na ścianie naszego bloku ktoś nabazgrał zdanie „Moja pierwsza śmierć”. Bez sensu. Przecież nikt się u nas nie truł i nie skakał z okna. Jedyne co mogliśmy zrobić, to posłać szczególnie gęstą flegmę między krzywe litery.

Szelest nigdy nie myślał dużo o dziewczynach. Więc kiedy spotkał Miłość, postanowił sprawę zignorować. Udawał przed nami i samym sobą, że wszystko jest po staremu. Stał się nawet jeszcze bardziej arogancki i brutalny.

Swoją upadek Szelest zawdzięczał chudej blondynce z nierównym uzębieniem, która w wakacje odwiedzała bezdzietne wujostwo. Kompletnie nie mogliśmy zrozumieć, co w niej widział nasz przyjaciel.

Niestety, procesy biologiczno-chemiczne, jakie zachodziły w Szeleście, wzięły górę nad jego prostym i zrównoważonym umysłem. W końcu, na oczach wszystkich, zamiast grać z nami w piłkę, poszedł na spacer z dziewczyną.

Pod koniec wakacji blondynka wróciła do domu. Kończyło się lato, zniknął gdzieś Szelest. Po dwóch miesiącach pojawił się chudy i cichy, nie chciał patrzeć nam w oczy. I wtedy przypomniał mi się napis na ścianie „Moja pierwsza śmierć”. Szelest już to wiedział.

Lestnica na niebiesa

Naszą muzyczną edukację zawdzięczamy płytom przywożonym przez naszych ojców i wujków od Ruskich. Dwukolorowe okładki posiadały tak dziwne tytuły, że nie od razu wiedzieliśmy, o kogo chodzi. Na naszych gramofonach grały „Lestnica na niebiesa” i „Kamanda Pinka Flojda”.

Na „Lestnicy...” był taki utwór, „Od kiedy cię pokochałem”, który stał się naszym hymnem. Nie wiedzieliśmy, o czym opowiadała piosenka, bo nie znaleźliśmy angielskiego. Jednak kiedy leciała z głośników, czuliśmy, że ktoś śpiewa o naszych sprawach.

Nasz blok też grał swoje „Od kiedy cię pokochałem”. Utwór zaczyna się od partii gitary. To odgłos bawiącego się rodzeństwa. Po chwili wchodzi perkusja i bas, to nasza sąsiadka zza ściany, najpierw odkręca kurek od wanny i gramoli się do środka, ślizgając się na piętach. Pojawia się melodia wokalisty. Dziś niedziela, więc Rybczewski otwiera wszystkie okna, z których leci Disco Relax. Utwór rozwija się. Pojawiają się kolejne głosy. Najpierw głucho uderzenie spadającego przedmiotu. Za chwilę krótki, szczekający bas i wysoki kontrapunkt żony. Więc bas dwa razy i trochę wyżej. Żona odpowiada. Bas zaczyna dudnić. Płacz dziecka – to blokowa solówka. Na tle płaczu melodia żony, wysoko i smutnie. Jeszcze trochę basu, tym razem długo, w koło ta sama fraza. Po chwili wszystko znika. Pojawia się szum rur przenikających ściany bloku. Ślizgają się pięty, przelewa się woda. Utwór się kończy. W oknach migoczą niebieskie refleksy telewizorów.

Montana

Piwnica łączyła wszystkie klatki i zawsze mogliśmy przenieść się na drugi koniec bloku, gdy ktoś nas przeganiał. Oprócz nas, znajdował tam też schronienie Montana, starszy od nas o kilka lat, który nie chciał z nami gadać. Ksywę zawdzięczał pierwszym w bloku oryginalnym jeansom, które wtedy były dla nas nieosiągalne.

Kiedy zesłiliśmy do piwnicy, Montana już tam był. Spojrzał na nas z niecierpliwością, ale bez złości. Szelest, jak zwykle najodważniejszy z nas, przywitał się i zrobił aluzję do piwa, które pił Montana. Ten zawahał się, ale podał butelkę. Każdy z nas wziął po łyku. Nikt nie dał po sobie znać, jak okropny smak miał ten pierwszy raz w naszym życiu. A jednak to właśnie od tej chwili zaczęła grać katarynka: zakochany Szelest zawsze jednak bardziej kochał wódkę, a Gruby nigdy nie pił i wiele go ominęło – w tym nasze uznanie. Misiaczkowi zdarzało się, że po kilku głębszych traciła rozum, że aż przykro o tym mówić. Reszta też – rosła, starzała się, traciła, zyskiwała, ale nigdy na sucho.

A może było odwrotnie: Szelest pił spokojnie, tylko na chrzcinach i urodzinach, Gruby się stoczył, Misiacek nigdy nie piła, bo miała ojca pijaka...? Nie wiem, wtedy to nie było jeszcze takie pewne.

Karmel gubi zegarek ojca

Gdy wracaliśmy ze szkoły, okazało się, że Karmel zgubił zegarek ojca, oczywiście, pożyczony bez jego wiedzy. Fajne elektroniczne cacko z wieloma funkcjami, które przywiózł wujek z RFN-u. To był dla Karmela długi powrót do domu. Jeszcze trzy, dwa zakręty i będzie musiał przywitać się z piekłem. W końcu szedł tak wolno, że prawie stał w miejscu.

– Chłopaki, nie idę dalej. On mnie zabije! – zaczął swój wstęp do płaczu Karmel.

Zaczęliśmy go pocieszać, ale bez przekonania. Nogi Karmela same zaczęły się cofać. W końcu kucnął i bez żenady zaczął ryczeć. Po chwili jednak wyprostował się.

– Wiem, wiem! Powiem, że mnie napadali i zabrali zegarek. Tylko... – spojrzał na nas błagalnie – musicie mnie uderzyć, bo mi nie uwierzy.

Sprawa wydawał się prosta. Zaciskasz pięść i walisz prosto w twarz. Ale tak na zimno, bez powodu, to jednak nie to samo.

Pierwszy był Marcin, który zamachnął się, ale przed samą twarzą ręka mu zwiotczała i cios był pozorny, chociaż i tak Karmel przewrócił się i złapał za nos. Zrobiło się trochę żenująco i nieprzyjemnie zarazem. Niestety, twarz Karmela wciąż nie była wiarygodna. Potem próbowali inni, ale sytuacja zaczęła być beznaziejna, bo nikt z nas nie miał siły się przełamać. Karmel dostał spazmów.

– On mnie zabije, zabijeee! – ryczał. I ruszył na nas z pięściami.

Na taki obrót sprawy szlag trafił Grubego. Prawym prostym powalił Karmela na ziemię, poprawił dwa razy i złapał go za szyję. Ledwo żeśmy go odciągnęli.

I tak Karmel dostał wpierdziel dwa razy, bo nas sąsiad podejrzwał i doniósł ojcu.

Pimpek

Nazywaliśmy go Pimpek, bo był mały i chudy. Strasznie się wtedy wkurzał, sztywniał cały, zaciskał szczęki, aż mu żyły na szyi wychodziły. Nikt nie chciał Pimpka na boisku, braliśmy go zawsze w ostateczności i tylko na bramkę. Pimpek nie miał łatwego życia ani na podwórku, ani w domu. Ojciec skutecznie wybijał mu na tyłku i głowie jakiegokolwiek poczucie wartości. Pimpek nie wierzył w siebie, a my nie wierzyliśmy w Pimpka.

Na wielki mecz przygotowaliśmy się długo. Mieliśmy nawet coś na kształt treningów. Przeciwników nazywaliśmy Chamami. Byli to mocni, duzi chłopcy, którzy swój sukces znajdowali w tym, że parli na oślep do przodu. Strzelali z każdej pozycji, nawet jak nie było szans trafić, byle z całej siły. Budzili taki strach, że zabrakło nam bramkarza. No i trzeba było wziąć Pimpka.

Pierwszy strzał wygiął ręce Pimpka jak trzcinę. Druga potężna bomba wgniotła go do bramki. Pimpek zwymiotował, ale wstał. Po petardzie z pięciu metrów z nosa poleciała mu krew. Sami mieliśmy ochotę mu jeszcze dowieść. Przecież przegrywaliśmy, a na Pimpka nie było co liczyć.

– Pimpek, ty pierdoło! – ktoś krzyknął, kiedy piłka po raz kolejny trafiła do siatki.

Podarty, zakrwawiony Pimpek patrzył tylko tępo w ziemię. Następna akcja była ostatnią. Szybka kontra i nasz bramkarz został sam na sam z Chamem. Pimpek nie wymiękł. W momencie strzału skoczył wprost pod nogi przeciwnika. Wątkę ciątko przyjęło całą siłą kopnięcia. Nawet było słychać, jak dostał. Pimpek miękko opadł na boisko. Ale z piłką w rękach.

Pięta Achillesa

Musielśmy koniecznie sprawdzić, czy mamy piętę Achillesa, o której mówiła nasza polonistka. Gruby wymyślił, że musimy poddać się próbie siły, charakteru i odwagi.

W próbie siły mieliśmy zawisnąć na rękach na zewnątrz bloku, trzymając się framugi okna. Na szczęście Gruby mieszkał na pierwszym piętrze. Zawsze bałem się wysokości i szybko spocily mi się ręce. Pode mną był żywopłot i trawnik zanieczyszczony przez psy. Nie chcę mówić, co było dalej.

W próbie charakteru każdy z nas miał zniszczyć swoją ulubioną rzecz. Dla nas to nie było trudne, ale Gruby posiadał oryginalną kasety Gunsów przywiezioną przez wujka z RFN-u. Miała błyszczącą okładkę i wciąż wspaniale pachniała. Nasz kumpel drżącym głosem poprosił Szelesta, żeby zniszczył kasety. Gdy ten stworzył pudełko, Gruby wybuchnął płaczem.

Trzeba było mieć odwagę, żeby odwiedzić Pimpka. Jego ojciec miał swoje zwyczaje. Nigdy nie otwierał okien w mieszkaniu. Cała rodzina żywiła się rybami i smażoną cebulą. Wszyscy namiętnie palili Carmeny. Wytwarzali taki gaz, że płynęły łzy. Ja, Gruby, Szelest i Misiaczek wprosił się do Pimpka. Gdy ogarnęły nas pierwsze mdłości, Misiaczek wybiegła z mieszkania. Co dama, to dama.

Tylko Szelest przeszedł zwycięsko wszystkie próby. Właśnie triumfował na ławce przed blokiem, gdy z nadjeżdżającego samochodu wysiadła jego matka. Najpiękniejsza kobieta, jaką widziałem. Spojrzała na nas zalotnie i chwiejnym krokiem weszła do klatki. W powietrzu unosił się zapach perfum i alkoholu.

Szelest nie odezwał się już do nas do końca dnia. On też miał swoją piętę achillesową.

[tekst nagrodzony III nagrodą w XVII Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Pauksztzy w Kargowej]

Czesław Sobkowiak

Nie do końca umarł (o Marku Grewlingu)

Każda śmierć, a śmierć człowieka szczególnie, radykalnie zaburza porządek istniejących rzeczy, które nam w biegu życia towarzyszą, tworząc obraz i skład otaczającego świata. Śmierć dokonuje zubożenia. Zostawia wyrwę, ranę, miejsce puste, pustkę. Niemożliwą do zapelnienia. Tak właśnie czuję ten czas, te dni, po nagłym odejściu Marka Grewlinga 19 lipca, w Gorzowie, nie na plebanii, lecz w domu swoich rodziców. Miał 53 lata. Nagle szeroki krąg ludzi dotknął fakt jego ostatecznej nieobecności. Znamienne jest i nieprzypadkowe, że wszystkie lubuskie media jego śmierć odnotowały. I były telewizyjne migawki z pogrzebu. Niewątpliwie ta śmierć stała się natychmiast wstrząsającym wydarzeniem. Sensacją w środku lata. Przyszła stanowczo za wcześnie, bowiem Marek wkroczył dopiero co w szóstą dekadę życia. I mógł wiele jeszcze



Zbлизив

dokonać, ale życie skończyło się. Nie dało mu szansy. Nie podało już pomocnej ręki. Teraz ani jeden wiersz, telefon lub e-mail z jego strony.

Wszystkie sytuacje z nim związane – wyraz jego twarzy, jego słowa, fotografie, brzmienie głosu, myśli, teksty publikowane najczęściej w „Pegazie Lubuskim”, „Aspektach” lub w „Pro Libris” (tak jak w niniejszym numerze recenzja książki Mieczysława Warszawskiego), felietony i wiersze – uwyrażniły się. Także jego książki, po które można sięgnąć. A w ten sposób doczytać treści, na które wcześniej nie zwracało się uwagi. Można jeszcze opublikować utwory, które nie ujrzały światła dziennego. I koniecznie to warto zrobić, bo dopełnią obraz jego osoby. Może nawet przyczynią się do powstania legendy. W której zwykłość i niezwykłość, marzenie i realność, nieustannie przeplatały się. Chciałoby się w tym dramatycznym momencie poznać jeszcze dokładniej świat Grewlinga. Jego wrażliwość i obsesje, wzloty i upadki, prostotę bycia i liczne skomplikowania, słabości i siłę, oczywiście nie wszystko, bo to niemożliwe. Znaleźć wiele odpowiedzi, które by ukazały jego „ja” w pełni. Marek Grewling był bowiem nietuzinkowym, ponadprzeciętnym, pytającym o sens istnienia, człowiekiem. Humanistą

chcącym wiele zrozumieć, poznać i wyrazić. Może nawet za wiele? Był kapłanem i poetą, którego inspirowała oczywiście sfera religijna – odniesienia chrześcijańskie i biblijne pojawiały się w wierszach – ale i była fascynacja kobietą jako muzą, madonną, opiekuńczym aniołem, cielesnością. Ważnym tropem poetyckim był motyw anachorety (np. *Diariusz anachorety*, nacechowany autobiograficznie). Postać pustelnika żyjącego z dala od pokus, blichtru i ułudy świata. Taka alternatywa nurtowała go.

W ubiegłym roku obchodził jubileusz 25-lecia stanu duchownego. Jako poeta wydał kilka zbiorów wierszy (w tym adresowane do dzieci: *Bajeczki z niebieskiej księżeczki*, *Święci z niebieskiej księżeczki*, *Do nieba nie trzeba się śpieszyć*). Ale nie tylko w tym rzecz. Wyróżniał się duchową determinacją w sięganiu poza sferę pozoru i codziennego, przyziemnego banału. Stawiał pytania o Boga i człowieka. Tkwiła w nim jakaś doza niepokoju, który przyczyniał się do łamania życiowych lub obyczajowych konwencji. Nie bał się płacić wysokiej za te przekroczenia ceny. To, że jako ksiądz aż jedenaście razy zmieniał parafie (w okresie 1990-2016), nigdzie nie osiadając na dłużej, ma swoją symboliczną wymowę. Zapewne dlatego, że w głębi swej duszy chciał być zawsze autentyczny.



Wolny od ścisłej podległości, chciał być bliższy prawdy. Smakować swobodę życia, jego uroki, ale wtedy – co sam zauważył i dobrze wiedział, w czym rzecz – potrafi „przystąpić kusiciel”. To wszystko przysparzało mu problemów, w tym także zdrowotnych. W tej osobistej intensywności życia dochodził nierzadko do skrajności. Można rzec, że jako człowiek i ksiądz na różnych, trudnych drogach zbliżał się do wymiaru boskiej tajemnicy, oczywiście, zbliżał się lub czasem oddalał, tak było, jak bywa u każdego z nas, ale też jako poeta (może jeszcze dogłębniej) w każdorazowym akcie poetyckim myślał osiągnąć to samo. Ujrzeć niemożliwe do ujżenia. Wielkość nie do objęcia. Te dwie sfery (metafizyka i poezja) tworzyły jego duchowe przeznaczenie. Wektory perspektywy teologicznej i intelektualnej wyprowadzały go w różne sfery doświadczenia. Słży obok siebie, ale i składały się też na wewnętrzny konflikt świadomości. Wiarę w poznanie Całości poprzez wtajemniczające przyjęcie dogmatów wiary poddawał w sobie wewnętrznej weryfikacji oraz, z drugiej strony, w oparciu o siłę swojego ego, również przez pryzmat języka poetyckiego, do tej Całości dążył. Własnym czuciem i intuicją. Które same w sobie nie uwalniały go od chaosu, a w jego obrębie od eksperymentowania. On chciał „widzieć

tyłe światów ile one zechcą pokazać” (*Moje chore oczy*). Celem była, miała być, jasność wizji, ale fascynowała go także ciężka mroczność bytu. Pokładał nadzieję, że swoje osobiste, mentalne przeniknięcie sprzecznościami uda mu się w jakiś sposób ciągle rozwiązywać, że ten dwubiegunowy motor będzie dobrze funkcjonował, żeby pozwolić mu dojść do wewnętrznego ładu. Pęknięcie jednak było bardzo silne, silnie determinujące, dawało o sobie znać zwłaszcza w ostatnich latach. Tak więc życiowej dychotomii Marek Grewling nie przezwyciężył, choć podejmował w tym kierunku różne wysiłki. Jego nadzieje spotkał okrutny zawód. Samotność.

Utrzymywałem z Markiem sporadyczny, nie za daleko idący, kontakt. Przysłał mi kiedyś do lektury swój rozległy poemat szpitalny, o którym posłałem mu w odpowiedzi swoją opinię, i on ją uszanował. Czytałem z zaciekawieniem raz po raz jego pełne refleksji felietony. Dowiadywałem się sporo o gorzkich, osobistych przygodach życiowych. Tak. W wielu miejscach zostawił częstkę siebie. W różnych osobach. W parafiach, w których pełnił kapłańską posługę, pewnie jest pamiętany, i w swoich zapisanych słowach poetyckich, i innych, także jest pamiętany. Więc nie do końca umarł.



Ahaswerus

Dzisiaj nie pamięta czy była noc czy ranek
niewykluczone środek dnia

zresztą teraz to nie ma znaczenia po prostu
bardzo chciał uciec najdalej przekroczyć limes
Styks nie wchodził w grę – nie wierzył bowiem
że taka rzeka istnieje już przestał wierzyć w mity
więc szukał szarości przełamanej ciszą ukojenia

a wszystko po tym co zobaczył i po tym co zrobił
błakał się więc ulicami miasta błagając przechodniów
„zabijcie mnie” odpowiadał mu tylko ich śmiech

nie potrafił wyraźnie powiedzieć swojego nazwiska
może był Wolframem von Richthofenem Arthurem Harrisem
lub też Curtisem Le May w tandemie z Paulem Tibbetssem
nie widział ognia nie słyszał głosów dym spowił jego mózg

zmożony grzechem padł na trotuar powtarzając błaganie
pewnie dlatego ktoś go okradł i z litości wezwał pogotowie
gest ekspiacji
niezbadane są wymiary humanizmu – on to dobrze wiedział

a ona z pretensją domaga się podziwu dla nowej sukienki
a ona stawia pytania o kolor paznokci i słuszność decyzji
od których nie zależy los Guernica y Luno w Baskonii
ani tym bardziej Drezna czy Hiroszimy
zdziwiona zdawkową odpowiedzią rozzłoszczona rzuca słuchawką

jego oczy szukają limes Styks nie wchodzi w grę
nie wierzy że taka rzeka istnieje – przestał wierzyć w mity

nie potrafi nawet wypowiedzieć swojego nazwiska on
może von Richthofen może Harris albo Le May z Tibbetssem

Alfabet Anachorety

Przypomniały mi się litery z greckiego alfabetu
tu gdzie niepotrzebne są pisma klasyków
nie wspominając o współczesnych pisarzach
„nie interesują nas takie rzeczy”
– odparł Anachorecie indagowany mnich
Jedyna literatura to baśnie Emmerlich
oraz psalmy płynące z ust przez krtań
do żołądka niestrawne dla umysłu
dozwolona lektura
ale to po szczególnej cenzurze by dogmat
nie stracił blasku a myśli mnichów pozostały
wierne klasztorowi
Na Anachorecie nie robi to wrażenia wszak
musi tu tkwić oni przynajmniej dają kromkę chleba
w zamian za poręczenie zamilknięcia
Anachoreta jednak z rozczeniem z tęsknotą
wspomina kształty greckich liter kapryśne linie
i łuki lambdy figlarne fi namiętne alfy i bety jak piersi
ukochanej czy małą chorągiewkę delty sztandar nadziei
kształty na miarę filozofów czcionka wolności
teraz wypada udawać że nie zna ani jednego słowa
w tym języku że czyta tylko Emmerlich – jak wszyscy tutaj
teraz już musi udawać że zapomniał o słowie agape
pokochać za to porneia a dla nieuków czynić przypisy
kto wie? Może usatysfakcjonowany prezes mnichów
pozwoli na kolejną kromkę chleba z masłem
w uznaniu postępów resocjalizacji Anachorety
Anachoreta pozbył się emocji. Milczał patrzył
przez deszcz patrzył przez łzy

i po co mi była ta klasyczna greka

To zależy, co ma się światu do powiedzenia

O Związku Literatów Polskich i „Nadodrze” z Januszem Koniuszem rozmawia Mirosława Szott

Mirosława Szott: Na Ziemię Lubuską przyjechałeś z Katowic, gdzie przez kilka lat należałeś do Koła Młodych Pisarzy przy tamtejszym Związku Literatów Polskich. Miałeś już pewne doświadczenie w działalności literackiej. Co Ci to dało?

Janusz Koniusz: Na zebrania koła przychodzili członkowie oddziału ZLP. Analizowali nasze utwory, odpowiadali na pytania, doradzali. W ten sposób poznałem niemal wszystkich aktywniejszych społecznie pisarzy śląskich – Jana Brzozę, Wilhelma Szewczyka, którego lubiłem słuchać, bo mówił bardzo ciekawie, Bolesława Lubosza, poetę i tłumacza z obu języków łużyckich, Jana Baranowicza, Andrzeja Wydrzyńskiego, Zdzisława Hierowskiego. Gustaw Morcinek, zamieszkały w Skoczowie, pojawiał się w Związku Literatów rzadko. Pisał. Na spotkania autorskie i z odczytami z różnych okazji do Związku przyjeżdżali pisarze z Warszawy, Krakowa, Wrocławia. Wtedy miałem zaszczyt po raz pierwszy dygnąć przed Wiesławą Szymborską i zamienić z późniejszą noblistką kilka słów, posłuchać Mieczysława Jastruna, który mówił o Mickiewiczu, Wojciecha Żukrowskiego, Broniewskiego, którym po latach towarzyszyłem podczas ich pobytów na Ziemi Lubuskiej, Borowskiego, Putramenta. A moim niezapomnianym kolegą z koła młodych był niesamowity urwis Leszek Mech, wtedy jeszcze pisujący wiersze, a potem współscenarzysta *Bolka i Lolka*, ale to oddzielny temat. Z wszystkich tu wspomnianych nikt już nie żyje... 1 października 1954 r. z nakazem pracy, po ukończeniu Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Katowicach, znalazłem się w Zielonej Górze, która wtedy obchodziła zupełnie mi nieznane, bo skąd, święto Winobrania.



Janusz Koniusz

Dostać nakaz pracy – to wydaje się dziś absurdalne. Co w takiej sytuacji czuje dwudziestoletni Janusz? Czy był jakiś wybór?

Praca na Ziemach Zachodnich w tamtych latach to była, przynajmniej dla mnie, misja, jakiś moralny, patriotyczny obowiązek. Oczywiście mając różne znajomości, np. w Związku Literatów Polskich, mogłem pozostać w Katowicach. Wspomniany tu mój przyjaciel, Bolesław Lubosz, rodem z Tarnowskich Gór, załatwił mi nawet pracę na trzy miesiące w dziale kulturalnym katowickiej „Trybuny Robotniczej”. Ponadto to miały być tylko trzy lata. Studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej trwały wówczas trzy lata, podczas których otrzymywałem, inni także, stypendium, które należało odpracować. Ale życie ma swoje prawa. Po prostu tyle tu było pracy, a ja lubiłem się w różne rzeczy angażować. Ponadto ożeniłem się, urodziła mi się córka i to już nie byłby

powrót z jedną walizką, tylko normalna przeprawka do Katowic, Sosnowca czy jakiegoś innego miasta na Śląsku czy w Zagłębiu Dąbrowskim. Inne miasta i regiony mniej mnie interesowały.

Kto jeszcze poza Tobą aktywizował zielonogórskie środowisko literackie?

Było nas kilkoro. Przede wszystkim Tadeusz Jasiński, prozaik, dziennikarz, od początku nasz lider. Roman Łoboda, starszy od Różewicza, Szymborskiej, lekarz dentysta, z grubym portfelem, zawsze elegancko, modnie, na czarno ubrany. Miłośnik sztuk plastycznych, teatru i pięknych kobiet. Niezłą organizatorką była Ingeborga Bieniek, białowłosa, żona Ignacego Bieńka, zawodowego plastyka. Niestety, nazbyt gadatliwa. Od razu zaprzyjaźniłem się z Tadeuszem oraz Henrykiem Szyłkinem, także jak ja, nauczycielem polonistą. On już mieszkał w Zielonej Górze, ja dojeżdżałem z Sulechowa, gdzie uczyłem przyszłe przedszkolanki. Piękne dziewczyny... Potem przeniesiono mnie do koedukacyjnego ogólniaka. Społecznie redagowałem „Głos Sulechowski” oraz audycje w miejscowym radiowęźle. W listopadzie w tamtejszym domu kultury przy pomocy uczniów zorganizowałem dużą wystawę związaną z setną rocznicą śmierci Mickiewicza. Niemal wymusiłem na tamtejszej władzy ufundowanie tablicy upamiętniającej pobyt Chopina w Sulechowie. Pierwszy wiersz, jaki napisałem w Sulechowie, zresztą bardzo słabiutki, po prostu przedszkolny, miał tytuł *Chopin w Sulechowie* i został opublikowany w „Nowej Kulturze”.

Wspominasz, że z prozaicznych powodów spotykaliście się w siedzibie Zarządu Wojewódzkiego Związku Młodzieży Polskiej przy ul. Chopina, gdzie dzisiaj znajduje się ośrodek zdrowia. Można było tam przychodzić w niedziele i – jak zaznaczasz – było ciepło. Czy wymagali od was aktywności ideologicznej? Jak wspominasz tamte spotkania?

Nie, nikt od nas niczego nie wymagał.

A gdyby jednak wymagali, wolelibyście działać w układzie? Lub inaczej: czy dla sztuki trzeba czasem pójść na kompromis ze sobą? Dopytuję, bo współczesność być może postawi niedługo przed takimi dylematami też moje pokolenie.

To zależy, co ma się światu do powiedzenia. Jeśli coś niesamowicie ważnego, co ten świat może o milimetr polepszyć, poprawić, uzdrowić i udoskonalić, wnieść do sztuki, literatury jakąś nową wartość, to nie wolno się poddawać. Jednym z przykładów jest często biedujący wielki poeta, artysta Norwid – a mógł przecież tworzyć pod publiczność, pod gusta bogatych panów i bogatych pań. Cóż by jednak dzisiaj po nim pozostało? Nic. Ale iść w zaparte o rzeczy bzdurne, z których najczęściej składa się nasze życie, nie ma sensu. Szkoda czasu i energii.

A tamte spotkania wspominam z sentymentem. Brakowało mi wtedy kolegów, koleżanek o podobnych zainteresowaniach. Nagle przecież wypadłem z gniazda. Z Katowic. Z tamtego środowiska. Kto tego nie przeżył, trudno mu to zrozumieć. Najważniejsze stawały się pierwsze w nowym środowisku literackie przyjaźnie czy znajomości. Ale też czytanie własnych tekstów, dyskusje. Pamiętam Łobodę, który czytał swoje wiersze z namaszczeniem. Wysoko je cenił. Jeździł do Warszawy, aby je pokazać samemu Arturowi Sandauerowi.

Spotykaliście się, czytaliście swoje teksty. Chcieliście je drukować. Jest rok 1955. Setna rocznica śmierci Adama Mickiewicza. Opowiedz o okolicznościach wydania jednodniówki „Ziemia Lubuska” i pierwszych numerów „Nadodrza”.

Czytane na zebraniach najlepsze teksty gromadzono, żeby je mieć pod ręką, gdy tylko przytrafi się okazja druku. „Ziemia Lubuska” ukazała się latem 1955 r. zredagowana praktycznie przez Romana Łobodę, bo niemal wszyscy rozjechali się na urlopy, a mnie powołano na ćwiczenia wojskowe. Nikt się tej okazji tak szybko nie spodziewał. Wykorzystał ją Łoboda, za co mu wieczna sława, ale jednocześnie prawie pół numeru wypełnił swoimi utworami. Pod swoim nazwiskiem i pseudonimami opublikował poemat o Mickiewiczu, wiersze, fraszki, szkice krytyczne. Powracając z ćwiczeń, w kiosku na dworcu w Katowicach kupiłem „Nową Kulturę” z *Poematem dla dorosłych* Ważyka i co urasta do pewnego symbolu... „Ziemie Lubuską”. Na pierwszym, powakacyjnym zebraniu Łoboda straszliwie oberwał za pazerność, samolubstwo i nieliczenie się z nikim. Szyłkin jednod-

niówkę nazwał „Łobodówką” i omal nie doszło do rozłamu w kole. Poważnione strony uspokoił zawsze flegmatyczny Tadek Jasiński. Po dwu latach, już po powstaniu Lubuskiego Towarzystwa Kultury wydaliśmy kolejną jednodniówkę pod nazwą „Nadodrze”, gdyż w nawiązaniu do katowickiej, tużpowojennej „Odry”, redagowanej przez Wilhelma Szewczyka, chcieliśmy obejmować zasięgiem tematycznym i kolporterskim całe Nadodrze, od Opolszczyzny po Szczecińskie. To był jednak pomysł ponad nasze możliwości. Władze odrzuciły go natychmiast. Ale tytuł pozostał.

Zapraszaliście do Zielonej Góry znanych pisarzy. Co wam dawały spotkania z Iwaszkiewiczem, Przybosiem, Ważykiem, Szymborską, Andrzejewskim, Wańkowiczem. I wieloma innymi. Z niektórymi kontaktowałeś się prywatnie, gościłeś we własnym mieszkaniu, gdy po popołudniowych spotkaniach autorских czekali na nocny pociąg z Zielonej Góry do Warszawy?

To już było znacznie później. Po roku 1957, także po powstaniu Lubuskiego Towarzystwa Kultury, kiedy udawało się nam pozyskać nieco pieniędzy. Autorom płaciliśmy honoraria za spotkania, zwracaliśmy koszty podróży, hotele. Pobyty wybitnych pisarzy, organizowanie zjazdów pisarzy Ziem Zachodnich, a jak mawiał Przyboś – sympozjonów, to była mniej lub bardziej udana próba skrócenia ogromnego dystansu pomiędzy Warszawą, Krakowem, Wrocławiem, Poznaniem czy Łodzią a maleńką wobec tamtych miast, prowincjonalną, pozbawioną szkół wyższych, inteligencji humanistycznej Zieloną Górą. Do tych działań, co trzeba przypomnieć, włączały się także inne miasta – Gorzów Wlkp., Żary, Głogów, wtedy należący do województwa zielonogórskiego, czy Gubin utrwalony w słynnym reportażu Mariana Brandysa o tamtejszej grupie twórców i miłośników literatury. Na temat życia literackiego w naszym regionie napisano już kilkanaście książek. Píše o tym Siatecki, Rudiak, także i ja, np. w *Wiązaniach pamięci* również wspominam kilku pisarzy, którym towarzyszyłem jako organizator ich spotkań z czytelnikami, a potem niektórych miałem zaszczyt gościć wraz z żoną w naszym mieszkaniu.

Podczas spotkań dyskusje, jak na owe czasy, były bardzo odważne. Bez cenzury. Autorzy, np. Andrzejewski, czytali fragmenty książek, których nie pozwalał drukować urząd kontroli prasy i wydawnictw. Na spotkaniu w zajęтым do ostatniego krzesła klubie oficerskim w Kożuchowie Jan Izidor Sztaudynger powiedział fraszkę: „Moja ciotka miała dziecko / z Armią Radziecką”. Skończyło się na długim, głośnym śmiechu.

Współcześnie mityzujemy „Nadodrze”, być może przypisujemy mu zbyt wiele. Długo pracowałeś w redakcji. Jak patrzysz na to pismo dzisiaj?

Z „Nadodrzem” byłem związany od początku, od pierwszego numeru w 1957 r., a jeszcze wcześniej od jednodniówki „Ziemia Lubuska”. Najpierw na tzw. ryczałcie prowadziłem dział kulturalno-literacki, potem literacki, a w ostatnim dziesięcioleciu pełniłem funkcję naczelnego. Tak już w naszym życiu jest, że na przeszłość i to tę najdalszą, patrzymy z ogromnym sentymentem. Kilka stwierdzeń nie podlega, według mnie, dyskusji. Już samo powstanie pisma o charakterze społeczno-kulturalno-literackim w maleńkim środowisku, bez większego humanistycznego zaplecza było sporym sukcesem. Z konieczności „Nadodrze” stało się pismem debiutantów. Mieliśmy jakieś doświadczenia w redagowaniu pism, pisemek, ale minimalne. W różnych latach w „Nadodrze” pracowali dziennikarze o ponadregionalnej renomie, autorzy samodzielnych książek – A.K. Waśkiewicz, Alfred Siatecki, Irena Kubicka, Ryszard Rowiński, Halina Ańska, Tadeusz Kajan, żeby do tych nazwisk się ograniczyć. „Nadodrze” współpracowało z niektórymi późniejszymi profesorami Uniwersytetu Zielonogórskiego. Z miejscowymi literatami. Na łamach pisma debiutowało kilku znanych później poetów i prozaików. Podejmowaliśmy problemy, których nikt wtedy nie podejmował. „Nadodrze” było pismem lubuskiego ruchu regionalnego, co w pewnym stopniu określało jego charakter, profil. Patrząc dzisiaj na moją pracę w „Nadodrze”, oceniam ją krytycznie, wiele rzeczy zrobiłbym inaczej, wydaje mi się, że lepiej. Jedno nieco mnie usprawiedliwia. „Nadodrze” należało do tamtej epoki, szczególnie dla wielu młodych trudnej do zrozumienia, i jak inne tego typu

pisma, z tamtą epoką upadło. Wypadło mi być nie tylko współakuszerem „Nadodrza”, ale także jego współgrabarzem. Próba wskrzeszenia pisma pod nazwą „Nowe Nadodrze” z nową, młodą redakcją też się nie powiodła. Po prostu tego rodzaju pisma odeszły bezpowrotnie do historii.

Marzy mi się, by ktoś napisał solidną, rzetelną, profesjonalną monografię „Nadodrza”. Sądzę, że pismo to na taką pracę sobie zasłużyło.

Oddział ZLP powstał w Zielonej Górze w 1961 r. Od początku byłeś członkiem jego zarządu. Pamiętasz wówczas stawiane przez was cele? Jak teraz, po latach, oceniasz wasze działania?

W oddziale pełniłem wszystkie funkcje, od prezesa do szeregowego członka zarządu. Teraz koleżanki i koledzy odesłali mnie na emeryturę honorowego prezesa. Pierwotnie było nas w oddziale sześciu członków. Staraliśmy się pomóc finansowo tym najsłabszym, najmniej zaradnym, chorym, np. Włodzimierzowi Korsakowi, Papuszy... A ZG ZLP w Warszawie dysponował wtedy pieniędzmi. Propagowaliśmy współczesną literaturę. To był ten specyficzny trójkąt – ZLP, LTK, „Nadodrze”. Ten małeńki oddział przyczynił się do zorganizowania dwu zjazdów pisarzy Ziemi Zachodnich, kilku innych imprez o charakterze literackim. Zabiegaliśmy o przyjęcie do Związku Papuszy, której ta garstka wierszy wtedy nie była tak wychwalana jak dzisiaj. Utrzymywaliśmy kontakty z pisarzami z ościennych państw, w tym jako nieliczni w kraju z pisarzami łużyckimi. Alfred Siatecki, wtedy prezes naszego oddziału, wymyślił doroczną imprezę – konkurs pod nazwą Lubuski Wawrzyn Literacki. Pomysł spodobał się Marii Wasik, ówczesnej dyrektorki WiMBP w Zielonej Górze. Dzisiaj do Wawrzynu Literackiego doszedł jeszcze Wawrzyn Naukowy i Wawrzyn Dziennikarski, co dla mnie przynajmniej stało się kontrowersyjne, bo w tym wawrzynowym wieńcu każdy z osobna stracił na znaczeniu. Aktualnie zaś urzędujący prezes Eugeniusz Kurzawa zaproponował nagrodę im. Andrzeja K. Waśkiewicza i promuje jego twórczość poświęconą naszemu regionowi i środowisku. Od lat współpracujemy z Miejską Biblioteką Publiczną im. Eugeniusza Paukshy w Kargowej w organizacji konkursów

literackich inspirowanych twórczością tego pisarza. Pisarza kulturowego pogranicza. Współdziałamy na różnych polach z WiMBP w Zielonej Górze, z innymi bibliotekami, chociaż ta współpraca, według mnie, mogłaby być intensywniejsza.

Co masz konkretnie na myśli? W jakim kierunku mogłaby pójść ta współpraca?

Film fabularny o Papuszy, która od początku aż do swojej śmierci w Inowrocławiu należała do naszego oddziału, stał się artystycznym wydarzeniem. Pokazywany jest nie tylko w Polsce, w naszej telewizji, także np. w Afryce. Powstały o tej romskiej poetce i powstają prace naukowe, filmy dokumentalne. Wśród tych, co odeszli, jest kilka nazwisk, które także zasługują na szczególną pamięć. Kolega Robert Rudiak zamierza zorganizować objazdową wystawę poświęconą życiu i twórczości Michała Kaziowa. Z pomocą biblioteki wojewódzkiej zabiega o fundusze. Michał Kaziów to w dziejach naszej najnowszej literatury postać niepowtarzalna. Biblioteka w Świebodzinie nie może zapominać o Gustawie A. Łapszyńskim, poecie, dziennikarzu, który w tym mieście przez wiele lat żył i pracował. Nie mam wątpliwości, że dr Wiesław Sauter, pamiętnikarz, eseista, jeden z najwybitniejszych regionalistów, członek naszego oddziału zasłużył sobie, by miejscowa biblioteka nosiła jego imię. Podobnych inicjatyw można zgłosić wiele. Po prostu więcej kontaktów pisarzy z bibliotekami. Także tymi powiatowymi, miejskimi, gminnymi. Ze szkołami.

Czy Związek Literatów ma jakąś przyszłość, czy raczej mają ci, którzy wróżą mu wygaśnięcie?

Z dawniejszej rangi, estymy członka ZLP pozostały jedynie wspomnienia. Literat, podobnie jak każdy Polak, dysponuje podczas wyborów tylko jednym głosem. Więc nikt się nami praktycznie nie interesuje, nie martwi. Podobnie zresztą jak innymi twórcami. Książka stała się towarem jak buty. Istnieje ogromny kryzys książki, niewiele ją czyta, czego dowodzą wyniki ostatnich badań, jeszcze mniej kupuje. Zamyka się księgarnie. Sądzę, że za parę lat oba związki literackie – ZLP i Stowarzyszenie Pisarzy Polskich – z biedy i w biedzie się połączą, może uda im się poprawić los wielu piszących. Środowiska pisarskie, niestety ciągle skłócone, potrzebują mecenasów,

którymi powinny być samorządy, różne firmy, osoby prywatne, jak to jest na Zachodzie. O państwie nie wspominam, bo to oczywiste. Odpowiedź na to pytanie to temat na niejedną sesję literacko-naukową.

Pisarstwo, pisanie to praca jednoosobowa, samotna, osobnicza. Aby tworzyć, trzeba posiadać talent, dar bardzo rzadki, umiejętność widzenia

samego siebie, najbliższych, rozumienia historii, świata, perfekcyjną znajomość języka, w którym się pisze. Plus, oczywiście, praca. A tych wszystkich cech żaden związek żadnemu swojemu członkowi nie przekaże. Zresztą historia literatury dowodzi, że wielu i to najwybitniejszych pisarzy, artystów do żadnego twórczego związku nie należało.



Anna Polus
Magdalena Kremer-Sochacka

Wokół książek 2. Zielonogórskiego Festiwalu Filmu i Teatru *Kozzi – Dymny – Himilsbach*

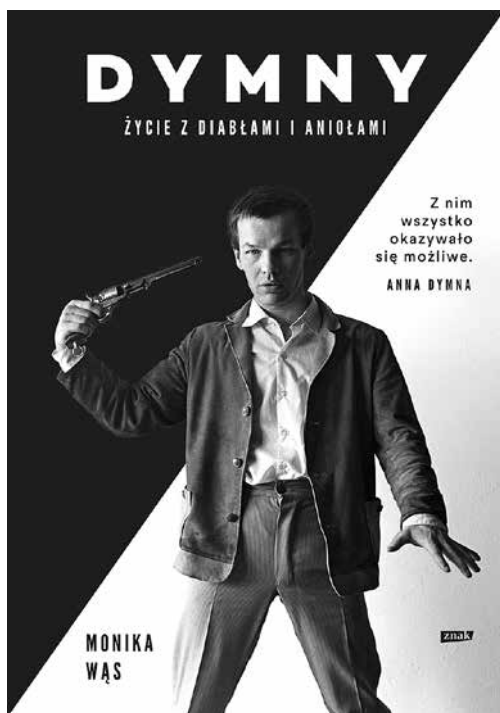
Za nami 2. Zielonogórski Festiwal Filmu i Teatru *Kozzi – Dymny – Himilsbach*. Pięć lipcowych dni (6-10.07.2016) wypełniły projekcje filmowe, spektakle teatralne, spotkania z twórcami, aktorami, krytykami, rozmowy o książce filmowej i teatralnej oraz spotkania z książkami dla dzieci. Jako że głównym organizatorem Festiwalu jest Biblioteka Norwida, wydarzenia promujące książki oraz rozmowy z ich autorami były ważnym elementem całej imprezy.

Po pierwsze, sięgnęliśmy po publikacje o patronie naszego Festiwalu, Wiesławie Dymnym. W czerw-

cowej forpoczcie imprezy gościliśmy Monikę Wąs z książką *Dymny. Życie z diabłami i aniołami*. Autorka, zafascynowana postacią wszechstronnego artysty, napisała obszerną biografię Dymnego. Ujęła w książce skomplikowaną osobowość Dymnego – niepoprawnego, wrażliwego romantyka, genialnego i wszechstronnego artysty, bezkompromisowego, niesprzedajnego człowieka. Pojawia się w niej jednostka o wielu talentach: aktor, scenarzysta filmowy, poeta, prozaik, satyryk, współtwórca Piwnicy pod Baranami, autor wierszy, piosenek, rysunków. Zawarte w książce anegdota i wspomnienia są tłem do pokazania nietuzinkowego życia „kolorowego ptaka” w szarej rzeczywistości PRL. Jego twórczość negowała system, ale on sam nie przeciwstawiał się władzy. Nie dawał się jedynie wtłoczyć w żadne ramy ograniczające go jako twórcę. Życie prywatne, w pewnych okresach burzliwe, cechowała porywczoność, wrażliwość, miłość i zazdrość. Wiele miejsca autorka poświęca skomplikowanemu związkowi z Anną Dymną. Kładzie również nacisk na dorobek filmowy Dymnego – współautorstwo z Henrykiem Klubą scenariuszy filmowych: *Chudy i inni*, *Słońce wschodzi raz jeszcze* oraz na teksty piosenek, które należą do kanonu polskiej muzyki rozrywkowej: *Niebieska patelnia*, *Konie Apokalipsy* czy *Czarne anioły* z muzyką Zygmunta Koniecznego w interpretacji Ewy Demarczyk. Autorka opisuje także działalność Piwnicy pod Baranami i życie artystyczne krakowskiej bohemy.

W pogardzie miał Dymny sławę, pozostaje jednak legendą, a zwłaszcza buntownikiem, zastępującym na miano polskiego Jamesa Deana.

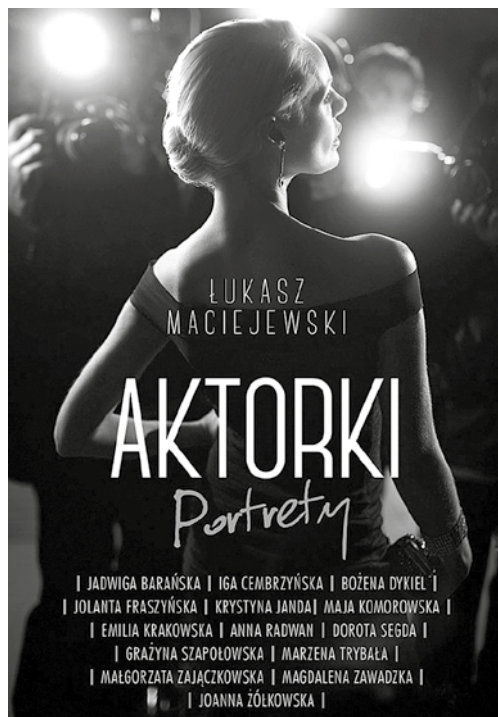
Podczas Festiwalu zainaugurowaliśmy wakacyjny cykl spotkań ph. Z książką *na leżaku*. Jego współ-



realizatorem jest Zielonogórski Ośrodek Kultury, który umieścił je w swoim Lecie Muz Wszelakich. Pierwsze spotkanie to rozmowa z bohaterką książki *Krystyna Sienkiewicz. Różowe zjawisko* i jej autorem Grzegorzem Ćwiertniewiczem, zafascynowanym postacią aktorki.

Przyjazd Krystyny Sienkiewicz jest zawsze wydarzeniem. Kochana przez wszystkie pokolenia odbiorców, ubóstwiana za otwartość, lekkość dowcipu, wspaniałe kreacje w teatrze, filmie, kabarecie... Ona też zawsze uwielbiała kontakt z publicznością i tak jej zostało. Żarty, anegdoty, celne puenty – tym właśnie wypełnione było spotkanie w Café Film. Jak mówi aktorka: scena, estrada to był i jest jej żywioł, choć – jak szczerze wyznała w rozmowie – nie wszystkich (wymienionych wręcz z nazwiska), z którymi przyszło jej pracować, lubi. No cóż, taka osobowość, żeby nie powiedzieć osobistość, może sobie pozwolić na szczerłość... A więcej prawdziwych informacji zawiera książka Grzegorza Ćwiertniewicza – polonisty i recenzenta teatralnego, będąca plonem jego pracy doktorskiej o aktorstwie Krystyny Sienkiewicz.

Łukasz Maciejewski promował w Zielonej Górze swoją nową książkę *Aktorki. Portrety*, a my mieliśmy to szczęście, że dwie z czternastu bohaterek – rozmówczyń autora, były gośćmi naszego Festiwalu: Marzena Trybała i Małgorzata Zajączkowska. Obie panie na spotkaniach z publicznością z wdzięcznością i zachwytem mówiły o współpracy z Ł. Maciejewskim. W charakterystyczny dla siebie sposób autor skłania rozmówczyń do opowieści o drodze do aktorstwa, inspiracjach, sile i słabościach oraz wspomnień, które doskonale obrazują współczesność polskiego kina i teatru. Czytelnicy, poza szczegółami pracy artystycznej, poznają codzienność życia gwiazd, ich pragnienia, marzenia, plany. Te szczerze wypowiedzi nie burzą w żaden sposób wyjątkowości postaci, są to przecież najwybitniejsze polskie aktorki. A w kolejce czekają następne... I same do autora dzwonią... Książka *Aktorki. Portrety* ukazała się kilka miesięcy temu i jest bestsellerem na polskim rynku wydawniczym. Bez wątplenia to zasługa autora, którego wyróżnia profesjonalizm, wiedza, perfekcyjne przygotowanie do rozmów i ogromny takt.



Łukasz Maciejewski, filmoznawca, krytyk teatralny i filmowy, juror wielu międzynarodowych festiwali filmowych oraz autor książek (*Przygoda myśli, Aktorki. Spotkania, Wszystko jest lekko dziwne, Flirtując z życiem*) współpracuje z zielonogórską Biblioteką Norwida od pięciu lat. Współpraca rozpoczęła się przy pierwszej edycji Festiwalu w Kargowej i była kontynuowana tamże przez trzy kolejne lata, trwa nadal po przenosinach Festiwalu do Zielonej Góry. Maciejewski jest autorytetem w świecie filmu i teatru, pedagogiem, wykładowcą na Wydziale Aktorskim w Szkole Filmowej w Łodzi, uznanym krytykiem; nawiązał i kontynuuje współpracę z wieloma tygodnikami oraz stacjami telewizyjnymi, m.in. TVP Kultura, HBO, jest także ekspertem Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. Współpraca z nim to dla organizatorów Festiwalu ogromny zaszczyt i przyjemność.

Anna Dymna to jedna z najwybitniejszych polskich aktorek teatralnych i filmowych. Nie było łatwo zaprosić ją do Zielonej Góry, dyrektor Festiwalu Andrzej Buck zabiegał o to kilka lat. Różnorodne

zajęcia aktorki: praca artystyczna i pedagogiczna, działalność społeczna i inne zobowiązania nie sprzyjały wizycie. Wreszcie się udało – poza spektaklem Krakowskiego Salonu Poezji możliwe było spotkanie z publicznością, do którego pretekstem była książka *Dymna* Elżbiety Baniewicz wydawnictwa Marginesy. Rozmowę prowadził Łukasz Maciejewski. Anna Dymna kochana jest i ceniona nie tylko za wybitne role teatralne i filmowe, ale też za wielkie człowieczeństwo, chęć służenia innym i szlachetność. Biografia odkrywa szereg smutnych i tragicznych przeżyć, które zahartowały aktorkę i uczuliły na ludzką krzywdę. Poznajemy życie prywatne, śledzimy rozwój kariery, dostrzegamy wpływ na Dymną niezującego pierwszego męża aktorki Wiesława. A że ukształtował ją nie tylko artystycznie i wyposażał w ogromną wrażliwość, wiemy z książki Moniki Wąs. Publikacja wzbogacona jest bogatą ikonografią, wspaniałymi fotografiami aktorki, rodziny, znajomych i przyjaciół. Daje doskonały obraz polskiego teatru za jego najlepszych lat, dokumentując działalność artystyczną aktorki w Teatrze Starym w Krakowie, z którym zawodowo jest związana od początku kariery, oraz Teatru Telewizji, w spektaklach którego utrwalono jej wielkie kreacje aktorskie.

Krzysztof Orzechowski, aktor, reżyser, pedagog, dyrektor Teatru im. J. Słowackiego w Krakowie towarzyszył podczas Festiwalu żonie Annie Dymnej. Poza uczestnictwem w gościnnym spektaklu Krakowskiego Salonu Poezji promował swoją książkę *Podróż do kresu pamięci* – barwną opowieść o korzeniach, losach rodzinnych, drodze artystycznej od początkującego aktora, reżysera do dyrektora teatru. Książka, prowadząc nas od końca XIX w. po współczesność, daje wspaniały obraz życia polskiej inteligencji, dziejów rozwoju teatru w Polsce, a w tle burzliwa historia naszego kraju. Anegdoty, interesujące wspomnienia domu rodzinnego, zawile losy bliskich, barwna opowieść wzbogacona unikalnymi fotografiami – wszystko to doskonale obrazuje klimat przeszłości i składa się na interesującą opowieść, nie tylko rodzinną sagę.

Kolejnym gościem Zielonogórskiego Festiwalu Filmu i Teatru była Kinga Dębska – reżyserka filmu *Moje córki krowy*, autorka książki pod tym

DYMNA



samym tytułem. Napisana na podstawie własnego scenariusza książka dotyka ważnych, często skrywanych przed światem, pokomplikowanych relacji rodzinnych. W filmie i książce wiążą się one z odchodzeniem rodziców i wzajemną niechęcią siostr. Marta i Kasia – tak różne, na swój sposób i szczęśliwe, i nieszczęśliwe, nie czują wzajemnej bliskości. W obliczu trudnej sytuacji (najpierw choroba matki i jej przedwczesna śmierć, później choroba ojca) zmuszone są do współdziałania. I tak udaje im się odbudować więź siostrzaną, znów stają się sobie bliskie. Książka jest i smutna, i zabawna. Autorka przełamuje tabu, nawet o śmierci i chorobie mówi ze swadą i pozwala się czytelnikowi śmiać. Na przekór nieuchronności śmierci bliskiej osoby zwycięża przyzwoitość i siostrzana miłość. Debiut literacki pomógł Kingie Dębskiej uporać się z własnymi przeżyciami towarzyszącymi przedwczesnemu odejściu rodziców. A „krów”, jak sama mówi, we współczesnym świecie jest dużo... Książka nie zostawia czytelnika obojętnym, jest prawdziwa jak życie...

Podczas Festiwalu odbyły się także dwa spotkania z poczytnymi i lubianymi pisarzami dla dzieci: Joanną Krzyżanek i Dariuszem Rekoszem.

Joanna Krzyżanek odwiedziła Zieloną Górę po raz kolejny, bo jak sama mówi, do Zielonej Góry ma zawsze po drodze. Jako miłośniczka liter przyjechała do nas z serią książek o Cecylce Knedelek, dziewczynce, która mieszka w Starym Knedelkowie, przy ulicy Naleśnikowej 5, ma niebieskie oczy i pomidorowe włosy, potrafi przeskakiwać przez strumyk, rozwieszać pranie na linie, chodzić po kałuzach i piec babeczki z czereśniami. Spotkanie miało miejsce na zielonogórskim deptaku, w ogródku restauracji Bachus, pachniało truskawkami i bitą śmietaną, a Joanna Krzyżanek snuła opowieści o starym Knedelkowie. Opowiadała o mieszkańcach wioski, a przede wszystkim o najlepszej przyjaciółce i współlokatorce Cecylki – gąsce Walerce. W trakcie warsztatów dzieci przygotowały jadalne filizanki z ciastek, wafelków, precelków, czekolady i truskawek, którymi na koniec spotkania zajaдаły się i częstowały innych. W podziękowaniu za „smaczne spotkanie” dzieci

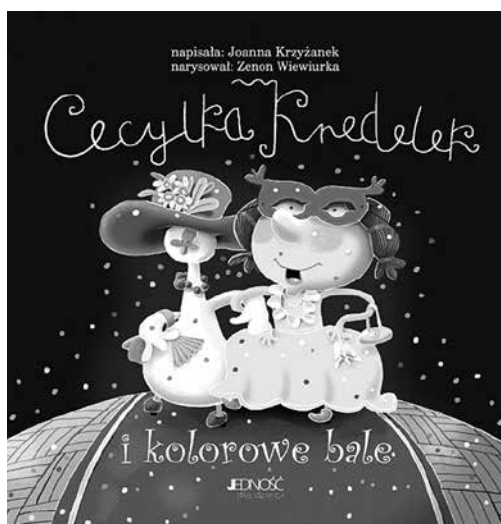
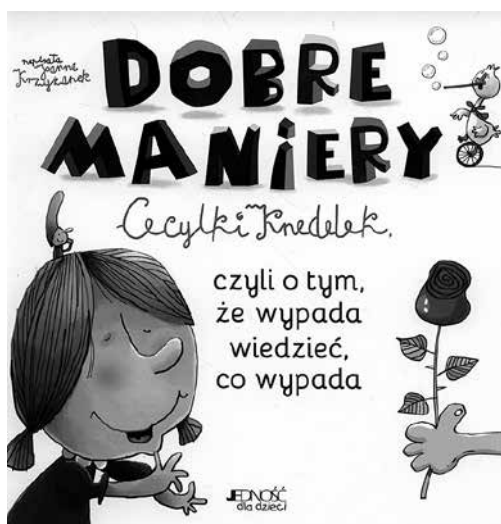


nagrodziły autorkę brawami i poprosiły o kolejne spotkanie. Joasia Krzyżanek zakończyła spotkanie, wręczając dzieciom pamiątkowe dyplomy ze swoim autografem.

Dariusz Rekosz, autor detektywistycznych książek dla dzieci, młodzieży i dorosłych na swoje spotkanie zaprosił najmłodszych uczestników 2. Zielonogórskiego Festiwalu Filmu i Teatru. Już sam jego tytuł „Mini-detektyw – to jest to!” wzbudził ogromne zainteresowanie dzieci, które wraz z opiekunami tłumnie przybyły do restauracji Bachus. W trakcie

spotkania Dariusz Rekosz zapowiedział, że nie będzie mówił o swojej twórczości, za to zabrał uczestników warsztatów w ciekawą podróż po szyfrach, pokazując, jak szyfrować i rozszyfrowywać zwykły tekst, jak zakodować list do koleżanki czy kolegi. Autor wyjaśnił niemal wszystkie niuanse teorii kodowania. Zaprosił również do rysowania portretów pamięciowych, pokazał, jak fachowo zbiera się odciski palców i fotografuje podejrzanego. W trakcie spotkania dużo było literackich zagadek, które porwały zarówno dzieci, jak i dorosłych, dużo było też śmiechu i wyrazów uznania dla tych, którzy poradzili sobie z detektywistycznymi wyzwaniami. Na koniec spotkania autor wręczył aktywnym uczestnikom warsztatów książki ze swoim autografem. Podobnie jak po spotkaniu z Joanną Krzyżanek, uczestnicy podziękowali pisarzowi gromkimi brawami. Dariusz Rekosz, autor serii książek *Mors*, *Pinky* i... został również zaproszony przez dzieci do Zielonej Góry na kolejne spotkanie.

Festiwalowe książki doskonale uzupełniły filmowo-teatralny charakter imprezy. O pięknych książkach warto rozmawiać przy każdej okazji.



Lubuskie Wawrzyny 2015

25 lutego 2016 r. o godz. 18.00 w Centrum Nauki Keplera – Planetarium Wenus odbyła się uroczysta gala wręczenia „Lubuskich Wawrzynów 2015”. Impreza zorganizowana przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. C. Norwida w Zielonej Górze oraz Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. Z. Herberta w Gorzowie Wielkopolskim po raz pierwszy miała miejsce poza siedzibą Biblioteki. Obszerna sala dawnego Kina Wenus umożliwiła zaproszenie wszystkich uczestników konkursu, przy jednoczesnym zachowaniu komfortowych warunków. Dodatkową atrakcją było samo miejsce wzbudzające nostalgiczne wspomnienia, ale również oferujące w swojej nowej odsłonie interaktywne stanowiska popularyzujące technikę i naukę.

Bezpośrednio przed uroczystością, o godz. 17.00 w głównym budynku WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze, odbyło się nadanie imienia Andrzeja Krzysztofa Waśkiewicza Klubowi Pro Libris. Przed odnowioną salą umieszczono tablicę upamiętniającą krytyka literatury, edytora i poetę, laureata Nagrody im. Jarosława Iwaszkiewicza oraz członka jury „Lubuskiego Wawrzynu Literackiego”, a w środku wystawę publikacji o nim i jego autorstwa.

Partnerem w organizacji „Lubuskiego Wawrzynu Literackiego” był Związek Literatów Polskich Oddział w Zielonej Górze, który jest związany z konkursem od samego początku jego istnienia (1994). W przygotowaniu „Lubuskiego Wawrzynu Naukowego” pomogły tradycyjnie cztery lubuskie uczelnie: Uniwersytet Zielonogórski, Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wielkopolskim, Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa w Sulechowie oraz Zamiejscowy Wydział Kultury

Fizycznej w Gorzowie Wielkopolskim Akademii Wychowania Fizycznego w Poznaniu. „Lubuski Wawrzyn Dziennikarski” zorganizowano przy wsparciu Lubuskiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej.

Patronatem honorowym wydarzenie objęli: Wojewoda Lubuski Władysław Dajczak, Marszałek Województwa Lubuskiego Elżbieta Anna Polak, Prezydent Miasta Zielona Góra Janusz Kubicki oraz Prezydent Miasta Gorzowa Wielkopolskiego Jacek Wójcicki. Patronat medialny sprawowała Gazeta Lubuska, Telewizja Polska S.A. Oddział w Gorzowie Wielkopolskim oraz Radio Zachód S.A.

W tym roku Kapituła „Lubuskiego Wawrzynu Literackiego” obradowała w składzie: przewodnicząca prof. dr hab. Inga Iwaszów (Uniwersytet Szczeciński), prof. dr hab. Małgorzata Mikołajczak (UZ) oraz Leszek Żuliński, funkcję sekretarza pełniła Małgorzata Domagała (WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze). Kapituła „Lubuskiego Wawrzynu Naukowego” pozostaje niezmienna od kilku lat: przewodniczący prof. dr hab. Wojciech Strzyżewski (UZ), prof. dr hab. Elżbieta Skorupska-Raczyńska (PWSZ im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wielkopolskim), prof. dr hab. inż. Marian Miłek (PWSZ w Sulechowie), prof. dr hab. Tomasz Jurek (ZWK w Gorzowie Wielkopolskim AWF w Poznaniu) oraz sekretarz dr Paweł Liefhebber (WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze). Za werdykt w „Lubuskim Wawrzynie Dziennikarskim” byli odpowiedzialni: przewodnicząca dr hab. Jolanta Chwastyk-Kowalczyk, prof. Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, prof. dr hab. Bogusław Nierenberg (Uniwersytet Jagielloński) i dr Grzegorz Nieć (Uniwersytet Pedagogiczny w Kra-

kowie), funkcję sekretarza pełnił dr Robert Rudiak (WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze).

Galę poprowadzili znani lubuscy redaktorzy Natalia Michalina Krysik oraz Janusz Życzkowski. Po tradycyjnym przywitaniu zgromadzonych gości, wygłoszonym przez dyrektora WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze dr. Andrzeja Bucka, nastąpiło odczytanie osób nominowanych do „Lubuskiego Wawrzynu Literackiego”. O przedstawienie i uzasadnienie werdyktu poproszono przewodniczącą Kapituły konkursu prof. dr hab. Inę Iwasiów. Laureatką dwudziestej drugiej edycji „Lubuskiego Wawrzynu Literackiego” została **Beata Patrycja Klary** za tomik poezji *Obiekty totemiczne* wydany przez Zaułek Wydawniczy Pomyłka w Szczecinie. Na scenę poproszono laureatkę oraz przedstawicieli władz woj. lubuskiego. Pióro, nagrodę finansową, dyplom oraz kwiaty wręczyli: wojewoda lubuski Władysław Dajczak, zastępca prezydenta Miasta Zielona Góra Wioleta Haręźlak, dyrektor WiMBP im. Z. Herberta w Gorzowie Wielkopolskim Edward Jerzy Jaworski oraz dyrektor Departamentu Infrastruktury Spo-

łecznej Urzędu Marszałkowskiego Województwa Lubuskiego Sławomir Kulczyński.

W tym roku Kapituła przyznała również Dyplom Honorowy za całokształt twórczości Ireneuszowi Krzysztofowi Szmidtowi oraz pośmiertnie Mieczysławowi Janowi Warszawskiemu, Dyplom za debiut literacki – dla Dany Newelskiej za książkę *Paracy-namon* i Dyplom za walory edytorskie książki dla Zygmunta Marka Piechockiego za własną publikację *Ad libitum*.

Kolejnym punktem programu było wręczenie „Lubuskiego Wawrzynu Naukowego”. O ogłoszenie zwycięzcy jedenastej edycji konkursu został poproszony przewodniczący Kapituły prof. dr hab. Wojciech Strzyżewski. Laureatem „Lubuskiego Wawrzynu Naukowego” został **Edward Rymar** za książkę *Historia polityczna i społeczna Nowej Marchii w średniowieczu (do roku 1535)* wydaną przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim. Nagrody wręczyli: prorektor ds. studenckich UZ prof. dr hab. Wojciech Strzyżewski, prorektor ds. studenc-



Beata Patrycja Klary



Edward Rymar

kich PWSZ im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wielkopolskim dr Przemysław Słowiński oraz prorektor PWSZ w Sulechowie dr inż. Stanisław Pryputniewicz. Następnie poproszono przedstawicieli władz woj. lubuskiego o wręczenie listów gratulacyjnych oraz kwiatów.

Ponadto Kapituła postanowiła przyznać Dyplom za najlepszą książkę popularnonaukową pozycji ks. Dariusza Gronowskiego pt. *Bp Wilhelm Pluta. Biografia* oraz Dyplom za walory edytorskie dla Oficyny Wydawniczej Uniwersytetu Zielonogórskiego za książkę Marcellego Tureczka *Campanae, quae in confinio sonant. Studium z dziejów ludwisarstwa na pograniczu śląsko-brandenbursko-pomorskim w XIII-XVIII wieku*.

Ostatnim wydarzeniem wieczoru było wręczenie „Lubuskiego Wawrzynu Dziennikarskiego”. O odczytanie i uzasadnienie wyroku poproszono przewodniczącą Kapituły dr hab. Jolantę Chwastyk-Kowalczyk, prof. UJK. Laureatem trzeciej edycji konkursu został **Michał Szczęch** za artykuły prasowe: *Blood and Honour (Mury Polskie)*; *Ćwierć miliona*

ruskich; *Niemiecki las żywi nas. Grzyb to pieniądź*; *Wszyscy jesteście winni*. Zwycięzcę poproszono na scenę, a nagrodę wręczyli: przewodniczący Zarządu Lubuskiego Oddziału Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej Tadeusz Krupa, przewodnicząca Kapituły dr hab. Jolanta Chwastyk-Kowalczyk, prof. UJK, były dziennikarz Rozgłośni Polskiego Radia w Zielonej Górze i Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa w Monachium Arkadiusz Olszowy oraz przedstawiciele władz woj. lubuskiego.

Dodatkowo przyznano Dyplom za całokształt twórczości Dariuszowi Chajewskiemu oraz Dyplom dla wyróżniającego się młodego dziennikarza Karolinie Kamińskiej.

Na zakończenie gali odbył się koncert w wykonaniu Lubuskiego Kwartetu Filharmonii Zielonogórskiej, po którym wszystkich zgromadzonych zaproszono na bankiet, przygotowany przy współudziale Winnicy Julia Małgorzaty i Romana Gradów w Starym Kisielinie, Winnicy św. Jadwiga Mirosława Kuleby w Świdnicy, Winnicy Saint Vincent z Borowa Wielkiego k. Nowego Miasteczka, firmy Sygnity Business Solutions, Piekarni Rema oraz Piekarni Grono.

Srebrne statuetki wykonane przez artystę plastyka Anetę Pabjańską-Moskwę oraz nagrody finansowe ufundowali: Wojewoda Lubuski Władysław Dajczak, Marszałek Województwa Lubuskiego Elżbieta Anna Polak, Prezydent Miasta Zielona Góra Janusz Kubicki, Prezydent Miasta Gorzowa Wielkopolskiego Jacek Wójcicki, WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze, WiMBP im. Z. Herberta w Gorzowie Wielkopolskim, Uniwersytet Zielonogórski, Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wielkopolskim, Państwowa Wyższa Szkoła Zawodowa w Sulechowie, Zamiejscowy Wydział Kultury Fizycznej w Gorzowie Wielkopolskim Akademii Wychowania Fizycznego w Poznaniu, Lubuski Oddział Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej oraz Arkadiusz Olszowy.

W tym roku do „Lubuskiego Wawrzynu Literackiego” zgłoszono 34 książki, na „Lubuski Wawrzyn Naukowy” wpłynęło 20 publikacji, natomiast w „Lubuskim Wawrzynie Dziennikarskim” udział wzięło 14 dziennikarzy. Śledząc ilość zgłaszanych prac w czasie



Michał Szczęch

ostatnich kilku lat, możemy mówić o pewnej stałości w konkursie dziennikarskim, gdzie liczba uczestników oscyluje wokół liczby 15, w konkursie literackim i naukowym wahania są znacznie większe, ale utrzymują się w granicach 30-40 książek prozatorskich i poetyckich oraz 13-25 publikacji naukowych i popularnonaukowych.

W tegorocznej edycji „Lubuskiego Wawrzynu Literackiego” zaszły istotne zmiany regulaminowe umożliwiające udział wyłącznie osobom obecnie mieszkającym w woj. lubuskim. To ograniczenie prawdopodobnie miało wpływ na liczbę zgłoszonych publikacji, ale jednocześnie wprowadziło bardziej zrozumiałe kryteria uczestnictwa w konkursie. Jako organizatorzy rozumiemy, że nie jest to idealne rozwiązanie, dlatego nie wykluczamy dalszych zmian w tej kwestii. Kolejną nowością było wprowadzenie deklaracji uczestnictwa w konkursie umożliwiającej szybszy kontakt z nominowanymi oraz zaproszenie większej liczby osób na uroczystość. Największą zmianą było pojawienie się czwartej statuet-

ki. Została ona ufundowana przez rektora PWSZ w Sulechowie prof. dr. hab. inż. Mariana Miłkę, dla zwycięzcy Dyplomu za najlepszą książkę popularnonaukową 2015 r. Organizatorzy już od jakiegoś czasu zastanawiali się nad przyznaniem dodatkowej nagrody dla książki popularnonaukowej, co wynikało z dużej ilości zgłaszanych pozycji niespełniających wszystkich wymagań formalnych prac naukowych, a jednocześnie przedstawiających dużą wartość dla regionu. Dzięki inicjatywie oraz uprzejmości naszego partnera stało się to możliwe i wszyscy mamy nadzieję, że ta nagroda rzeczowa zostanie stałym elementem „Lubuskiego Wawrzynu Naukowego” w nadchodzących latach.

Chciałbym pogratulować nagrodzonym, podziękować uczestnikom i sponsorom oraz zaprosić do udziału w przyszłorocznej edycji konkursu. Mamy nadzieję, że nasz wspólny wysiłek w promocję regionu lubuskiego oraz propagowanie czytelnictwa będzie miał wymierne korzyści dla nas wszystkich.



Laureaci LWL 2015



Prace nominowane w „Lubuskich Wawrzynach 2015”

Wawrzyn Literacki:

Karol Graczyk, *Przełomy* [poezje], wydawca: Instytut Mikołowski, Mikołów 2015;

Krzysztof Koziołek, *Furia rodzi się w Sławie* [powieść], wydawca: Manufaktura Tekstów, Nowa Sól 2015;

Renata Paliga, *Ośluchiwanie* [poezje], wydawca: Fundacja Światło Literatury, Gdańsk 2015;

Mirosława Szott, *Anna* [proza poetycka], wydawca: Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry „Winnica”, Zielona Góra 2015.



Laureaci LWN 2015

Wawrzyn Naukowy:

Jolanta Skierska, *Ludność Zielonej Góry w latach 1652-1766 w świetle ksiąg metrykalnych*, wydawca: Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2015;

Marceli Tureczek, *Campanae, quae in confinio sonant. Studium z dziejów ludwisarstwa na pograniczu śląsko-brandenbursko-pomorskim w XIII-XVIII wieku*, wydawca: Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2015.

Wawrzyn Dziennikarski:

Dariusz Chajewski, materiały prasowe: *Gdy widzę w lusterku, że długi czas jedzie za mną polskie auto, boję się...*, *Wigilia może być jednak bez barszczu i kolęd podczas wieczery*, *Wywiesiłem w Nowej Soli pierwszą flagę*, *Nieszczęścia nie chodzą po lesie...*;

Karolina Kamińska, audycje radiowe: *Życiowe Kilimandżaro*, *Leopardy ryknęły na poligonie*, *Tradycje Czarnej Dywizji*, *Noble Jump od kuchni*.



Laureaci LWD 2015

w Pro Libris. Z teki Agaty Buchalik-Drzyzgi



Jerzy Gąsior (Gąsior)

Długo myślałam, co mogłabym napisać, by scharakteryzować Jerzego. Przewrotny filozof i poeta... Skąd wie tyle o istocie metamorfozy? Gąsior ciekawy świata i ludzi, opowiada o wędrownie gwiazd, planet, żywiołów (również targających człowiekiem). Łączy w poezji sztuce to, co dostrzega, poznaje i doświadcza. Trud ludzkiego losu, radości i bólu serca nie jest mu obcy. Jest przyjacielem.

Któż mi na Boga
karty potasował,
że znów przegrywam
z czasem, co oszalał
z miłością,
co ze mnie zakpiła
z wiarą w człowieka,
ten nadal zawodzi.

Gąsior



Zbigniew Jujka

Jeden z ciekawszych rysowników i satyryków przynależny do naszego miasta Zielona Góra. To tutaj stawiał pierwsze kroki w „Gazecie Lubuskiej”. Znamy się ponad 30 lat, przyjaźnię się również z jego żoną Marią Aftanas. Zbyszek często mawia, że dopóki wstaje rano i wymyśla nowy dowcipny rysunek, to żyje.... Życzę, by starczyło mu pomysłów na wiele, wiele lat. W moich zbiorach prywatnych mam trzy ekslibrisy Zbyszka, a ten z 1995 r. szczególnie sobie upodobał. Myślę, że to za sprawą klucza (symbol tajemnicy i otwartości na ludzi i świat) oraz buławy. Któż nie chciałby jej dźmierzyć?!

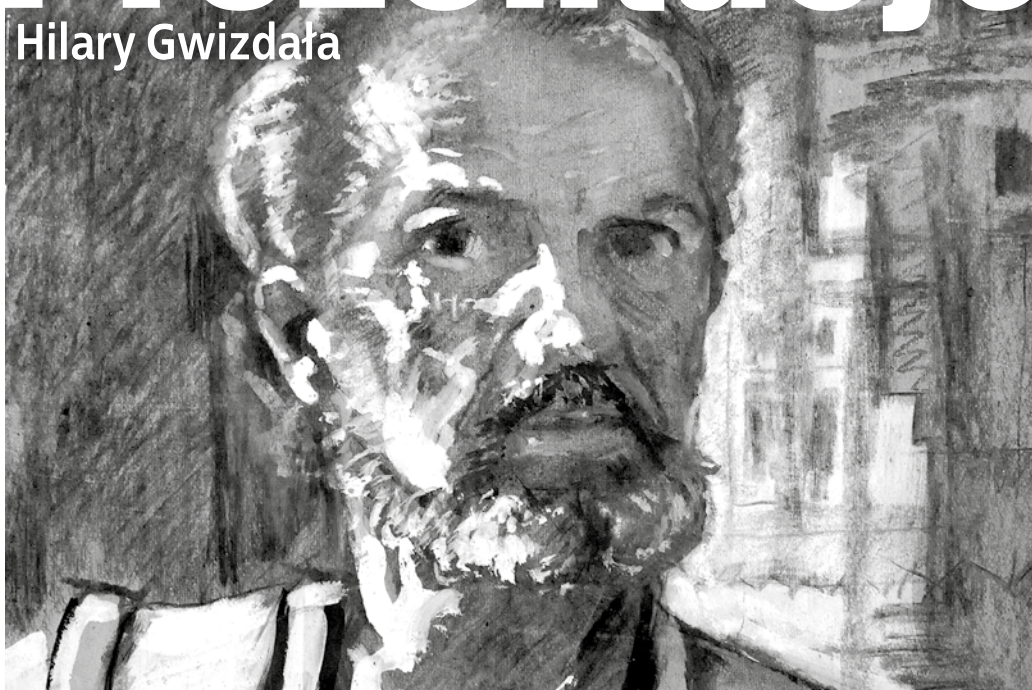


Iwona Kowalkowska

Zjawiała się w moim życiu nieoczekiwanie i jest do dziś (pomimo innych miast zamieszkania). Wratislavia Cantans i koncerty na tle naszych tkanin (tnz. Grupy 10 x TAK, do której należę od 25 lat). Iwona pisała artykuł do prasy wrocławskiej o muzyce, opisując działanie mojej tkaniny w przestrzeni muzealnej Archidiecezji Wrocławskiej. Nikt później tak nie postrzegał moich tkanin... Nie wiedziałam o niej nic prócz tego, że mieszka w Zielonej Górze. Kiedy zaśpiewała sopranem na moim wernisażu w Muzeum Ziemi Lubuskiej, pokochałam ją jak siostrę. Jest mi bliska, nadajemy na tych samych falach.

Prezentacje

Hilary Gwizdała



Urodził się 15 kwietnia 1916 r. w Koźminie Wielkopolskim. Dzieciństwo i młodość spędził w Poznaniu, gdzie podejmował się dorywczych zajęć zarobkowych oraz pracował jako muzyk grający na fortepianie oraz skrzypcach. Uprawiał boks i lekkoatletykę. W latach 1946-1948 studiował w poznańskim Instytucie Sztuk Pięknych (późniejszej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu), by następnie kontynuować naukę na Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, gdzie w 1954 r. uzyskał dyplom w pracowni prof. Jana Cybisa. W tym czasie wystawiał swoje prace w warszawskiej Zachęcie. Po studiach pracował jako nauczyciel wychowania plastycznego i muzyki w Pruszkowie pod Warszawą, gdzie mieszkał z rodziną. W wyniku rozpadu związku małżeńskiego, pod koniec 1966 r. przyjechał do Zielonej Góry, szybko stając się ważną postacią lokalnego środowiska artystycznego. Wstąpił do Zielonogórskiego Okręgu ZPAP, zaś w maju 1967 r. w salonie BWA została zorganizowana pierwsza indywidualna wystawa jego dzieł. Od 1972 r. artysta był nieprzerwanie uczestnikiem corocznych odsłon Salonu Jesiennego BWA, gdzie zdobywał liczne wyróżnienia. W 1979 r. ówczesny dyrektor Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej, dr Grzegorz Chmielewski, dokonał pierwszych zakupów prac, które stały się podstawą do stworzenia galerii autorskiej H. Gwizdały w zielonogórskiej księżnicy. Artysta tworzył obrazy w tradycji polskiego koloryzmu, przedstawiając na nich miasto, jego zakątki, zabytki i otaczającą je zieleń. Nazywano go nadwornym malarzem Zielonej Góry, choć jego płótna to również martwe natury i portrety, a także przedstawienia miasteczek dzisiejszego województwa lubuskiego powstałe w czasie wyjazdów plenerowych. W 1989 r. z powodu złego stanu zdrowia zamieszkał w Domu Pomocy Społecznej dla Kombatantów im. Jana Lembasa w Zielonej Górze. Był aktywny, starał się nadal tworzyć. Hilary Gwizdała zmarł 4 lutego 1991 r. w Zielonej Górze, pochowany został w Pruszkowie. Największą kolekcję prac Gwizdały posiada Muzeum Ziemi Lubuskiej, drugi co do wielkości zbiór jest własnością WiMBP w Zielonej Górze.



Autoportret, 1984, olej, płótno, 50 x 60 cm, wł. MZL



Autoportret, 1985-90, olej, płótno, 85 x 70 cm, wł. MZL



Dni Zielonej Góry, olej, płótno, 60 x 75 cm, niedat. wł. WiMBP



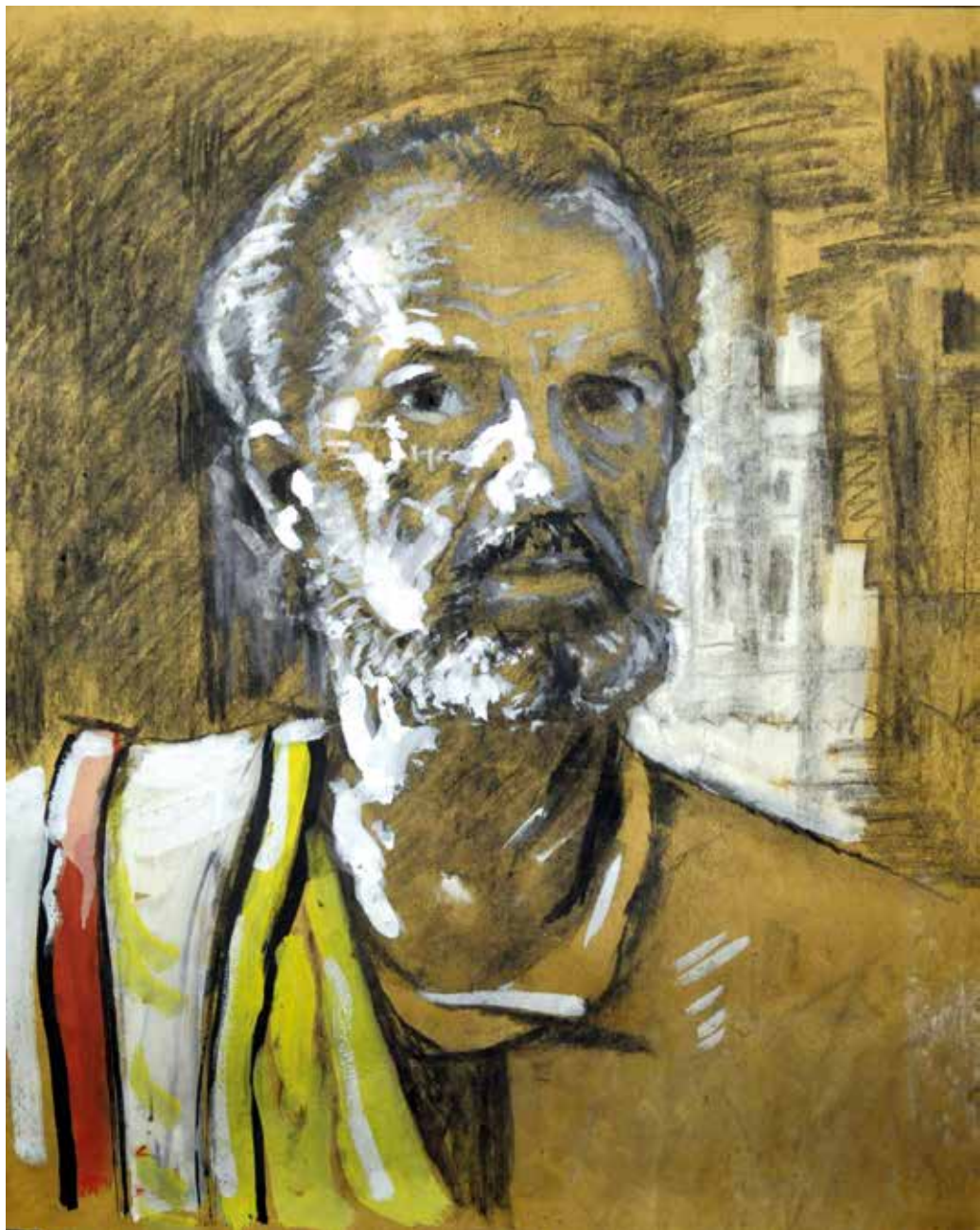
Ulica Sowińskiego, 1988, olej, płótno, 75 x 95 cm, wł. prywatna



Widok na ulicę Krawiecką, 1971, olej, płótno, 70 x 60 cm, wł. Doroty Komar-Zmysłony



Widok z okna pracowni, 1983, olej, płótno, 75 x 60 cm, MZG-S-II-1493



Autoportret, 1969, węgiel, gwasz, tektura, 30 x 40 cm, wł. MZL

[...] Malarstwo Hilarego Gwizdały jest sztuką. To truistyczne stwierdzenie jest konieczne dla podkreślenia, że widoki i pejzaże urbanistyczne artyści nie są werystyczną kopią zielonogórskich uliczek i zaułków. Nawet nieistotne z punktu widzenia architektury budowle i ich fragmenty w obrazach Mistrza Hilarego nabierają innego wymiaru, podniesione zostają do rangi sztuki. Decydują o tym talent malarza i plastyczne wartości jego płócien. Zielona Góra w malarstwie Hilarego Gwizdały jest więc jego własną Zieloną Górą. Jest po części Zieloną Górą, a po części miastem z kolorowej bajki. Rozpoznajemy budynki, ulice, place, ale w rzeczywistości one tak nie istnieją. W widokach artysty ich skala kolorystyczna jest bogatsza, architektura często bardziej monumentalna. I nawet jeżeli w rozmowach z przyjaciółmi Hilary twierdzi, że tak właśnie widzi nasze miasto – nie wierzymy Mu, on je tak tworzy. [...] Zielona Góra zaciągnęła wobec Mistrza Hilarego dług wdzięczności. Nikt przecież tak jak On nie utrwalał na płaszczyźnie płócien jej widoków oraz portretów ludzi tu żyjących i działających.

Grzegorz Chmielewski, *Wstęp, [w:] Zielona Góra. Ludzie i miasto Hilarego Gwizdały w malarstwie, Zielona Góra 1979.*

Zjawisko wódki jest ciekawe
Warto poświęcić mu rozprawę
[...]
Nad litrem z osowiałą twarzą
Zasiedli bracia Karamazow

To motto z *Traktatu moralnego* Miłosza do wiersza z tomiku Tadeusza Sojki. Do pracowni-mieszkania Hilarego Gwizdały przy ul. Sowińskiego, z każdego miejsca było blisko. Przychodzili nie tylko przyjaciele:

aby wesołą długą fetą
czcić z gospodarzem wiarę w ludzi
tak długo aż się sam obudzi
poklnie, pomruczy i nie wytrwa
wyśle któregoś po pół litra

To fragment wiersza Sojki, *Okna w Niebo*. Hirek wypisał dla mnie dedykację: „W dowód serdecznego koleżeństwa Kochanemu Jasiowi Hirek. Zielona Góra 30 I 90”. Tadeusz Sojka był w sensie współczesnym menadżerem Gwizdały, a ponadto serdecznym opiekunem. Bronił Go przed bohemą artystyczną i literacko-dziennikarską. To był także głos skierowany do mnie. Zapadł mi do serca ten gest rozsądku. Odwiedziłem Hirka raz i drugi. Przy trzeciej suchej wizycie: „Jasiu pośpiesz się po ćwiartkę, bo jakoś nie ma serdecznej rozmowy”. A gdy byłem już przy drzwiach: „Przynieś pół litra, po co masz dwa razy chodzić”. Potem Hirek zapowiedział, że zrobi mi portret: „Siedź spokojnie”. „Czy mogę się położyć?”. „Tak, ale twarzą do mnie”. Gdy się obudziłem, rysunek był gotowy. Mam to dziełko, bardzo mnie wzrusza i jakoś nie mam wyrzutów sumienia. Pamiętam wypisane na ścianie: „To sztuka zgłębić siebie i nie iść na dno”. Pamiętam kąć ze sztalugami, widzę ślepą ścianę tuż za oknem i słyszę głos Hirka: „Najlepsze są te ciężkie granatowe, nie lubię gładkich białych”. Jest takie zdjęcie Henia Ankiewicza, jak z wysoka polewa rząd, niestety, przezroczystych kieliszków. Pamiętam kirem malowany przez wiele miesięcy portret Klema. Gdy bił dzwon u Świętej Jadwigi, słyszał: „Klem Klem Klem”. Hilary Gwizdała, kolorysta, pozostawił nam nie tylko landrynkowy obraz miasta, jego panoramę, ale także mniej znane zaułki i brzydotę kamieniczek w lecie i zimą. Miasto, które autentycznie Go przytuliło i poważało. Może za credo: „Wolę gorsze żarcie, aniżeli robić plansze”.

Jan Muszyński, *Jesienna wizyta u znajomych i przyjaciół. Lubuska Plastyka w zbiorach Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki im C. Norwida w Zielonej Górze, „Pro Libris” 2010, nr 1, s. 85.*

[...] wszystko co najwartościowsze w jego twórczości, powstało w Zielonej Górze, w starym ciasnym mieszkaniu na poddaszu domu przy ul. Gen. Sowińskiego. [...] Wybierając Zieloną Górę jako swoje miejsce na ziemi, zerwał jednocześnie wszystkie mosty łączące go z Warszawą, z etatem nauczyciela rysunków w podwarszawskiej szkole, nawet z rodziną. [...] W tym pokoiku, gdzie miał tylko starą poniemiecką kanapę, maszynkę elektryczną i patelnię, zaczął malować naprawdę — żeby udowodnić, iż jest artystą. Jeszcze raz rozpoczął swoje życie od nowa, z „malarza niedzielnego” stawał się artystą z krwi i kości. Malowanie stało się stopniowo jego piękną chorobą, radosnym stanem niewolnictwa. Kiedy na krótko wychodził z mieszkania i kręcił się po starówce czuł, że wrasta w ten nowy dla siebie pejzaż, w te zaułki, fasady kamieniczek. Dostrzegał to, czego inni nie widzieli. Żył malowaniem, myślał kolorem i obrazem. [...]

Henryk Ankiewicz, *Przechadzki Zielonogórskie*, Lubuskie Towarzystwo Naukowe, Zielona Góra 1992, s. 95–96.

Zielona Góra w twórczości malarza jest jego osobistą oryginalną wizją. Przypomina miasto z kolorowego snu. Potrafił dostrzec to, czego inni nie widzieli. Oglądającym wydaje się, że rozpoznają wyobrażone na płótnach miejsca, ale faktycznie wyglądają one inaczej. W pejzażach wykreowana zielonogórska rzeczywistość jest przeważnie znacznie weselsza i barwna. Artysta wypracował własny rozpoznawalny styl malowania, wyróżniający się wyrazistą kolorystyką, przebijającą spod warstw światła — bieli oraz wibrującą fakturą uzyskaną poprzez gwałtowne ruchy pędzla. Nie wiadomo dokładnie, ile powstało widoków Zielonej Góry. Niektóre z nich posiadają dziś wartość dokumentalną. Większość trafiła do rąk prywatnych. To była miara popularności, nazywana go „nadwornym malarzem” Zielonej Góry. Twórca uwieczniał również inne miejscowości Ziemi Lubuskiej. Chętnie bywał w Łagowie, Ślawie Śląskiej, Niesulicach czy Świebodzinie, zaglądał czasem do Gorzowa i Międzyrzecza. Gwizdała tworzył też martwe natury. Ich cichymi bohaterami są prozaiczne przedmioty z najbliższego otoczenia. Sprezentowany radziecki samowar na prąd, fotel rozkładany typu „amerykanka”, butelki oraz zakurzony filodendron monstera (roślina ta przewija się wielokrotnie na obrazach Gwizdały, podobnie jak fikus jest obecny w dziełach Nachta-Samborskiego). Czasem pojawiał się na nich kot lub synogarlice, które dokarmał na parapiecie okna. Na zamówienie robił portrety. Kolegów uwieczniał gratisowo. Portretował między innymi: Henryka Ankiewicza, Zdzisława Grudnia, Ryszarda Rowińskiego, Mieczysława Turskiego, Michała Kaziowa, Halinę Lubicz.

Leszek Kania, *Hilary Gwizdała – odcienie życia*, [w:] *Hilary Gwizdała 1916–1991. Wystawa z okazji 100. rocznicy urodzin Artysty*, Zielona Góra 2016, s. 11.



Kolekcjoner Lubuski

Marian Łysakowski

Wspomnienia z podróży są jak echo dzwonków

Parę zdań o sobie, kolekcjonerze dzwonków ze świata

W Zielonej Górze mieszkam od 1958 r. Jestem podróżnikiem, pilotem wycieczek, przewodnikiem turystycznym, pedagogiem, a przede wszystkim kolekcjonuję dzwonki. Ukończyłem studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Zielonej Górze w 1979 r. Byłem wykładowcą w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Sulechowie, w latach 2005-2011.

Od najmłodszych lat mam zamiłowanie do podróży i poznawania Polski i świata. Korzystam z komunikacji lotniczej, morskiej, kolejowej i samochodowej. Uprawiam też turystykę kolarską w kraju i za granicą. Byłem w 32 krajach Europy, Azji i w Sta-



Marian Łysakowski

nach Zjednoczonych, z których zawsze przywoziłem dzwonki, jako pamiątki z podróży.

Parę słów o kolekcji dzwonków

Zbieranie dzwonków rozpocząłem w 1977 r. Obecnie zbiór liczy ponad 700 egzemplarzy. Pochodzą one z 65 krajów świata, z 6 kontynentów: Europa, Azja, Ameryka Północna, Ameryka Południowa, Australia i Afryka. Mam również dzwonki z 90 miast Polski, w tym 16 regionalnych z województwa lubuskiego. Zdjęcia ponad 500 dzwonków z kolekcji można obejrzeć na stronie: www.pracownia.hostit.pl/dzwonki. Wykonał je Jacek Serżysko, znany zielonogórski fotografik.

Najcenniejszym w mojej kolekcji jest Papieski Dzwonek Jubileuszowy (replika z brązu), który kupiłem wiosną 1999 r. Oryginał o wadze 5 ton stoi w ogrodach Watykanu. Uderzając w roku 1999 w ten milenijny dzwonek, nasz papież Jan Paweł II ogłosił wejście chrześcijaństwa w trzecie tysiąclecie. Bardzo ważny w kolekcji jest metalowy dzwonek ze świętym Janem Pawłem II, zakupiony przeze mnie w Watykanie 28 kwietnia 2014 r., w dzień po kanonizacji.

Najstarszy dzwonek ma ponad 150 lat i pochodzi z okolic Przemyśla. Odlany został z brązu, ma kute serce z żelaza. Najcięższy jest dzwonek szkolny, odlany z mosiądzu, który waży 1,70 kg. I dzwoni bardzo głośno. Najlżejszy dzwonek jest wykuty z metalu, waży 1 gram i dźwięczy bardzo cicho. Najczęściej noszę przy sobie mały mosiężny dzwonek z Indii, którym zwołuję na zbiórkę turystów z mojej wycieczki. Nazwałem go dzwonkiem pilota.

Materiały użyte do wytworzenia dzwoneków to: metale i ich stopy, glina, porcelana, szkło, kamienie półszlachetne, drewno (kołatki) i inne.

W kolekcji mam różne rodzaje dzwoneków, które można podzielić na: kościelne, obrzędowe, szkolne, domowe, pasterskie, dzwonki do sań, pałacowe, orkiestrowe, barowe, hotelowe, szpitalne, sportowe, jachtowe, okrętowe, sygnalizacyjne, rowerowe, pamiątki turystyczne i inne.

Zainteresowanie dzwonekami i pierwsze egzemplarze w zbiorze

Pierwszym był dzwonek od sanek, stary, przedwojenny odlew z brązu, oznaczony cyfrą 4 na awersie. Przyczepił go mój ojciec Zygmunt, a w miejsce serca dzwonka zawiesił metalową nakrętkę. Dźwięk ma bardzo donośny. Pamiętam, że gdy biegałem zimą z sankami koło domu, moja mama Janina, zawsze słysząc dzwonek, mogła mnie znaleźć i zawołać do domu. Któregoś dnia mama zachorowała na grypę. Leżała w swoim pokoju, a ja z bratem Witkiem podawaliśmy jej lekarstwo lub herbatę, gdy nas zawołała. Czasami mówiła tak cicho, że postanowiliśmy z Witkiem przyczepić dzwonek od sanek do haków we framudze drzwi naszego pokoju. Koniec sznurka przyciągnęliśmy do łóżka w pokoju mamy i wtedy łatwo mogła nas przywołać. Pytaliśmy, co



Dzwonek metalowy, pierwszy w kolekcji

jej podać, jak się czuje. Po paru dniach mama wyzdrowiała i dzwonek położyłem na półce. Zobaczył go mój kolega i poprosił, abym mu go podarował. Po krótkim namyśle odmówiłem, bo stanowił już dla mnie taką sentymentalną, rodzinną pamiątkę.

Drugim w kolekcji jest mały owczy dzwonek z księstwa Liechtenstein. Otrzymałem go w Szklarskiej Porębie w 1976 r. od mojego kolegi Leszka Weresa, pilota wycieczek „Almaturu” z Poznania. Zdałem wtedy, 26 stycznia 1976 r., egzamin i otrzymałem legitymację pilota wycieczek zagranicznych.

Pierwsze zlecenia na pilotowanie imprez turystycznych i zakupy nowych dzwoneków

Już w marcu 1977 otrzymałem moje pierwsze zlecenie, z Biura Podróży i Turystyki „Almaturu” w Zielonej Górze, na pilotowanie studenckiej wycieczki turystycznej z Zielonej Góry do Pragi. W sklepach z pamiątkami widziałem wiele ładnych dzwoneków i kupiłem cztery ceramiczne, ręcznie malowane.

Latem 1977 r. dostałem z Almaturu pilotaż po Polsce grupy z Rumunii, na trasie Przemyśl-Warszawa-Kraków-Oświęcim-Warszawa. Pojechałem tam z moją dziewczyną, obecnie żoną Jadwigą. Wiedziałem, że w Przemyślu jest znana odlewnia dzwoneków, więc poszliśmy tam, mając parę godzin do przyjazdu grupy z Bukaresztu. W biurze firmy przywitał nas właściciel Jan Felczyński, mistrz ludwisarstwa. Odlewnia dzwoneków, znana na całym świecie, świętowała wtedy

jubileusz 150 lat działalności. Mistrz Jan oprowadził nas po hali, opowiedział o technice odlewania dzwonu i o długiej historii Odlewni. Gdy powiedziałem, że mam już parę dzwonek, podarował mi kilka, które chciał przetopić. Bardzo się ucieszyłem, podziękowałem i to był prawdziwy początek kolekcji.

W rok później, czyli w sierpniu 1978, pilotowałem studencką grupę trampingową BPiT „Almaturu”, z Zielonej Góry do Indii przez ZSRR, Iran, Afganistan i Pakistan. Do Moskwy poleciliśmy samolotem, a dalej pociągami i autobusami. Podróż trwała 40 dni. Pierwszy nocleg mieliśmy w Teheranie, stolicy Iranu. Rano na wielkim bazarze sprzedawca dywanów poczęstował mnie aromatyczną herbatą i wprowadził w tajniki dokonywania zakupów w Azji. Oto rady, jakich udzielił mi Irańczyk: wybierz przedmiot, który chcesz kupić, zapytaj, ile kosztuje, nie kupuj za pierwszą cenę, bo jeśli się potargujesz, sprzedawca może cenę obniżyć. Od razu szukaj wad lub jakichś mankamentów w wyrobie i zaproponuj o wiele niższą cenę! Spokojnie i konsekwentnie staraj się negocjować, ale też pokaż małą kwotę pieniędzy, którymi chcesz zapłacić. Taki argument może przekonać sprzedawcę i kupisz o wiele taniej. Podziękowałem za herbatę i za rady, które wkrótce bardzo mi się



Ceramiczny dzwonek koloru zielonego, z Zielonej Góry



Ceramiczny dzwonek, figurka tancerki w stroju ludowym

przydały. Szczególnie przy opłatach, których dokonywałem jako pilot w hotelach, w pociągach, w autobusach i przy zakupach żywności oraz dzwonek!

W Indiach, w mieście Agrze, kupiłem trzy nowe dzwonki z mosiądzu. Na straganie było około 50 sztuk różnej wielkości. Jak zauważyłem, są to bardzo ważne przedmioty kultu religijnego mieszkańców Azji. Przy zakupie dzwonka zawsze dźwięk jest dla mnie najważniejszy. Biorę do ręki, poruszam i słucham, jak brzmi. Jeśli dźwięk podoba mi się, wtedy pytam o cenę i negocjuję. Podzwoniłem kilkoma dzwonekami ze straganu, wybrałem jeden, ale cena 5 dolarów, jaką podał Hindus, była zbyt wysoka. Wiedziałem, że spieranie się o cenę jest jakby wpisane w każdą transakcję handlową, więc powiedziałem, to dla mnie za drogo. Mogę zapłacić 25 centów. Sprzedawca nie zgodził się, więc odszedłem na bok. Jednak, za parę minut wróciłem do straganu i wybrałem jeszcze dwa mniejsze dzwonki. Razem za trzy zapłaciłem półtora dolara, na co już wyraził zgodę. Więc opłaciło się targować!

Od czasu trampingu do Indii zawsze przy zakupie dzwonek trochę się targuję i próbuję kupować po niższej cenie. Przeważnie to mi się udaje!

Zbiór dzwoneków od 1977 r. powiększa się bez przerwy!

Następne dzwonki kupowałem za granicą, ale też na giełdach staroci w Poznaniu, w Wałbrzychu, we Wrocławiu, w Jeleniej Górze, podczas Wino-brania w Zielonej Górze albo co miesiąc na Targach Kolekcjonerów w Zespole Szkół przy ul. Stanisława Staszica w Zielonej Górze. Kolekcja rośnie też dzięki dzwonkom otrzymanym od rodziny, od przyjaciół, od koleżanek i kolegów pilotów, od sąsiadów, od wykładowców i od studentów PWSZ w Sulechowie, od moich uczniów, od znajomych i nieznajomych.

Prezentacje dzwoneków z kolekcji, w bibliotekach, w domach kultury i w szkołach

Na wielu autorskich prelekcjach, w ponad stu miastach Polski, opowiadałem o moich podróżach po świecie i prezentowałem najładniejsze dzwonki. Wymienię tylko kilka miejscowości: Zielona Góra, Świebodzin, Żagań, Żary, Lubsko, Brody, Nowa Sól, Krosno Odrzańskie, Gubin, Głogów, Polkowice, Lubin, Legnica, Wrocław, Cieplice, Świnoujście, Szczawinica, Nowy Sącz, Pruszków, Poznań i wiele innych.

Pierwsza „Wystawa dzwoneków” w Zielonej Górze w 1989 r. i kolejne prezentacje

Większa liczba artefaktów była eksponowana w muzeach i bibliotekach. Pierwsza „Wystawa dzwoneków”, którą otworzył dyrektor dr Andrzej Buck, odbyła się w 1989 r., w Bibliotece Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze. Łącznie podczas 22 wystaw w kraju moje dzwonki obejrzało z dużym zainteresowaniem kilkanaście tysięcy osób, w tym cudzoziemcy z Europy i z Azji. Swoje wrażenia z prezentacji i wystaw wpisali do „Kroniki kolekcji”. W środę 16 marca 2016 r. po raz pierwszy zawiozłem część dzwoneków za granicę Polski, do Niemiec. Dzwonki z kolekcji zobaczyli mieszkańcy Cottbus, w Niemiecko-Polskim Centrum Informacji. Bardzo

pochlebnie wypowiadali się oni na temat Wino-brania w Zielonej Górze, na które zostali zaproszeni, oraz o naszych winach i o moich dzwonkach.

Dzwonek pilota

Jak już wspominałem, pierwszy dzwonek z Agry, o donośnym dźwięku, nazwałem dzwonkiem pilota i dzwonię nim, aby zwołać zagubionych turystów z grupy, którą prowadzę. W 1990 r. pilotowałem autokarową grupę turystów z Zielonej Góry do Włoch. W autokarze powitałem wszystkich, przedstawiłem się, zadzwoniłem dzwonkiem i poprosiłem, aby ten dźwięk zapamiętali. Wtedy wstał starszy pan i powiedział: „panie pilocie, ja nie jestem żadnym baranem i nie będę chodził za pana dzwonkiem”. Po powrocie do Zielonej Góry podszedł do mnie i stwierdził: „chciałem powiedzieć, że gdyby nie pana dzwonek, trzy razy bym się zgubił”. Przypominam sobie jeszcze jeden epizod z dzwonkiem, z podróży do Włoch w 1991 r. W Wenecji, na zbiórce koło mostu Rialto, nie pojawiło się pięć turystek z Zielonej Góry. Zostawiłem grupę i szybko wróciłem na plac świętego Marka z nadzieją, że tam je znajdę. Stałem pod latarnią, dzwonię i patrzę, a przechodząca obok grupa pielgrzymów z Radomia wraz z księdzem zatrzymała się i wszyscy uklękli. Pozdrowiłem ich i zapytałem, dlaczego klęczą. Wszyscy myśleli, że idę z komunią świętą do chorego, ale wyjaśniłem, że szukam turystek z mojej grupy. Pielgrzymi życzyli mi, aby się te panie znalazły. Na parkingu okazało się, że nasze dzielne panie same dotarły do autokaru. Takich sytuacji z turystami i moim dzwonkiem było sporo!

Plany na przyszłość z dzwonkami

Zainteresowanie dzwonkami i pasją kolekcjonowania nie gaśnie. Szukam nowych dzwoneków. Planuję wydać katalog ze zdjęciami dzwoneków z 65 krajów świata. Myślę też o zorganizowaniu w Zielonej Górze muzeum moich dzwoneków.

Jak będzie, zobaczymy!

Mirosława Szott

O krytyce krytycznie

Krytyka jest rodzajem nerwicy.

Andrzej Kijowski

Krytyka lubuska chyba ma się dobrze – spoglądam na liczbę recenzji w ostatnim „Pro Libris”, „Pegazie Lubuskim” (niestety studenckie pismo „LiteraT” nie istnieje już od wielu lat). To cieszy, że pojawiają się różne głosy. W Radiu Zachód niezastąpiona Krystyna Kamińska regularnie (co sobotę) wydaje opinie na temat lubuskich publikacji w audycji Czesława Markiewicza „Kulturalne lubuskie”. Niestety audycja nie jest udostępniana po emisji, więc przepada. Trudno. Chcę pokazać, że pustynnie u nas nie jest. Czy jednak wszystko działa w tej lubuskiej komunikacji literackiej (na linii czytelnik – krytyk – badacz – pisarz)?

Kiedyś Andrzej K. Waśkiewicz był dla wielu tworzących autorytetem. Dostrzegał zdolnych debiutantów, drukował pierwsze ich wiersze w „Nadodrze” (wspomnę tylko o debiucie Anny Tokarskiej w 1964 r. czy Mietka Warszawskiego i Czesława Sobkowiaka w 1967 r.). Oceniał też książki dojrzałych poetów. Dziś najwięcej zasług w tej materii ma Małgorzata Mikołajczak (to z jej inicjatywy mamy Pracownię Badań nad Literaturą Regionalną, Zakład Teorii Literatury i Krytyki Literackiej). Nie można też zapomnieć o Czesławie P. Dutce, który uprawiał badania nad myślą metakrytyczną i nauką o literaturze ze

stanowiska socjologicznego¹ (był on także rektorem Uniwersytetu Poezji, który powstał z inicjatywy Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów w 1995 r.). Nie wykształciła się niestety jakaś lubuska szkoła krytyki, studenci na Uniwersytecie Zielonogórskim mają przedmiot „krytyka literacka” przez zaledwie jeden semestr (30 godzin). Są też „warsztaty kreatywnego pisania”, ale nikt podczas tych zajęć nie chce pisać kreatywnie. Wystarczyłoby podjąć ryzyko (po obu stronach).

Można powiedzieć, że ten tekst powstał na spacerze, przynajmniej jego najważniejsza (konceptyjna) część. Wracając ze spotkania, jakimś trafem rozmowa z pewną kobietą zeszła na temat krytyki literackiej. Po co krytyka? – usłyszałam. Nie miałam większych powodów, żeby wątpić w jej sens, bo w obiektywność przecież nigdy nie wierzyłam. Ale tylko na początku wydawało mi się, że odpowiedź jest banalnie prosta. Zastanawiam się, czy krytyka zmienia rzeczywistość. Nie znam żadnego przypadku, żeby pisarz-grafoman stał się geniuszem pod wpływem uwag recenzenta. Działa to także odwrotnie: żaden krytyk nie jest w stanie unieważnić talentu. Zadaję sobie zatem ponownie pytania: czy krytyka literacka jest nam dziś potrzebna? Jeśli tak, to jaka? Identyczne pytania postawiłam kilku osobom z naszego środowiska (Małgorzacie Mikołajczak, Barbarze Annie Dominiak, Jolancie Pytel, Januszowi Koniuszowi, Robertowi Rudiakowi i Czesławowi Sobkowiakowi), które z krytyką mają lub miały wiele do czynienia. Na końcu tego artykułu zamieszczone są ich głosy.

Krótką dygresja. Pamiętam dokładnie, że na jednej z zielonogórskich konferencji książka Czesława P. Dutki *Literatura – badacz i krytyk* rozdawana była uczestnikom obrad jako dodatek do materiałów konferencyjnych. Egzemplarzy było niewiele, więc dla studentki bez znajomości zabrakło. Kiedy wyszłam z auli, zauważyłam, że ktoś podrzucił ten niechciany prezent na stojak koło wyjścia z budynku. Ucieszyło mnie znalezisko, uznałam to zdarzenie za formę bookcrossingu. Z drugiej strony pomyślałam

wtedy, że takie mamy czasy na krytykę. Byle komuś ją podrzucić. Wtedy jakoś lżej. Może jednak tak tragicznie nie jest? W 2011 r. zapytałam Waśkiewicza o krytykę lubuską – co zrobić, żeby nie była tylko krytyką „koleżeńską”, ale rzetelną i autentyczną. Żadnej wskazówki nie usłyszałam, powiedział tylko z typowym dla niego zdystansowaniem, że przecież mogę sama zacząć pisać. Nie wiem, jakiej odpowiedzi oczekiwałam, jakich rad, diagnoz. Miał rację. Przekonać się o tym można, pisząc.

Z pewnością nie zamierzam szczegółowo opisywać mapy krytycznoliterackiej regionu. Chciałabym się skupić na krytyce literackiej jako takiej i przedstawić swój prywatny (więc może nieistotny) na nią pogląd. Pożytków z krytyki widzę wiele. Im bardziej różnorodna, spolaryzowana, tym lepiej. Przypominam sobie, że chyba rekordowym odzewem cieszył się tekst Roberta Rudiaka o geriatyzacji środowiska literackiego („Pro Libris” 2013, nr 1). W kolejnym numerze (2013, nr 2) odpowiedziało na tę diagnozę aż sześć osób (Małgorzata Stachowiak-Schreyner, Beata Patrycja Klary, Czesław Sobkowiak, Jakub Rawski, Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk, Janusz Koniusz), a w numerze 4 z 2013 r. swój głos zamieściła także Małgorzata Mikołajczak. Niektórzy może powiedzą, że nic z tego nie wynika, że to jedynie abstrakcyjne dywagacje. Dyskusja jest dla mnie wartością samą w sobie. Środowisko literackie wtedy oddycha, rozwija się. Zastanawiam się też, czy teksty krytyczne w naszych regionalnych czasopismach czytane są przez kogoś innego poza zainteresowanymi autorami. To nie jest takie oczywiste. Jesteśmy egocentrykami.

Porównałabym praktykę krytyczną do działania drzew, które oczyszczają powietrze, dają coś niewidzialnego i niezastąpionego. Czasem może przeszkadzają, rozsadzają korzeniami chodniki. Pewnie niejednen rozpędzony literat mógłby stracić na takim drzewie życie lub niebezpiecznie się pokaleczyć. Ale to niewielki procent. Czy więcej pożytku mamy z drewna w kominku czy z drewna rosnącego w lesie? Oczywiście jestem po stronie działań eko

¹ Można wspomnieć niektóre jego prace: *Literatura – badacz i krytyk*, Zielona Góra 2000; *Słowo peryferyjne: eseje, szkice literackie i recenzje*, Zielona Góra 1999; *Krytyka i badacza postawy fundamentalne*, Wrocław 1982.

(ekokrytyki też, ale to inna bajka). Więc krytyka, która żyje, odświeża, współtworzy lokalny ekosystem i która powoduje nieoczywistości, jest mi bliska. Nie popieram tym samym krytyki naiwnej, schematycznej, spełniającej jedynie funkcje ozdobne lub reklamowe (np. minirekomendacje na okładce książek). Z drugiej strony obraz krytyki-drzewa wydaje mi się niedokładny, wskazywałby bowiem na takie jej cechy jak: stabilność i długowieczność, podczas gdy krytyka jest dziedziną skrajnie niestabilną, a jej skutki są często doraźne. Poza tym to florystyczne porównanie wymagałoby dookreślenia, kim lub czym są na przykład pozostali uczestnicy życia literackiego – w co oczywiście z braku kompetencji przyrodniczych nie chcę głębiej wchodzić.

Ubrałam okazjonalny kostium metakrytyczki. Ale nie zwracam się tylko do koleżanek-krytyczek i kolegów-krytyków, ale także do autorów i innych uczestników życia literackiego (chyba wszyscy jesteśmy po trosze krytykami). Zarysowuję niepełną wizję krytyki. Piszę też dla siebie, żeby lepiej zrozumieć działalność krytycznoliteracką i wskazać sobie jej cele. Może też po to, żeby jakoś uzasadnić swoje istnienie w tym literackim łańcuchu pokarmowym. Wiele wymagam od literatury. Od krytyki jeszcze więcej. Więc może warto się nad nią chwilę zastanowić.

„Prośby” (nie mogę tego nazwać „radami”, bo taka nomenklatura wywoływałaby mimowolną hierarchizację; piszę oddolnie) zapisałam w formie skróconych punktów. Są to oczywiście pewne uproszczenia, niekiedy może zbyt grubymi nićmi przeszyte. Ale mam świadomość, że przejawskrawienia są czasami skuteczniejsze od złotego środka.

Prośby do krytyki literackiego:

1. Czytaj recenzje innych krytyków. Zajrzyj do autorytetów (Sandauer, Kijowski, Wyka, Brzozowski, Irzykowski, Peiper, Ważyk, Klejnocki i wielu innych). Chodzi o to, żeby się nie zamknąć w stworzonym przez siebie świecie, wyjść poza narcystyczne skłonności. To nie

tylko rozwija patrzeć na literaturę, ale staje się też podstawą polemik. I metakrytyki.

2. Nie pisz dla przyjaciół, a jeśli już piszesz – nie bądź wobec nich wyrozumiały. Udawane recenzje dla znajomych to niedźwiedzia przysługa. Uwierz, że wprawiony czytelnik wyczuwa puste lub nieszczerze sformułowania. I wtedy nie ma nic do rzeczy, że chcesz zrobić panu X przyjemność, bo stracił pracę lub rozjechano mu kota. Czy nie lepiej pójść do niego i porozmawiać zamiast pisać recenzje?
3. Nie tylko opisuj, ale też staraj się wartościować literaturę (gr. *kritik* – sztuka oceniania). To jest w końcu jedna z ważnych funkcji krytyki. Karol Irzykowski powie jednak: „prawdziwy krytyk raczej sprawdza niż sądzi”². Jest w tym wiele racji. Więc sprawdzaj książki na wszystkie znane ci sposoby. A następnie wskazuj czytelnikom dzieła dobre i odradzaj sięgania po słabe (czyli takie, które się nie sprawdzają, okażą się płaskie, gdy zaczniemy oświetlać je z różnych stron). Przykład. Załóżmy, że jesteśmy w restauracji. Wielu z nas chciałoby zapewne, żeby polecono nam coś, co świetnie smakuje. Opis życia kaczki w naturze jest nieprzydatny, jeśli kucharz nie potrafi jej przyrządzić. Niejeden czytelnik podobnie ma z książką – chce przeczytać coś dobrego, a nie coś dobrze opisanego.
4. Posługuj się rzetelnymi argumentami. Podchodź do książki bez apriorycznych założeń (np. z góry nie zakładaj, że książka A jest świetna, bo napisał ją ktoś, kto zdobył miesiąc temu nagrodę X). Innym błędem krytyków jest szybka identyfikacja pisarza i niewłaściwa argumentacja (np. ktoś stwierdzi, że pisarz reprezentuje linię „Gazety Wyborczej” i koniec dyskusji). Więcej pisze o tym Jerzy Jarzębski³.

2 K. Irzykowski, *Godność krytyki*, [w:] „Kartografowie dziwnych podróży”. Wypisy z polskiej krytyki literackiej XX wieku, red. i wstęp. M. Wyka, Kraków 2004, s. 40.

3 J. Jarzębski, *Krytyka: kilka słów wstępu*, [w:] *Dyskursy krytyczne u progu XXI wieku. Między rynkiem a uniwersytetem*, Kraków 2007, s. 5-9, 411-446.

5. Polemizuj. Nie tylko z innymi – ale także ze sobą. Pamiętaj jednak, że polemika dla samej polemiki jest nic niewarta. Psy szczekają, karawana...
6. Nie bądź schematyczny, ale kreatywny. Naucz się zonglować. Posługuj się metaforami, metonimiemi, obrazami. Czy metafora jest zdolna wyrazić pogląd? Nie jestem tego pewna, ale myślę, że pozwala coś lepiej zrozumieć, zobaczyć, zindywidualizować język, zbliżyć krytykę do sztuki. Jacques Derrida nakazywał: „czytać (zawsze) inaczej”. Nie jest też konieczne, żeby wypełniać od lat znany schemat⁴: prezentacja autora i dzieła, streszczanie utworu, relacja z lektury, wydawanie sądów, klasyfikacja, hierarchizacja. Możesz go uzupełnić na własny sposób, a nawet zlekceważyć.
7. Czytaj literaturę różnych epok. Podnoś swoje kompetencje. Krytyk nie powinien być monotematyczny, posługiwać się sztafżem tylko kilkunastu sprawdzonych przykładów.
8. Specjalizuj się w wąskiej dziedzinie (np. poezja, reportaż, kryminał). Moim zdaniem profesjonalny krytyk ma zawężone pole praktyki krytycznej, choć na ten temat pojawiają się różne opinie. Chodzi o to, żeby każdy robił najlepiej to, na czym się zna.
9. Nie bój się błędzić. Ryzykuj. Nie ma obiektywnych kryteriów. Ale bądź otwarty na nowe zjawiska. Niech błędy nie wynikają z pośpiechu. Czasami ocenię Ciebie (znamy takie spektakularne pomyłki – np. Kazimierz Wyka źle ocenił przed wojną Brunona Schulza).

10. Pisz zrozumiale. Nie przeniebawiaj swoich tekstów. Nie bełkocz. Nie aplikuj, gdzie tylko można teorii z różnych dziedzin. Krytyk jest pośrednikiem między pisarzem a czytelnikiem. Nie potrzebujemy dodatkowo tłumaczyć krytyka, żeby rozszyfrować pisarza.
11. Postaraj się odejść od postawy hermeneuty, który szuka jednej prawdy w tekście. Może prawda to złudzenie. Spróbuj lektury performatywnej, energetycznej, nastawionej na doświadczanie i przeżywanie.
12. Stwórz swój własny styl wypowiedzania się, intymny, subiektywny. Ale jednocześnie w pewien sposób przezroczysty (nieskuipiający uwagi na samej krytyce).
13. Nie kieruj się uprzedzeniami, fobiami. Jeśli nie lubisz pani Y, to masz świetną okazję, żeby się sprawdzić. Weź książkę jej autorstwa i znajdź dziesięć atutów. Oddziel pisarza od literatury.
14. Nie ulegaj mediom, które chciałyby z krytyków zrobić „book jockeyów”⁵. Przemysław Czapliński mówi w tym kontekście o odmianie karłowatości krytyki⁶.
15. Nie włączaj się w spory polityczne. Literatura to nie zastępczy dyskurs polityczny.
16. Nie załatwiał za pomocą literatury swoich interesów.
17. Nie moralizuj⁷. Nie wpadaj w pułapki opozycji. Rozmontowuj stereotypy.

Skończyłam wyliczać. Może najważniejsze jest jednak, żeby nie spełniać czyichś pobożnych prośb. Znaleźć własne proporcje. Każdy w swojej głowie chyba powinien przewartościować pojęcie na ten temat. Poniżej zamieszczone zostały głosy wspomnianych osób, których działalność z wielu wzglę-

4 Maria Cyranowicz ujmuje te elementy w schemat akcji: ekspozycja, retrospekcja, retardacja, kulminacja, puenta. Por. M. Cyranowicz, *Jak krytyka nie służy krytykowi...*, [w:] *Dyskursy krytyczne u progu XXI wieku. Między rynkiem a uniwersyteciem*, Kraków 2007, s. 240-241.

5 *Literatura w uścisku mediów. Rozmowa redakcyjna z udziałem P. Czaplińskiego, K. Dunin, J. Jarzębskiego, D. Nowackiego, P. Śliwińskiego i M. Zaleskiego*, „Res Publica Nowa” 2000, nr 7, s. 49-60.

6 P. Czapliński, *Żwawy trup. Krytyka literacka 1989-2004*, [w:] tegoż, *Powrót centrali*, Kraków 2007.

7 Edward Balcerzan na początku lat 90. pisze, że w krytyce literackiej „spotężniały dwa żywioły: moralizatorski i marketingu. [...] Dla moralisty publiczność to jakby ława przysięgłych, dla przedsiębiorcy – tłum w supersamie” – E. Balcerzan, *Zmiana stanu*, „Teksty Drugie” 1990, nr 2.

dów ważna jest dla tego środowiska literackiego. Oto ich punkty widzenia.

Małgorzata Mikołajczak: Myślę, że krytyka, pojawiająca się w formie recenzji, not krytycznych, omówień czy polemik, jest potrzebna czytelnikom i krytykom, w mniejszym stopniu autorom, których dotyczy, choć ci ostatni są nią zazwyczaj najbardziej zainteresowani. Dla pisarza głos krytyka stanowi ważny sygnał zwrotny, jest okazją do konfrontacji z czytelnikiem. Autora, który poważnie traktuje pisanie, cieszyć powinna nawet najbardziej krytyczna opinia: oto komuś zechciało się książkę przeczytać, przemyśleć, skomentować – jego wysiłek nie poszedł na marne! Poza tym – banalna to prawda – „talent” musi iść w parze z ćwiczeniem i sporo zawdzięczamy tym, którzy nas „ćwiczą”, nawet wówczas jeśli są nazbyt surowi lub – bo i tak bywa – nie mają krytycznoliterackich kompetencji. Najgorsze jest milczenie krytyki, które dla autora staje się „pocałunkiem śmierci”. A są krytycy, którzy odmawiają pisania krytycznych recenzji, uznając, że szkoda tracić cenny czas i zajmować się tym, co nie ma wartości (jest przecież tyle książek, które można przeczytać w tym czasie).

Korzyści, jakie płyną z krytyki dla czytelnika, tłumaczyć nie trzeba, zwłaszcza w dobie, gdy każdy może publikować wszystko. A krytyk? Ten krytyce najwięcej zawdzięcza. Począwszy od całkiem przyziemnych profitów (są wszak redakcje, które jeszcze za recenzje płacą!) poprzez możliwość włączenia się w życie literackie i uczestnictwa w zinstytucjonalizowanej kulturowej wspólnotie komunikacyjnej, aż po możliwość najcenniejszą, którą nazwałabym ćwiczeniem pióra i gustu. Bo napisanie dobrej recenzji jest sztuką, wcale nie mniejszą – choć oczywiście stopień trudności jest inny – niżeli umiejętność napisania książki. Trzeba posiadać nie tylko tajniki krytycznoliterackiego warsztatu, nie tylko mieć sporą wiedzę na temat literatury (i towarzyszących jej kontekstów), ale też opanować wcale niełatwą umiejętność rozpoznawania i nazywania tego, co w literaturze wartościowe. Nie chodzi tylko o to, żeby dużo czytać, dużo pisać, trzeba to robić... cóż, po prostu dobrze. A co to oznacza? Zamiast odpowiedzi proponuję lekturę opracowanego przez Martę Wykę *Dekalogu krytyka*:

1. Zawsze przeczytać książkę, o której zamierza się pisać – jeśli to możliwe, do końca.
2. Ustalić wewnętrznie, do jakiej konkluzji dążymy – to wpływa na kształt zamierzonego tekstu. Inaczej mówiąc: nie czekać aż konkluzja rozwinię się w trakcie pisania.
3. W przypadku poezji: nie być poetyckim, nie liryzować.
4. W przypadku prozy: nie snuć własnych fabuł, ani nie dopisywać możliwych lepszych rozwiązań („ja bym to zrobił tak...”).
5. W przypadku uzasadnionego gniewu na grafomana dostarczyć dowodów na grafomanstwo – nie tylko wyśmiewać, ale również pouczać (jednak). Litość nie jest wskazana.
6. Nie zapuszczać się, bez przygotowania, na teren nauk innych: nagminne są obecnie aluzje filozoficzne, oparte często na domniemaniach. Jeśli nie mamy pewności, iż dany pisarz był /jest heglistą, kantystą, egzystencjalistą, deridiańczykiem itd. – lepiej to opuścić. To samo odnosi się do buszowania na terenie nauk społecznych, politycznych, historycznych, a także ścisłych (i to się zdarza).
7. Powyższe nie oznacza jednak, iż nie należy mieć tzw. ogólnego przygotowania. Owszem, należy o nie zadbać, co oznacza czytanie innych książek niż ta, którą aktualnie recenzujemy, a także sprawdzenie, czy może ktoś inny nie napisał już wcześniej tego samego, co właśnie z mozołem wymyślamy.
8. Nie poddawać się terrorowi mainstreamu, bowiem mainstream nie zawsze ma rację.
9. Nie tępić cudzych poglądów: pamflet i paszkwil to bardzo trudne gatunki, trzeba je dobrze opanować.
10. Krytyk idealny: takiego nie ma, ale do ideału zawsze należy dążyć.

Barbara Anna Dominiak: Wobec wzmocnionego zainteresowania działalnością literacką i tym, że coraz więcej osób sięga po pióro, a dostęp do wydawnictw i możliwość publikowania tekstów są coraz łatwiejsze, szczególnie istotna wydaje się rola

krytyki literackiej. W odniesieniu do literatury regionalnej krytyka spełnia jeszcze dodatkową funkcję – generuje zainteresowanie wartościową twórczością regionu i integruje środowisko lokalne.

Jolanta Pytel: Krytyka literacka była, jest i będzie potrzebna, aby wskazać twórcom jego błędy i niedociągnięcia, ale także te wartościowe rzeczy, których sam autor dostrzec nie potrafi. Choć przyznam szczerze, że niewielu jest rzetelnych i mających szeroką wiedzę krytyków literackich.

Janusz Koniusz: Trudno sobie wyobrazić literaturę, życie literackie bez autentycznej krytyki. Jest ona niezbędna szczególnie dziś, w epoce nadmiaru książek o przeróżnej, często mizernej wartości. Wydaje każdy, kto ma pieniądze, bez wydawniczej selekcji. Stąd brak dzisiaj polemik literackich, dyskusji. Niemal wszystko, co się ukazuje, jest genialne... Czytelnik zupełnie się gubi.

Robert Rudiak: Krytyka jest potrzebna, zwłaszcza w omówieniu książek niskonakładowych, wydawanych w małych, często regionalnych wydawnictwach. Pozycje drukowane w wielotysięcznych nakładach mają zazwyczaj szeroką reklamę, promocję w ogólnopolskiej prasie, radiu, a bywa, że i w telewizji. Ale to jest biznes wydawniczy, inni na takie pieniądze czy marketing liczyć nie mogą. Zatem, jeśli ma być krytyka, to jaka? Uważam, że słusznie określił formę prowincjonalnej krytyki już w latach 90. ubiegłego wieku prof. Jan Kurowicki, długoletni dyżurny recenzent wydawanych na Ziemi Lubuskiej książek poetyckich, twierdząc, że w takich miastach jak Zielona Góra czy Gorzów Wlkp. potrzebna jest krytyka towarzysząca. Krytyka, która nie zaszkodzi nadpobudliwym i wybujałym ego ludzi pióra, a raczej będzie dlań życzliwa, dopatrzy się dobrych stron w ich twórczości i łaskawie przyjmie wytwory pisane z potrzeby serca. Krytyka ku pokrzepieniu...

Czesław Sobkowiak: Krytyka literacka jest służącą literatury. Literatura jest bowiem ważną personą. Nigdy jej nie może zastępować ani nawet z nią konkurować. To byłoby wielkie nadużycie, które czasem się zdarza. Jest służącą i musi taką rolę uznać za właściwą. Literatura bowiem (wszelka sztuka najogólniej) sama w sobie jest dość bezradna, wyraża, przemawia do odbiorcy, zawiera w swoich obrazach, konstrukcji i znakach symbolicznych wszystkie znaczenia, w które twórca ją wyposaża, ale niekoniecznie do końca sam twórca ich sensów jest świadomy. I zadaniem krytyki literackiej na każdym jej poziomie (od recenzji do eseju) jest te wszystkie rzeczy odczytać, odkopać – poukrywane bardzo często – nazwać, sklasyfikować i jakoś możliwie najpełniej odnieść do sfery wartości ogólnych czy np. biografii (losu) twórcy. Zadanie jest ważne, ale i trudne. W pytaniu ukryta jest wątpliwość odnośnie do potrzeby istnienia krytyki literackiej dzisiaj. Nie wiem, z czego bierze się ta ewentualna sugestia, ale wiem, że zwłaszcza teraz, gdy co autor, to odrębność, osobność, jakaś gloryfikowana oryginalna indywidualność świata, sobie tylko wiadomymi prawami się rządząca, musi być ktoś (krytyk literacki), kto wszystkie osobliwości określi, także dopełni wyjaśnieniami. Żyjemy bowiem w kulturze pozbawionej jednolitego paradygmatu. I zaprowadzanie jakiegoś, choćby w minimalnym stopniu, porządku staje się wielce konieczne, jeśli jeszcze chcemy pamiętać o społecznym odbiorze twórczości. Poza tym – co chyba najważniejsze – jej zadanie ciągle polega na hierarchizowaniu, ustalaniu poziomu ważności. Jeśli tego nikt nie robi i z tego się zrezygnuje, to sens tworzenia utraci swój główny atut. Trzeba pamiętać, że nie wszystkie dzieła są tak samo istotne. Nie autor może to wskazać, ale już wyłącznie najbardziej świadomy czytelnik, czyli krytyk literatury. W tej chwili najbardziej użyteczna i potrzebna może być krytyka towarzysząca i środowiskowa.

Zielonogórski Slam Poetycki 2016

W pierwszej edycji Zielonogórskiego Slamu Poetyckiego, który odbył się 29 stycznia 2016 r. w trakcie Noworocznego Wierszowania – spotkania środowisk literackich i przyjaciół Biblioteki Norwida, wzięło udział 20 autorów z województwa lubuskiego i dolnośląskiego, poeci zrzeszeni w oddziale zielonogórskiego Związku Literatów Polskich, Stowarzyszeniu Jeszcze Żywych Poetów, reprezentujący Uniwersytet Trzeciego Wieku oraz twórcy niezrzeszeni. A przedział wiekowy poetów był również szeroki – od studentów po emerytów.

W poszczególnych etapach rywalizowano w duetach. W ten sposób wyłaniano zwycięzców do dalszych faz eliminacyjnych. W sumie odbyły się trzy etapy i faza finałowa. W ostatnim etapie półfinałowym los zrzucił, że w szranki stanęły – duet i tercet. Z nich wyłoniono troje uczestników finału. W finale zdecydowane zwycięstwo przypadło **Marii Orlickiej** (22 głosy), która została Mistrzem Slamu i otrzymała złoty medal. Drugie miejsce i srebrny

medal otrzymała **Barbara Bartusz** (8 głosów), a trzecie – **Witold Stankiewicz** (7 głosów). Pozostałe miejsca zajęły **Zofia Tumielewicz** i **Agnieszka Ginko**, które dotarły do półfinałów.

Ponadto laureaci otrzymali ciekawe upominki, szampany i dyplomy. Nagrody laureatom wręczali organizatorzy Slamu – dyrektor biblioteki dr Andrzej Buck i prezes oddziału ZLP Eugeniusz Kurzawa.

Każdy uczestnik miał dwie minuty na prezentację swojego utworu poetyckiego, a oceniającymi była sama licznie zebrana publiczność, która po każdej eliminacji głosowała na swoich faworytów. Konkurs przypadł uczestnikom i zebranym do gustu, stąd organizatorzy zapewnili, że w roku przyszłym będą kontynuować Slam i powiększą pulę nagród rzeczowych, także o finansową oraz pozyskają sponsorów. Imprezę przygotował Dział Promocji Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. C. Norwida wspólnie z zielonogórskim oddziałem ZLP, a Slam zaaranżował i prowadził Robert Rudiak.



Coś z Fausta

Może jeszcze coś się uda,
Może minie chwila zła,
A do innej, jeszcze – nowej –
Powiem: zostań chwilo, trwaj!
Dłużej, dłużej! Takaś piękna!
Nie przemijaj nadaremnie,
Lecz w uśmiechu zanurz się!
Jak kruszyna złota w piachu
Daj się znaleźć, uciesz oczy,
Zaciąż w dłoni póki czas.
Bo nie wrócisz nigdy więcej.
Jeszcze dziś uraduj nas!

moim Aniołom

Moim Aniołom mówię – dziękuję,
znam tylko kilku, ale wciąż czuję,
że są tuż przy mnie, zawsze i wszędzie,
w radości, w bólu, przy każdym błędzie.

Lecz z aniołami bywa tak,
że Ci zawsze dają znak,
nie wiesz też kiedy i nie wiesz, czy
aniołem dla kogoś możesz zostać Ty.

Drzewa

W skwarze południa lejącym się z nieba,
omdlałe prawie, znużone gorącem,
cichą modlitwę odmawiają drzewa,
o zmiłowanie prosząc – by już zaszło słońce
i... zmierzchu szarość przyniosła wytchnienie.
O deszcz błagają, choćby lada jaki,
który napoi spragnione korzenie,
nim kołysankę do snu zanucą im ptaki.
W ciemnościach jeszcze poplotkują troszkę,
liśćmi poszepczą i... zasną nareszcie
pod baczny i surowy, księżycowym okiem.
Skowronek je obudzi, świt besztając chętnie.
Rozbudzą się nieśpiesznie, rozprostują liście,
potem żartowniś-wietrzyk potarga im grzywy.
Uklonią mu się lekko, ale zamaszyście,
aż szalapat się znudzi, pogna gdzieś szczęśliwy.
Stać będą mimo ulew, mrozów i zamieci.
Że kiedyś ich zabraknie ogarnia mnie trwoga!
Wszak one są bezbronne, niewinne, jak dzieci;

łagodni, zielonoocy, niemi posłańcy Boga.

Mieczysław J. Warszawski – próba potwierdzenia, czyli literacki czyściec. Szkic o wierszach z tomu *Nic ponad*

Mieczysław J. Warszawski, *Nic ponad*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2015, 140 s.

W zakończeniu prologu do pośmiertnego wydania wierszy Mieczysława J. Warszawskiego *Nic ponad* krytyk, a zarazem przyjaciel poety, Czesław Sobkowiak napisał, że „...dzieło, jak każde inne, czeka próba sprawdzenia, próba potwierdzenia, odsiania prawdy od pozoru, oczyszczenia, czyli literacki czyściec, który niekoniecznie musi być ciszą i milczeniem”. W istocie, dzieło literackie podlega weryfikacji z upływem czasu. *Tempus fugit, opera manent*. Czas ucieka, płynie, a dzieła pozostają. Rozpoczynają niejako własne życie. To upływ czasu powoduje, że muszą bronić się same. A bronią się pod warunkiem, że noszą znamiona takiej sztuki, która dotyka i usiłuje rozwikłać problemy dotyczące uniwersum. Być może brzmi to jak truizm, co jednak nie zmienia faktu, że próba odpowiedzi na kwestie fundamentalne, próba dookreślenia ich, zdefiniowania, wydobycia z pozornie prozaicznych wydarzeń, jakie składają się na fenomen życiorysu tak jednostki, jak i społeczności, właśnie stanowi o mentalnym kunszcie, o wysublimowaniu i finezji intelektualnej poety. Podejmowanie takich prób jest zarazem *sui generis* apologią dzieła. Gdy do tego dołączy jeszcze sprawność warsztatowa warunkowana naturalnie talentem, otrzymujemy perły literatury, które niezależnie od upływającego czasu są nieustanną aktualnością i ścieżką *kalos kai episteme*, piękną i poznania.

Spróbujmy odpowiedzieć na pytanie, czy Warszawski – który sam siebie określa „kurzu wiecznym tułaczem” (*Rozlokowanie*), który siebie lokuje „w kącie” jako obserwatora zdarzeń, jako kronikarza, jak Stendhalowskie lustro przechadzające się gościńcem – udźwignął ciężar intelektualnego i artystycznego zmierzania się z kwestiami uniwersalnymi? Czy w ogóle jego poezja kwestie takie podejmuje? Próba odpowiedzi na te pytania stanowi zarazem wspomniany przez Sobkowiaka literacki czyściec i ewentualną afirmację dzieła autora *Nic ponad*.

Czytając wiersze Mieczysława Warszawskiego pomieszczone w tomie *Nic ponad*, zauważamy, że autor nie tylko nie unika, ale wręcz podejmuje próbę odpowiedzi na pytania nieuchronnie niesione przez samą egzystencję jednostki. Znajdujemy tu mniej lub też bardziej zakamuflowane, niejako otulone płaszczem lirycznej gry słów dotykające problemów, takich jak np. przemijanie w wierszu *Rzeka życia* i *Wszystko na oścież*:

jesteś tylko ty i jest rzeka.

Która tak spławia, jakby
na wieki wieków, twoja
i nie twoja rzeka...
(*Rzeka życia*)

...Teraz
nawet ty wraz
z domem
popadasz
w ruinę.
(*Wszystko na oścież*)

Albo samotność jako zadanie, jako problem i jako rzeczywistość zastana i nieodwołalna, która jest dla artysty wyzwaniem szczególnym i niezwykle doniosłym w procesie samodefiniowania, tak w aspekcie twórczym, jak też w osobistym życiowym doświadczeniu:

W szczerym polu jeszcze jeden szczegół:
Ja, czyli cień nie swojego krajobrazu
(*Cień krajobrazu*)

Wyraźne jest poszukiwanie sensu bytowania, dookreślenia siebie jako jednostki w aspekcie swoiście pojmowanej przez poetę metafizyki istnienia, co widoczne jest np. w postawie przywołującej na myśl Kawafisowskie zmagania z egzystencją, jak też nieodległy topos o tym, co będzie dalej. Czytamy o tym w niejednym liryku budującym omawiany tom:

Próg progu

krok niby prosty
niby nie wart wysiłku
a jednak korci
(*Przedproże*)

Ściana...
...Z autopsji na podłożu
Której wspiera się
Pokątnie żywot
Niejeden
(*Ściana*)

Pośród tropów poszukiwań uniwersalnych odpowiedzi znajdziemy jeszcze szereg nurtów tematycznych przewijających się przez poezję Warszawskiego i świadczących dobitnie, że problematyka ta

poważnie zaprzętała twórcze poszukiwania poety, stanowiąc zarazem źródło natchnienia i – paradoksalnie – motywację do apologii życia:

Co jest, niech będzie.
Ani dłużej, ani krócej.
Jak niebo nad nami...
(*Kształt kropli*)

Jednak twórczość Mieczysława Warszawskiego ogniskuje się nie tylko wokół zagadnień z pogranicza teleologii, epistemologii czy metafizyki. Znajdziemy tu wiersze stanowiące pochylenie nad fenomenem istnienia, jakże często apologetyzujących, a chciałyby się powiedzieć – zaklinających często nieprzyjazną i raniącą rzeczywistość, w której był osadzony ich autor. A wypada dodać, że to osadzenie w teraźniejszości było niełatwe. Osoba o poetyckiej wrażliwości, żyjąca praktycznie na odludziu, wśród niekoniecznie rozumiejących ciśnienia, jakie znosi poeta. Zatem był w istocie skazany na samotność. Przywołuje to asocjacje np. z wieżą Montaigne'a, co z jednej strony jest wartością, jednak z drugiej – jest też miarą goryczy. O niezrozumieniu i własnym, uświadomionym nieprzystosowaniu do świata (bo powiedzmy szczerze, który artysta jest „przystosowany”?) czytamy u niego wręcz *in expressis verbis*:

Rozproszyło nas to
życie, rozproszyło. Prawie
że rozmagnetyzowało.
... – chcąc,
nie chcąc – też się jest
na swoim niby
miejszu
(*Wyalienowania*)

Jestem zarówno
Wyrodnym synem jak
I ojcem

Także i
Bratem
(*Wyrodnym*)

Zdaje sobie sprawę, że „nieprzystosowanie” jest wpisane w życie takiego człowieka jak on, nie buntuje się więc, jedynie konstatuje, że tak właśnie jest:

Należałoby
Zacząć od kodu
Genetycznego, jeśli nie
Od orgazmu. Czy też od płodu
(*Należałoby*)

Można by powiedzieć: cóż, taki los. To jednak nie zmienia faktu cierpienia wynikającego z wyalienowania, w tym przypadku tak mentalnego, jak i rzeczowego. Samotne pomieszkowanie z matką, z drugiej zaś strony fama gruntująca jego pozycję wśród literatów regionu, gdzieś na obrzeżach. Powstaje pytanie: na obrzeżach czego? Uważna lektura tych wierszy famę tę niweluje. Nie ma to jednak wpływu na doświadczenia poety. Dlatego tym większym podziwem darzymy twórcę, człowieka, który w powyższych kontekstach zdobył się na ukorzenie przed rzeczywistością i na afirmację życia *in toto*.

Na przesłoniętym słońcem nieboskłonem horyzont
ziemskich żywotów
W miejscu gdzie nie ma nic ani nikogo, cień
czegoś, czego
Jeszcze nie widać
Jak okiem sięgnąć, trwa tam i tu, przyrodzone
i nadprzyrodzone
co bywa równie przyziemne, jak i wniebowzięte
(*Treść*)

I właśnie ta afirmacja, jakby wbrew nieszczęściom całego świata przez poetę doświadczonym, zebranych jak gromy przez piorunochron, stanowi o autentyczności tej literatury. Dzięki analitycznej postawie, odwadze konfrontowania się z rzeczywistością i jednocześnie pokorze wobec niej wiersze Mieczysława J. Warszawskiego zdecydowanie obroniły się w „literackim czyścicu”, przechodząc pomyślnie próbę potwierdzenia ich uniwersum i aktualności.

Marek Grewling

„Zostaję z pytaniem” – *Moje herezje* Zygmunta Marka Piechockiego

Przenikliwe, zmuszające do zastanowienia tytuły książek Zygmunta Marka Piechockiego (rocznik 1947) korespondują – niekiedy w sposób przekorny – z głównymi wątkami, myślami, zapisami chwil. Na dorobek lubuskiego pisarza, będącego też – warto zauważyć – propagatorem muzyki poważnej i animatorem kultury, składają się tomiki poetyckie: *Zaistniałem* (1998), *54 wiersze bez cenzusu* (2006), *Moje herezje* (2006), *Sytuacje* (2009), *Zapiski klasztorne* (2008), *Czerpanie z pustki* (2014), *Pojednanie* (2014), książki prozatorskie: *Listy hipotetyczne* (2010), *Powrót Melanii Fogelbaum* (2013) oraz zbiór wierszy i prozy *W pobliżu rozumienia* (2012).

W 2014 r. ukazała się kolejna książka pt. *Preteksty*. Poeta na własny koszt wydał większość swoich tomików, sam wymyślił szaty graficzne, a książki opracował wspólnie z Moniką Szalczyńską. Wzrost edytorski tych publikacji został doceniony przez jury „Lubuskich Wawrzynów Literackich” – tomik *Sytuacje* uznany został za najładniej wydaną książkę lubuską roku.

W przedmowie do tomiku *Czerpanie z pustki* Piechocki napisał o poezji: „[...] wiadomo, że pierwszy wers dyktuje Pan Bóg, z resztą trzeba się samemu męczyć”¹. Tytułowe „czerpanie z pustki” czy próba wymyślenia wiersza pt. *Dobrnąć do ci-*

1 Z. M. Piechocki, *Czerpanie z pustki. Poezje wybrane*, Gorzów Wielkopolski 2014, s. 11.

szy², o której autor wspomina w tomie *Sytuacje*, rzeczywiście wydawać się mogą mozolnym trudem, jednak twórczość gorzowskiego poety nie sprawia wrażenia „wymęczonej” ani wymuszonej. Poezja ta wydaje się raczej swobodnie „utkana z potrójnej materii – słowa, muzyki i obrazu”³. Jej istotę trafnie oddaje znalezione przez pisarza już po wydrukowaniu *Czerpania z pustki* motto Aldony Borowicz: „Jest tylko prostota słów i nagość”⁴.

Nuta pokory, szczerość i nieustanne poszukiwanie „czegoś więcej” niż to, co udaje się wyrazić, to cechy charakterystyczne dla wielu utworów autora, który jako „poeta kultury”⁵ nie tylko sięga do odniesień malarskich i muzycznych, ale i sam tworzy asamblaż o tematyce religijnej⁶. Krystyna Kamińska w twórczości Piechockiego dostrzega „wtopienie w religię, czerpanie [...] inspiracji z narodzin i śmierci Jezusa, przekonanie o wiecznej obecności religii katolickiej w życiu każdego człowieka i całego świata”⁷. Szczególnie wyraźnie widać to w tekstach bezpośrednio odnoszących się do Boga i sfery sacrum, zwłaszcza z tomów *Moje herezje*⁸ i *Zapiski klasztorne*⁹, które stanowią próbę ukazania rzeczywistości duchowej i osobistego doświadczenia obecności Najwyższego. W pierwszym z nich uwagę zwraca dążenie do poznania i zrozumienia Boga oraz rozważanie Jego zbawczego planu wobec ludzi. Drugi to świadectwo kontemplowania Boga w ciszy, spokoju i dźwiękach muzyki, odkrywania Go „Pod białymi habitami/ czarnymi welonami”¹⁰,

za sprawą klasztornych murów i tylko niezbędnych przedmiotów.

W *Zapiskach klasztornych* dostrzec można próbę powiązania tematu religijnego z muzyką¹¹, natomiast malarskość wydaje się istotną cechą przybliżającą tę problematykę w tomie *Moje herezje*. Dominującą jest tu perspektywa chrystocentryczna, na którą składają się: obraz Jezusa Nowonarodzonego („Syn”, „Chłopiec”, „Mały”, „Dziecko”, „Słowo”, „Maleństwo”, „Nowonarodzony”, „Narodzony w stajni”), obraz Nauczającego Mistrza („dwunastoletni mędrzec poszukiwany przez rodziców”, „łagodny Rabbi”, „Mistrz”), obraz Cierpiącego i Zmartwychwstałego Chrystusa („Męczony”, „Chrystus zbołały”, „Zamęczony”, „Skazany”, „Zakrwawiony”, „Prowadzony na Golgotę”, „Niosący belkę”, „Ukrzyżowany”, „Umarły”, „Nazarejczyk”, „Człowiek”, „Wędrowiec”) czy wreszcie obrazy „Pana”, „Niebosktonnego”, „Jedynego”, „Stwórcy”.

Bogactwu określeń Boga towarzyszą szczegółowe opisy stanowiące różne wersje Nowotestamentalnych wydarzeń zbawczych, a dopełniają je plastyczne obrazy – w tym trzy ilustracje Juliusza Piechockiego przedstawiające Chrystusa Ukrzyżowanego, Madonnę z Dzieciątkiem i Pietę. Podstawowe prawdy Ewangelii wyłaniają się tu stopniowo, w kilku hipotetycznych, uzupełniających się nawzajem odsłonach, tworzących swoisty kerygmat oraz wizerunek Umęczonego i Zmartwychwstałego. Zbawiciel jawi się jako akceptujący wynikające z natury ludzkiej słabości uczniów, dlatego:

2 Tenże, *Sytuacje*, Gorzów Wielkopolski 2009, s. 40.

3 Por. M. Mikołajczak, „Piękno arabesek”. O wierszach Zygmunta Marka Piechockiego, „Pro Libris” 2010, nr 2/3 (31/32), s. 120.

4 <http://www.miaistoliteratow.com/index.htm?http://www.miaistoliteratow.com/borowicza.htm> [dostęp: 18.09.2014].

5 M. Mikołajczak, dz. cyt., s. 120.

6 Asamblaż autora o tematyce sakralnej można było obejrzeć na wystawie w KMT LAMUS w Gorzowie – zob. <http://www.klublamus.pl/pl/archive/148-galeria.html> [dostęp: 20.09.2014].

7 K. Kamińska, *Tu nie ma pustki*, „Pegaz Lubuski” 2014, nr 2 (57), s. 10.

8 Z. M. Piechocki, *Moje herezje*, Gorzów Wielkopolski 2006, [s. 3]. Cytaty pochodzące z tomiku opatrzyć będę numerem strony zapisanym w nawiasie. *Moje herezje* w całości zacytowane zostały także w tomie *Czerpanie z pustki*, do cyklu dołączony został tam także wiersz *Moja modlitwa (jasnogórska)*.

9 Ciekawą recenzję *Zapisków klasztornych* napisała Anna Sokółka, por.: <http://www.postscriptum.net.pl/viewtopic.php?t=1070> [dostęp: 20.09.2014].

10 Z. M. Piechocki, *Sytuacje*, dz. cyt., s. 26.

11 M. Mikołajczak w recenzji książki zwraca uwagę, że wiersze opatrzone są podtytułami złożonymi z imienia i nazwiska kompozytora oraz nazwy utworu i mogą być interpretowane jako partytury. Zob. M. Mikołajczak, dz. cyt., s. 120.

Zabrał ich
ze sobą
w życie
i śmierć

Jeden zdradził
inni stchórzili –
Ogród Oliwny płonął
gdy spali

Potem
dotykali Jego ran

Zawstydzeni [...] (24)

„TEN który dał siebie bym mógł żyć/ Żyć wiecznie” (19), „Ten Który Powstał” (31) i wreszcie „Wędrowiec” (39) napotkany w drodze do Emaus, „miły w rozmowie/ biegły w tłumaczeniu proroków” (40) zostaje rozpoznany przez uczniów po łamaniu chleba. Ten gest charakterystyczny dla Jezusa przemawia do apostołów mocniej niż rozmowa z Nim i wyjaśnianie przez Niego pism, ponieważ jest znakiem ich osobistego doświadczenia Bożej obecności. Nie wiedza, którą nabyli, nie słowa, których słuchali, ale przede wszystkim bycie z Rabbim i wspólnie spędzony czas pozwoliły uczniom na nowo uwierzyć „we wszystko” (4).

Dla autora *Moich herezji* właśnie osobiste doświadczenie odkupieńczej miłości Boga wydaje się

szczególnie ważne. A może raczej – doświadczenie, ponieważ jest ono procesem, a wiara przenikająca wiersze nie rodzi się automatycznie. Podmiot liryczny wydaje się wędrowcem, będącym ciągle w drodze, uczniem idącym do Emaus w towarzystwie samego Boga, apostołem, który choć „nieskory do wierzenia”, wiary tej nieustannie poszukuje:

Zamykam oczy, zamykam oczy
i wędruję pomiędzy wzgórzami Judei
za łagodnym Rabbim (6)

To człowiek pytający o „niedzielny poranek” (34), o Judasza – czy „gdyby sam nie wymierzył sobie kary/ mógłby liczyć na wybaczenie” (35), o to, „jakimi znakami mają być niewierności/ o których wiedział/ nim się stały” (34) i nie znajdujący ostatecznych odpowiedzi.

Zwątpienie przeplata się w wierszach z ufną wiarą, graniczącą z pewnością: „Wiem, że grób znajduje pusty/ a Pana spotkam na drodze do Emaus” (38). Dominująca wydaje się tu postawa stawiania pytania o Boga i stawiania pytań Bogu, szukanie Boga i samego siebie przez pryzmat doświadczenia spotkania na modlitwie czy w milczeniu, postawa, którą podsumować można zdaniem z wiersza *Judasza część IV – To tak trudno zrozumieć*. „Zostaję z pytaniem” (35).

Katarzyna Krysińska

Literatura lubuska ujarzmiona

Robert Rudiak, *Ruch literacki na Środkowym Nadodrzu w XX i XXI w.*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2015, 246 s.

Zanim ta książka powstała, autor napisał (i opublikował) kilka samodzielnych rozpraw o rozmaitych formach funkcjonowania ruchu literackiego na Ziemi Lubuskiej. Dotyczyły więc one kontynuacji w tym włączonym po wojnie do Polski regionie tradycji polskiego ludowego ruchu literackiego; ukazywały robotniczy ruch literacki (z lat 1976-2013) oraz stu-

dencki (z lat 1975-1990). Inne przedstawiały rolę odegraną w lubuskim życiu literackim przez członków KKMP przy ZMW oraz organizacje i ugrupowania literackie od powojnia po rok 2000; opisywały też działalność ZLP w Zielonej Górze i w Gorzowie Wlkp. od momentu powstania w nich oddziałów Związku po rok miniony. Wreszcie – ukazywały li-

teracką promocję Zielonej Góry pod koniec XX w., jaka dokonywała się za sprawą pisarzy lubuskich dzięki znaczącej ich obecności w kulturze miasta.

Jak widać, każda z tych rozpraw miała osobny przedmiot. Wszystkie jednak łączył wspólny temat, określony w tytule książki. Zresztą – nie tylko on. To bowiem, co uderza podczas lektury całości, to powtarzanie się nazwisk znaczących pisarzy Środkowego Nadodrza w różnych formach przedstawianego przez dr. Rudiaka ruchu literackiego. A przynajmniej pozwala wyodrębnić wśród nich najbardziej aktywną społecznie i kulturalnie czołówkę. Bez jej inicjatyw ruch ten nie przybrałby charakterystycznej dla siebie postaci i nie wycisnął tak głębokiego i pozytywnego piętna na kulturze regionu. To właśnie istnienie tej czołówki nadawało owemu ruchowi spójność i określało jego specyfikę.

Bez tego literackiego ruchu trudno zresztą wyobrazić sobie teraz tożsamość i kulturę polskość Ziemi Lubuskiej. Wiadomo przecież, że jej społeczność składała się głównie ze słabo wykształconych migrantów ze wschodu i z przedstawicieli różnych regionów Polski, którzy po wojnie szukali tu dla siebie nowego miejsca do życia. Nie tworzyli oni wspólnoty. Stanowili zlepek różnych regionalnych, ludowych nacji. Nie mieli w zdecydowanej większości aspiracji i potrzeb określanych przez kulturę wysoką, nawet jeśli zdarzali się wśród nich pisarze-amatorzy.

I jeżeli z biegiem czasu ten zlepek zmienił się właśnie we wspólnotę, to dzięki szkole, radiu, gazetom, organizacjom społecznym i politycznym oraz instytucjom upowszechniającym kulturę. To one łącznie (każda na miarę swej specyfiki) stwarzały zachęty do tworzenia tu literatury i inicjatyw jej upowszechniania. W nich znajdowały dla siebie miejsce i wykluwały się oraz dojrzewały talenty i indywidualności literackie. W nich również zyskiwały społeczną obiektywizację ich twórcze wytwory.

Dlatego całość książki, która złożyła się z tworzonych przez autora artykułów, nie stanowi przypadkowego ich zlepkę. Przeciwnie: sprawia wrażenie niesłychanie zwartej i gruntownie przemyślanej. Ma jasną, logiczną konstrukcję i wyraźne myśli przewodnie. A także zawiera bogatą i sumienną dokumentację literatury przedmiotu.

Było bowiem zamiarem autora – jak sędzę – stworzenie obrazu procesów życia literackiego na Środkowym Nadodrzu jako ciągu złożonych zjawisk, głęboko warunkowanych (i wikłanych) przez skomplikowane i zmienne okoliczności społeczne, gospodarcze, polityczne i – przede wszystkim – kulturalne. Dzięki temu badacz odsłonił osobiliwość tego regionu, jego dynamikę i niepowtarzalność.

Uważam, że z postawionych sobie zadań dr Robert Rudiak wywiązał się znakomicie. Dzięki więc rezultatom jego pracy czytelnik może przyswoić sobie rozległą i drobiazgową wiedzę o społeczno-kulturowych kontekstach twórczości pisarzy lubuskich i wydarzeniach kulturalnych, które były ich dziełem. A prezentacja tej wiedzy i jej uporządkowanie to rezultat przyswojenia przez autora nie tylko rzetelnego warsztatu filologicznego, ale i prasoznawczego oraz socjologicznego.

Nie jest to więc książka o czystych zjawiskach literackich, które od powojnia po chwilę obecną powstały na Ziemi Lubuskiej. Ani tylko o literatach, jacy na niej (krócej lub dłużej) żyli i twórczością oraz aktywnością kulturalną zaznaczyli swą obecność. Jedno i drugie to wciąż otwarte tematy oczekujące całościowego opracowania.

Łatwo bowiem można sobie wyobrazić książkę o ruchu literackim w tym regionie jako ruchu literackich idei czy artystycznych form poezji, prozy, teatru, widzianych i ocenianych z punktu widzenia ich znaczenia w literaturze ogólnopolskiej lub artystycznej oryginalności. Wtedy z licznych pisarzy, obecnych w analizach autora, ostałaby się jeno garstka. I mogłoby się okazać, że jej związek z Ziemią Lubuską jest (lub był) mniej lub bardziej przypadkowy. Zniknąłby więc rzeczywisty przedmiot tej książki. Ale też rozplynęłyby się bogate zjawiska społeczno-kulturowe istotne dla postrzegania regionu. Dzięki wszakże *Ruchowi literackiemu na Środkowym Nadodrzu w XX i XXI w.* powstała nowa możliwość: badania ruchu literackiego jako sposobu życia, rozwoju i zanikania form kultury, których animatorami (a przynajmniej współanimatorami) są pisarze i ich organizacje.

Takiej książki o tym regionie jeszcze nie było.

Jan Kurowicki

„Wszystko, czego nie ma, jest we mnie”. O Mieczysławie J. Warszawskim i jego wierszach z tomu *Nic ponad*

Mieczysław J. Warszawski, *Nic ponad*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2015, 140 s.

Pisząc o ostatnim tomie wierszy Mieczysława J. Warszawskiego, nie chciałabym używać kategorięcznie brzmiącego przymiotnika: pośmiertny. Określenie to brzmi tak, jakby wszystko już zostało powiedziane i nieodwołalnie zamknięte. A przecież nieżyjący autor tomu *Nic ponad*, Mieczysław J. Warszawski, nie jest w żaden sposób treścią zakończoną i jednoznacznie rozstrzygniętą. Można by, odwołując się do znanego toposu, przypomnieć, że artysta nie ginie cały, że jego słowa pozostają, a będąc poezją, z racji swej istoty, nie tracą swej wieloznaczności i aktualności, pomimo że ich autor nie stworzył już żadnej frazy, nie zapisze refleksji, nie utrwali żadnego momentu poezjogennej epifanii. Trudno jednak oprzeć się urodzie i metafizyce kryjącej się w refleksji, na której celność zwrócił uwagę także autor posłowania i przyjaciel nieżyjącego autora, Czesław Sobkowiak. Otóż w inicjalnym, nieco autoironicznie zatytułowanym tekście *Na ewentualność wierszy pośmiertnych* poeta stwierdza, że owszem, fenomen taki jest możliwy do zaistnienia, bo przecież wiersze można pisać „choćby kosturem ciała”. Ta autotematyczna (i nieco horacjańska w swej wymowie) refleksja mówi o tym, że poezja przekracza granice wyznaczone biologicznym czasem twórcy, że egzystencjalna cezura poety nie istnieje dla jego poezji, która żyje i pisze się nawet po jego śmierci. Oczywiście tę ciekawą tezę można czytać jako autorskie przeświadczenie o nieprzemijającej wartości tego, co zasługuje na miano poezji wysokiej klasy, która nie umiera wraz ze śmiercią autora. A także jako nadzieję na to, że własna twórczość taką się okaże. Niezagrożoną żadnym kresom.

Ostatni zbiór wierszy Warszawskiego, wydany staraniem przyjaciela poety, Czesława Sobkowiaka, zilustrowany fotografiami przypominającymi różne momenty z życia autora, budując dwa rozdziały, w których wyraźnie odnaleźć można przewodzące im motywy. Należą do nich: matka, najbliższa topo-

grafia oraz kwestia zdefiniowania siebie i swojego miejsca w przestrzeni bliższej i dalszej.

Gdyby chcieć rekonstruować obraz osoby na podstawie tego, co zostało zapisane, można by, oczywiście ryzykując błąd stawianej tezy, odczytać autora tomu jako człowieka osobnego, lecz po norwidowsku dumnego ze swojego stanu wyobcowania. To zapewne zostało już wielokrotnie o M. Warszawskim powiedziane, że był człowiekiem zdystansowanym do świata, zmagającym się, jak można sądzić, z poczuciem osamotnienia i niespełnienia. Potwierdzeniem tej tezy zdają się tytuły wcześniej wydanych książek poetyckich i prozatorskich, jak choćby *Poranne wygnania*, *Cztery ściany bezdomności*, *Zaledwie niczyj* czy *Bezrobotny Syzyf*. Artysta jednak, pomimo niepozostawiającej złudzeń samoświadomości, potrafił intensywnie przeżywać swój czas i być zawsze otwartym na doświadczanie egzystencjalnego zachwyty.

Chętnie eksplorowany przez lirykę motyw samotności ma u M. Warszawskiego – co zasługuje na szczególną uwagę – wiele odcieni. Ta samotność to i bezdomność, i niezakorzenie, i niezamieszkanie, i wyalienowanie, i szczególny rodzaj tułactwa, które poetę – everymana odrywa od konkretnego pejzażu i czasu. Czytamy w tym tomie wiersze dające wyraz poczucia uwierania życia, niepokoju nakazującego wieczne poszukiwanie najwłaściwszego dla siebie miejsca. To poszukiwanie czyni podmiot esencją swego losu, co w wierszu *Rozłokowanie* określił niezwykle trafną, oksymoroniczną metaforą, nazywając życie „wiekuistym spokojem ruchu”. Tak stan pozwolił poecie wykształcić w sobie prawdziwie stoicki stosunek do doczesności, zalecający zachowanie umiaru w czerpaniu z doczesnych, nietrwałych przecież dóbr:

A nawet i dobytek
W każdym kącie choć

Wybiór czy zagrać jednak
Zarówno twój stan
Ciała jak
I ducha
[...]
Posiądź się więc na tyle
Na ile zdołasz
Tylko nie zbyt
(*Nic ponad*)

Warszawski kontestuje wanitatywne składniki życia, poszukując tego co trwałe w sobie. Motyw ubóstwa powraca tu często, a poeta przyjmuje przy tym nierzadko pozę Diogenesa, dla którego nie istnieje nic bardziej pożądanego niż oglądanie słońca i wchłanianie zapachów świata.

Jak już wspomniano, to właśnie wokół motywu matki, jej osoby i znaczenia, jakie nadała życiu poety, ogniskuje się pierwszy rozdział tomu, który rozpoczyna się przejmującym epicedialnym cyklem o jej odchodzeniu. *Elegia na odejście* jest zapisem bolesnej realności i metafizyki pożegnania, które rozgrywało się na tle dojrzewających zbóż:

Jak nigdy dotąd też
Miało się pod wieczór
Kiedy mama umarła należy więc przeżyć
I taki wieczór wszystko bowiem
Wokół jeszcze
Sierpnieje
(*Elegia na odejście, sierpniowa*)

W obrębie tekstów oscylujących wokół wspomnianego tematu są i zapisy wysiłków poety, dokonującego rozrachunku własnych win wobec matki, a także pragnienia ekspiacji, która jest warunkiem powrotu do stanu, w którym można będzie podjąć na nowo zadania stawiane przez życie. W wyobrażonym dialogu z nią zobowiązuje się do pamięci: „Snopowiążkę ślady i wspomnienia po Tobie, / Mamo” (*Dwugłos*).

Matka i jej obraz podlegają mitologizacji czy wręcz deifikacji. Już po czasie autor konstatuje, że była ona niezastąpionym *constans* jego świata. Nie tylko jednak relacje z matką i stosunek do niej zajmu-

ją uwagę autora *Nic ponad*. Także trudne, budzące poczucie niespełnienia związku ojca z synem, powroty, w których odwrócony zostaje topos syna marnotrawnego. W tych refleksjach poeta jawi się jako człowiek prawy, świadomy odpowiedzialności, której nie zawsze potrafił sprostać. Dlatego pobrzmiewa tu wielokrotnie ton samooskarżycielski:

Gdyby nawet oko
Za oko ząb za ząb
To komu mam je wyłupić
Albo powybijać jeśli
Nie sobie
(*Prawość*)

Nawiązania do Różewicza, o których wspomina Czesław Sobkowiak, widoczne są nie tylko w aspekcie podejmowanej problematyki, ale przede wszystkim w typowym dla Różewicza sposobie traktowania słowa. Widzimy wyraźną predylekcję do użycia języka kolokwialnego, ale Warszawski twórczo to przekształca, umieszczając elementy potoczne obok konstrukcji archaicznych. Także leksyka – współczesna obok staropolskiej. W jednym z wierszy pojawia się zapis impresji, na którą składa się obraz „trzepoczących o zaranku chmur alergenów”. Znajdujemy tu też parafrazy, które można czytać jako literackie aluzje, np. „Stara kobieta mówi”. A skoro już wspomniamy o inspiracjach, artystycznych polach odniesień, zaryzykujemy – fascynacjach literackich autora – nie możemy pominąć także wpływu Leśmiana. To bardzo wyraźny trop. Język Warszawskiego pełen jest innowacji leksykalnych, stanowiących czytelne nawiązanie do stylu autora *Dziejby leśnej*. Widać to także w tytułach wielu liryków (*Jutrzenność, Niemojość, Sierpnienie*). W jednym z wierszy słyszymy jakby echo Leśmianowskiego bezczasu i bezświata: „Kres się kreśli poza widoczność” (*Widnokres*).

W tomie tym można zauważyć także upodobania lingwistyczne, powinowactwa z poezją Białoszewskiego

[...]
w przyrzeczu
tej rzeki,

która
grzęźnie wodo-
nośnie
(*Na marginesie rzeki*)

Warszawski wykorzystuje szerokie spektrum możliwości języka. Pole jego warsztatowych poczyniń to nie tylko semantyka, składnia, ale również warstwa dźwiękowa, co możemy zaobserwować w stosowanej nierzadko eufonii: „kurz tu się krząta po kątach” (*Wszystko na oścież*).

Ta sieć powiązań jest bogatsza i niewątpliwie pokazuje, że nie istnieje czyste źródło literatury, że pomiędzy językiem a światem stoją wcześniejsze użycia danego słowa i Warszawski z tej bogatej literackiej tradycji potrafi umiejętnie czerpać.

Poezja Mieczysława J. Warszawskiego jest odbiciem jego osobowości – samotnika, realnie wyalieno-

wanego, o skłonnościach introwertycznych, którego świat, nawet ten najbliższy pojąć nie może, ale i on nie pojmuje tego świata do końca. Stara się, lecz konstatuje, że te starania zwykle są po czasie. Lektura wierszy może wydawać się przygodą, przygodą z poezją niebanalną, jednak w kontekście biografii poety o tyle ciekawej, co i tragicznej zarazem, staje się doświadczeniem ludzkiego losu, który w każdej chwili może stać się losem każdego z nas. Prezentowany przez autora świat, ukazany z perspektywy tego, „który ogląda się wstecz”, jest miejscem, w którym człowiek dochodzi do wniosku, że życie niestety nie pozwala dotknąć upragnionego nieba, że człowiek często nie dosięga w nim nawet chmur.

Barbara Anna Dominiak

Tragiczne miłości genialnych artystów. O nowych poematach Elżbiety Musiał

Elżbieta Musiał, *Mówię pochylona cambrią*, Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2015, 56 s.

Związek uczuciowy dwojga ludzi nigdy nie jest łatwy. A jeśli dojdzie do niego między artystami, kreatorami sztuki, geniuszami, to z pewnością będzie to układ burzliwy i namiętnie toksyczny, i to nie tylko w materii cielesnej, ale przede wszystkim w sferze duchowo-umysłowej. Można powiedzieć, że z punktu widzenia racjonalnego i psychologicznego, tego typu relacje interpersonalne z góry skazane są na przegraną, gdyż taki związek jest zbyt ciasny na pomieszczenie dwóch osobowości wielkiego formatu. Tu żadne nie chce podporządkować się drugiemu, każde chce dominować, chce czuć się wolnym i spełnionym. Nie ma więc miejsca na marazm, szarość, zwyczajne poświęcenie, a jeśli już – to tylko na krótki moment. Dusza artystyczna wszak upomni się o swoje wielkie ego, które potrafi wszystko przyćmić.

Nie inaczej było w tego typu parach artystycznych, które tworzyli Katarzyna Kobro i Władysław

Strzemiński, Frida Kahlo i Diego Rivera, Camille Claudel i August Rodin czy Elinor Wylie (właśc. Elinor Morton Hoyt), która przeżyła kilka skandalizujących małżeństw, m.in. z Williamem Rose Benettem. To właśnie temat ich życia i tragicznej miłości stał się inspiracją do napisania przez Elżbietę Musiał zbioru czterech poematów pod wspólnym tytułem *Mówię pochylona cambrią*.

Pierwszy poemat *Czwarty wymiar* opisuje niełatwe losy rzeźbiarki Katarzyny Kobro i Władysława Strzemińskiego, poważnie okaleczonego w trakcie I wojny awangardowego malarza, znanego w świecie twórcy koncepcji malarskiej zwanej unizmem. Ich trudne życie poetka opisuje, kiedy „wichry historii” rzuciły ich do Wilejki w chwili wybuchu II wojny. Artystka jest zmuszona spalić swoje rzeźby, aby ratować rodzinę przed zamrożeniem i głodem. Heroizm kobiety polegał więc na tym, że w krytycznej chwili

zagrożenia życia to ona, mając męża inwalidę, wzięła na siebie ciężar utrzymania domu i – jak pisze poetka – „mężniatła, mężem nie będąc”:

Ciemna piwnica a może czarna dziura
i głuchy głos zwrócony do ściany:
Jestem matką – więc cierpię,
jestem rzeźbiarką – tym gorzej,
lepiej nie być kobietą.
Potem już tylko skrzypiące drzwiczki paleniska i
w popiół obracałaś drewniane dzieci.
Przez chwilę było ciepło. On nie zrozumiał aktu
rozpaczy.

W *Meksykańskim danaidzie* Elżbieta Musiał ukazała splot losów drugiej pary nieszczęśliwych kochanków – latynoskich malarzy: Fridy Kahlo, która w dzieciństwie uległa wypadkowi, w skutek którego jej ciało zostało poważnie oszpecone i zdeformowane, a ból i cierpienie były głównym motywem jej twórczości, i Diego Rivery, sympatyka komunizmu i kobieciarza, którego liczne romanse doprowadziły do rozpadu małżeństwa artystów. Poetka bardzo subtelnie i drobniawczo opisuje ich ogniisty związek właściwie w chwili, gdy on już wygasa. U Fridy więc poza utrapieniem fizycznym dochodzi sercowe, emocjonalne, które jeszcze bardziej wyczerpuje artystkę i bezwzględnie podcina jej skrzydła do artystycznych uniesień – słowem, wypala, by nie rzec, że duchowo zabija ją i jej sztukę:

Obstawiam, że jednak odwróciłaś oczy od cielenego
wroga, który nie opuścił cię nawet na chwilę.
I spojrziałaś
na Diego, jak dzień z ręk mu wypada
i płaczą się nogi. To nic, że zdrada.
Było przecież szczęście, a nawet
pogoda ustawiona w katedrze. Dwoje ludzi
związanych obrazem po zawsze.

W trzecim poemacie *Corpus delicti* poetka zajął się francuskim duetem rzeźbiarskim – Camille Claudel i Augustem Rodinem, którzy mieli płomienny romans, w wyniku którego artystka poroniła, a jej ko-

chanek nigdy nie zdecydował się na rozwód. Po depresji wywołanej stratą ciąży artystka coraz bardziej zapadała się w siebie i w swoją chorobę psychiczną, co skończyło się jej zupełną izolacją. Choroba, leki, opuszczenie przez wybranka, odrzucenie przez rodzinę i wieloletnia samotność w zakładzie zamkniętym odcisnęły dodatkowe piętno. Zapomniana przez wszystkich, przez długie lata dogorywała w obłądziej pozbawiona tego, co było jej życiem, szczęściem, inspiracją i natchnieniem, czyli bez miłości ukochanej osoby i bez swojej sztuki, dłuta i gliny:

Potrzebuję światła. Knot się dopalił dawno.
Wszystko łaknie powietrza, ja światła i gliny.
Rodin, Rodin, Rodin! Tak cię zna Paryż,
a ja rozbijam imię o ścianę, słyszysz?
Moja piwnica na Wyspie Świętego Ludwika
ciemna.
Noc przyszła. To nie atelier na 117 rue Notre-Dame-des Champs.

W ostatnim poemacie *Reinkarnacje, czyli prawdy i kłamstwa* autorka przedstawia pogmatwane losy Elinor Wylie, amerykańskiej poetki metafizycznej i pisarki historycznych romansów. I to z jej postacią najpełniej utożsamia się poetka, a właściwie z jej głębią erudycyjnych i nostalgicznych poematów. W nich dopatruje się analogii ze swoją twórczością i życiem intymnym; w poezji Elinor odszukuje siebie i w niej widzi swoją bliźniaczą, duchową siostrę, z którą łączy ją astrologiczny i biologiczny mariaż, a nawet sensualno-ezoteryczny pomost dusz, rozpostarty nad anachronicznym widnokresem czasu i sennych wizji:

Pogubiłam już wątki, pomieszałam ślady i
nie wiem, gdzie ty się kończysz, a gdzie ja zaczynam.
Czasem czuję się tobą, może kiedyś byłam [...]

Elżbieta Musiał to znana w kraju autorka wielu nastrojowych poematów, z których każdy jest poetycką podróżą – jak napisał wydawca książki – „przez światy, obrazy, losy i sztukę”. I tak jest bez wątpienia i tym razem, gdzie w delikatny i misterny sposób, posługując się sprawnym i przebogatym

warsztatem językowo-kompozycyjnym i sztafżem środków lirycznych, poetka oprowadza czytelnika po krętych ścieżkach biograficzno-artystycznych swoich bohaterów oraz po zakamarkach ich serc, umysłów i dusz. Ukazuje życiowe, pogmatwane losy artystów oraz ich trudne wybory miłosne i twórcze, często wpłatając weń własne doświadczenia osobiste i artystyczne, co nie pozwala odbiorcy przejść obojętnie nad tego typu poezją, a wręcz przeciwnie

– zmusza do refleksji, głębszych przemyśleń i dalszej eksploracji wątków biograficznych ukazanych bohaterów. Taki układ tematyczny i konstrukcja liryczna wciąga niczym narkotyk do dalszej peregrynacji po życiorysach genialnych twórców, a zarazem spełnia dodatkową, poznawczo-edukacyjną funkcję, co jest jej ogromnym atutem i artystycznym walorem.

Robert Rudiak

Prywatne i literackie. *Kąt widzenia* Jacka Łukasiewicza

Jacek Łukasiewicz, *Kąt widzenia. Notatki literackie*, Wrocławskie Wydawnictwo Warstwy, Wrocław 2016, 380 s.

Kąt widzenia Jacka Łukasiewicza to książkowe wydanie notatek literackich i innych tekstów. Rzecz sporej objętości (380 stron, opublikowało Wrocławskie Wydawnictwo Warstwy). Ta objętość jest tu zaletą. Raczej mam pewność, że dopiero teraz, kiedy autor postanowił ze swoich felietonów literackich, sukcesywnie od 2004 r. drukowanych w większości w „Odrze”, a więc form nie za długich, zdań i dywagacji nierozwlekłych, nieobciążonych dyskursem naukowym, zrobić książkę, z konieczności dokonując selekcji, to wszystkie te teksty razem wzmocniły swoją wymowę. Powstaje z nich głos. Patronuje im (w widzeniu) fragment i szczegół. W zdaniach refleksje osobiste i ściśle literacka analiza, opis, wzajemnie siebie dopełniają. Tworzą nową jakość. Notatka pozwala szybko reagować. Informuje i zawiera pierwsze reakcje, dotyczące rozpoznanych treści. Pozwala też na zmiany punktów widzenia. Ich lektura w tej książce okazuje się być (prawie) przewodnikiem po zjawiskach literackich i wydaniach książkowych ostatnich lat (2004-2015). Wielopokoleniowy literacki czas przetacza się tutaj. Nie obejmuje Łukasiewicz swoim kątem widzenia całości dokonań współczesnej literatury, bo jakże, byłoby to ekstremalnie trudne i anachroniczne, i niepotrzebne, gdy tak wiele książek się ukazuje drukiem, ale jest ta książka opisem wybranych dokonań, dzieł ważnych,

procesów i ich przedstawień istotnych, to znaczących dokonań, które ukazują zmiany świadomościowe i problemowe w literaturze polskiej (poezji i prozie) po drugiej wojnie światowej. Które wyznaczają puls czasu. Jego ewolucję. Trzeba pamiętać, że autor doświadczał różnych lat, różnych epok, szkół metodologicznych, poznawał z autopsji – można rzec – różne epoki polityczne. Przechodził i obserwował. Na przecięciu licznych wektorów kształtowało się jego zadanie. To oczywiście stanowi siłę napędową tych tekstów. Ma Łukasiewicz świadomość, iż nastał inny czas, inny wyraża go język, styl, moda, strategię, inna obecnie formacja duchowa. Z tą zmianą jako krytyk literacki się zmagają, szukając dla niej perspektyw. Nieuchronnie też (lubię to) są te *notatki* nie tylko obiektywne, co zarazem wyposażone w ton osobistego głosu, który nie wprost, lecz przecież się nieustannie ujawnia w dokonywanych opisach. Tu duchowość i pamięć świadka dekad społecznych, politycznych i literackich świetnie współbrzmie z tym, co przekazuje Łukasiewicz jako znawca literackiej sztuki. Można rzec: jego wewnętrzna autorska prywatność, w której przeżyty czas odcisnął swój ślad i nadal odciska, pełni – moim zdaniem – funkcję swoistego weryfikatora faktów, wartości i znaczeń. Autor szuka współczesnych racji literackich. Takie połączenie różnych sfer (nie wyłączając anegdotycz-

nej) sprawia, że książkę czyta się z zapałem. Obfituje w ustalenia merytoryczne, jak i liczne ciekawostki. Miłośnik literatury współczesnej (o nim nie wolno zapominać) dowiaduje się o sprawach mało już znanych, zajmujących, sekretnych, owianych tajemnicą i legendą życia, gdy idzie o prywatne sfery żywotów poetów i pisarzy. Są szczegółowe rozważania, opisy, analizy artystyczne i wplatane w nie wątki biografii. W tym łączeniu różnych przemyśleń i treści uobecnia się autorska fascynacja. Czuje się w rytmie narracyjnym wręcz zapał do przedstawiania spraw. Jacek Łukasiewicz odśladania z taktem realność swoich nostalgii, niepokojów, ocen rzeczywistości, wzbogaca omawiane teksty wspomnieniami z różnych lat, dotyczącymi różnych miejsc, osób, znajomości z ludźmi, twórcami, których osobiście znał, a z których wielu już nie żyje. Włącza obserwacje natury, procesów społecznych i cywilizacyjnych. Niekiedy wchodzi w polemikę. To wszystko wytwarza w tej książce, na jej stronicach, liryczny klimat. Jakąś temperaturę. Towarzyszy temu poczucie losu, nietrwałości wszelkich form. Pojawia się szczególna zaduma, np. w pożegnalnych tekstach-nekrologach (dotyczących Czesława Hernasa, Bogdana Zakrzewskiego, Feliksa Przybyłaka, Janusza Maciejewskiego...). Jacka styl pisanie ma wiele cech, które osobiście cenię i nazywam je „pisanie całością”. Pełnią podmiotowego „ja”. Chodzi w nim nie tylko o dyskurs intelektualnego rozważania (co nie znaczy, że tegoż nie ma), ale o realnie żyjącego człowieka. W formach dłuższych, np. dotyczących pisarstwa i życia Marii Dąbrowskiej, Ludwika Flaszenia, Teatru Grotowskiego czy twórczości Tadeusza Różewicza, Urszuli Koziół, Wisławy Szymborskiej, dokładnie to widać. Teksty są cyzelowane. Wydobywcze. I w moim odczuciu trafne, jak choćby o poezji Marianny Bocian. Cenne

jest, że ta książka nie stroni od wielopoziomowości. Towarzyszy jej poszukiwanie wartości w sytuacji, gdy mamy do czynienia z „zanikiem centrali”, co wielorakimi skutkami odcisnęło się na życiu literackim. Słusznie Jacek Łukasiewicz nie stosuje jednolitej gradacji sensów, jednolitego tempa, głównym celem jest prezentacja – zwarta, oszczędna, skupiona, wnikięcie w twórcze osobowości, postawy, w znaczenia zdań, a nie kategoryczna ocena. Oczywiście przywoływane są tytuły wydań i nazwiska pisarzy nie tej samej wagi. Jednak zawsze, także w dziełach mniejszych, zostaje dostrzeżony istotny w nich utwór-punkt. Jakaś autentyczność. Jakaś poruszająca prawda i wartość, wyrażona w wierszu, w narracji prozatorskiej, jakieś sedno artystyczne czy duchowe, autorskie wtajemniczenie, także edytorski kształt książki, któremu w notatce również można kilka zdań poświęcić. Zaświadcza to o rzetelnym czytaniu i oglądaniu. O rozumieniu literatury jako szerokiego organizmu. Tak ujawnia się wnikiwość interpretacji Jacka Łukasiewicza, ale i manifestowana życzliwość dla wielu (nawet tych przypadkowo omawianych) autorów. To szerokie spektrum postaw literackich oraz łączenie ich z życiem, ze sprawami społecznymi, z prozą egzystencji, świadczy o zdolności syntetycznego widzenia, o dojrzałości. Tekstów-notatek jest wiele, jak cegiełek, więc trudno tu sobie wyobrazić obecność „spisu treści” kilkuset tytułów tych kawałków. Autor słusznie posłużył się indeksem nazwisk, który daje większą orientację, aniżeli dawałby sam spis. Poza tym gra literacka się ciągle toczy – dawnego z nowym, mniejszego z wyższym, czas się nieustannie otwiera, nie zamyka. *Kąt widzenia* to właśnie ma na uwadze.

Czesław Sobkowiak

Dwa przystanki w tramwaju. Wokół słuchowiska Darka Błaszczyka *Pasażer Luter*

Darek Błaszczyk, *Pasażer Luter*, reż. D. Błaszczyk, realizacja akustyczna A. Brzoska, Teatr Polskiego Radia 2013

Robiłem niedawno całoroczny bilans artystyczny Teatru Polskiego Radia na swoje prywatne potrzeby. Przez cały rok krążył mi w głowie artykuł o pewnym nieodnalezionym tekście. O sprawach nieodnalezionych brzmiał i szeptał do mnie spektakl Darka Błaszczyka *Pasażer Luter*. Bohaterem słuchowiska był zagubiony manifest polskiego punka. Autorem miał być Jacek Lenartowicz, obywatel tamtego świata, współzałożyciel grup Deadlock i Tilt, nazywany przez przyjaciół Lutrem. Za każdym razem, gdy myślę o tym słuchowisku (właściwie: dokudramie – rzeczy z pogranicza jawy i snu, dokumentu i fikcji, trwania i przemijania), zastanawiam się, czy wierzę jeszcze w światy całkowicie moje.

Błaszczyk jest tym twórcą radiowym, do którego spektakli przywiązałem się w sposób ponadracjonalny. Od debiutanckiego *Pensjonatu* (2009) rozpoznaję wciąż w ścieżkach jego słuchowisk moje podwórza, wspólne lektury, podróże pociągami, fascynacje muzyczne i niepokoje. Co więcej, Błaszczyk uderza w tony dawno przeze mnie poszukiwane: przecież dźwięku nie da się przełożyć na żaden inny kod! Wraz ze słuchowiskami *Pensjonat*, *Jaskinia*, *Wszystko płynie*, *Salome* czy *Pasażer Luter* Teatr Polskiego Radia wraca do zakurzonych trochę źródeł oryginalnej szkoły fonicznego wyrażania świata (gdzie są niedysyjne śniegi Studia Eksperymentalnego!). Zależnie od wyboru określonego pejzażu muzycznego, uruchamia się w tych spektaklach konkretny trop kulturowy. Za każdym razem jednak jest to podróż, którą trudno zestawić z lektorskimi czytankami literatury. *Pensjonat* był drogą poprzez ambient. Był audiosferycznym spłotem dzieciństwa ze starością. Ambient (jako otoczenie muzyczne) powrócił w *Jaskini*, *Zimnym bufecie* i *Fabula rasa*. *Zegar bije* i *Mistrz Manole* to powrót do korzeni, które przy wsparciu liry korbowej zaprowadziły mnie do starosłowiańskich i rumuńskich chat (źródłana i źródłowa muzyka Jacka Hałasa). *Salome* według tekstu

Wilde’a to z kolei wariacja na temat śródziemnomorskich związków muzycznego rytmu z ołówkiem mistrza Beardsleya. *Wszystko płynie* było kolejową podróżą do granic niewoli i samotności XX w. (Siberia, głód na Ukrainie z przejmującymi „atmosferami” muzycznymi Andrzeja Izdebskiego). „Filmy dźwiękowe”, jak nazywa swoje spektakle Błaszczyk, korzystają z wszelkich bogactw muzycznego wyrażania świata i pozwalają słuchaczowi na podróż do wnętrza świadomości bohaterów. Możliwe jest to poprzez płynne przechodzenie z „zewnątrza” akcji do psychologicznego wnętrza postaci. *Pasażer*, choć korzysta i potwierdza wymienione zjawiska, jest nowym tropem na radiowej mapie Błaszczyka. Prowadzi ona od pozornie bardzo prostej podróży w alternatywne lata polskiego punka. Poprzez wywiady z muzykami tamtego nurtu otwarta się jednak nieznana mi wcześniej możliwość dokudramy. Wiedzie ona bynajmniej nie do Lutra.

W planie fabularnym znajdziemy historię mężczyzny, który chce zrobić film dokumentalny o zagubionym przed laty tekście Lutra *Pasażer*. „Ten”, bo tak nazwany jest przez Błaszczyka bohater, przychodzi na grób swojego brata, by zapytać go o Lutra, podjąć temat zaginionego manifestu. To dzięki bratu zaczęła się jego przygoda z alternatywą lat 80. To z Zachodu „braciak” przywoził winyle z The Clash, Eyeless in Gaza, A Certain Ratio, Palais Schaumburg, Bauhaus, Joy Division, Clock DVA. I tutaj zaczyna się Radio. Dzięki dźwiękowej formie możliwe staje się spotkanie z milczącym, zmarłym bratem. Poprzez milczenie, tę trudną sztukę mówienia, otwiera się dla nas walizka z muzyką Lutra. Jego tu nie ma – mówi Czas. Jest – mówi Radio. To zawieszenie w próżni między „być” a „nie być” przypomina postać Cybulskiego i film Wajdy *Wszystko na sprzedaż*. Zostaję sam na sam z Lutrem. Zostawiony z analogowymi szmerami Susan Vezey, Deadlocka, Tiltu, The Sroo, Dezertera, Grace Jones, Psychic TV. Czuję się jak

„zjadacz radia” (tak Luter nazwał fanzina, którego wydawał własnym asumptem w latach 80.). Po raz kolejny odczuwam precyzyjne ucho Andrzeja Brzowski, który zadbał o analogowe odczucie dźwięku, tak bogate w żywą obecność wykonawców.

Słucham wspomnień Tomka „Mena” Świtalskiego, Tomka „Rastka” Szczecińskiego, Piotra Rypsona, Tomka „Frantza” Lipińskiego i odpływam do krainy buntu. Słyszę o człowieku, z którym chciało się przeżyć dwa przystanki w tramwaju, który pozabawiał kolegów dziewczyn i był wewnątrz „tak stary”, a „przecież miał niecałe 20 lat”. Taśma. Przesuwa się, przyspiesza, czuję ją. Burczy. Ile razy kleiłem nadużywane taśmy magnetofonowe, rozkręcałem kasety i szukałem w nich głosu nagranej babci? W głosie Lipińskiego słyszę Lutra. Widzę go, choć po swojemu. Rozkłada swoje walizki i mówi: „Oni tu idą. Oni tu zaraz przyjdą”. Wchodzę w swoje kasety i płyty, które zacząłem gromadzić w latach 90. Czuję zapach agrafek sypanych do wzmacniaczy. Palę pierwsze skręty w towarzystwie Mena. Waletuję w mieszkaniu Lipińskiego razem z Lutrem. Poznają Kaśkę Kern na Asfaltowej, dziewczynę Lutra. Tak, dokładnie tę, która strzaskała go po twarzy, gdy przeczytała tekst *Pasażera*. Zakładam razem z bohaterem słuchawki i odpływam na drugą stronę, do równoległej rzeczywistości.

Łukasz Garlicki, który w słuchowisku kreuje główną postać (jeden z częstszych „gości” w radiowych spektaklach Błaszczyka), to młody, docieklawy filmowiec. Wędruje z mikrofonem i zgrywa kolejne głosy muzyków. Przygotowuje materiał o Lutrze. Trzeba dodać, że Garlicki brał udział w nagraniach, był ich aktywnym uczestnikiem. W radiu wyjście poza ramy studia jest ciekawe z punktu widzenia słuchacza. Teatr sceniczny taką możliwość zamyka w obrębie konwencjonalnej sceny. W radiu aktor może przenosić się ze studyjnego siedzenia na ciasne garaże i galerie, w których zaczyna być reporterem, docieklwym fanem i przede wszystkim sobą. Jest coś w głosie Mena, Rypsona i Lipińskiego, czego na próżno szukać w typowo fabularnych dźwiękowiskach. Ten „spontan” wypowiedzi uświadamia mi, że mam przed sobą partnera do rozmowy. Ten ktoś mówi do mnie bez fałszu, bez pozy. Wiem, że po drugiej

stronie nie ma aktora, dla którego potencja „granej” kartki papieru wyprzedza dialog z rzeszą odbiorców. Mimo że świadomość odbiorcy wsłuchana w monolog Lipińskiego czy Mena ucieka z panteonu fabularnej stylistyki, to zostaje w teatrze. Ukorzeniam się jeszcze bardziej w głębokości sztuki. Duża tutaj rola realizatora dźwięku, Andrzeja Brzowski, który zgrabnie połączył perspektywę dokumentalną i dramatyczną. Te naturalne i żywiołowe rozmowy, pozbawione artystycznej poprawności uchylają furtkę do wehikułu sztuki audialnej. Podróż poprzez męskie głosy przypomina drogę pociągiem przez zaśnieżone pola. Zmrok już zapada, ktoś z boku opowiada o Lutrze, a mi w głowie szmerze *Bright waves*, Brygada Kryzys przypomina: *Przestań śnić*. Jestem pasażerem w dobrym przedziale, gdzie nikt nikogo nie traktuje jak debila, ale też nikt nie wymaga ode mnie, bym się unosił na sztucznie nadmuchiwanej frazie, kiwał głową na zawołanie. Radio nie poucza, dlatego tak chłonne jest historii o zbuntowanych, niecierpliwych i sennych dzieciach Kontrkultury.

Błaszczyk otwiera przed nami walizkę nagrań. Gwiazdny pył, którym karmiły się pokolenia. Analogowe źródła i szmery gramofonowego szelaku. Naoczna obecność wykonawcy. Zapach, dotyk i chropowaty dowód obecności Lutra. Audiofilska synestezja albo jak kto woli: kosztowanie dźwięku. Materiał długogrającej płyty nakazuje mi cofnąć się w czasie. Zapomnieć o kompaktach, komputerach, edytorach dźwięku i innych dobrodziejstwach próbkowania cyfrowego. Rzucić się w koniec lat 70. i oddychać ludźmi, dla których muzyka była ucieczką, drogą do innego świata. Szukam tekstu *Pasażera*, ale im bardziej zatapiam się w *Bright waves* Susan Vezey, *In the begining* The Slits, *Walking in the rain* Grace Jones, niepokojących trąbach z utworu *The Sroo* czy *Straight to hell* The Clash, zaczynam rozumieć, że Luter wdarł się w każdą igłę gramofonową i patroluje tej mojej podróży ubrany we wzorzyste rajstopy i długi płaszcz. Najważniejsze z dramaturgicznego punktu widzenia stają się w słuchowisku dwa utwory: pierwszy to *Subhuman* grupy Throbbing Gristle (scena, gdy „Ten” poznaje fragment tekstu *Pasażera*) i drugi – *Photo Tiltu*, który oddaje aurę towarzyszącą postaci Lutra, geniusza „z teczką”.

Należy zaznaczyć, że utwory muzyczne użyte w słuchowisku są wynikiem kompilacji różnych stylów. Fascynacje muzyczne nie są ześrodkowane na punku. Słychać silne inspiracje postpunkową nową falą i szeroko pojętą awangardą muzyczną. Wiele z utworów potwierdza przywiązanie Błaszczyka do motywów transowych, eksperymentalnych pejzaży muzycznych (we wcześniejszych słuchowiskach znajdziemy wiele koncepcji ambientowych, które reżyser skomponował wraz z Andrzejem Izdebskim).

Pasażer Luter nie jest do odkrycia jako przerywnik. Nie można się po nim prześlizgnąć i go zostawić. Jest jak rzeźba, której nie poznamy przez szybę. Trzeba ją dotknąć, poczuć, przejechać palcem po jej skórze. Znajduje się w słuchowisku retrospektywna scena, w której wśród garażowych odkryć muzycznych uobecnia się istota tamtego Czasu. Z nosa kumpla leje się krew, bo napadli gitowcy, działka do zażycia i opary muzyczne – wszystko to miesza się w spotęgowanym przez echo uczuciu pływania po dnie. Szczególną przyjaźnią darzę tę scenę, bo jest ekstraktem z tego, co nazwać można młodzieńczym buntem czy punkowym transem. Jest przekładem obrazu na dźwięk z semantyczną korzyścią dla tego drugiego. Błaszczyk nie pomija ani sekundy. Nadzoruje cały spektakl, by słuchacz ani na moment nie wypadł z rytmu. Często słyszałem niedociągnięte spektakle, gdzie muzyka nie zgrywała się zupełnie z dialogami (przegadane opery mydlane na odgłos których mdliło). W *Pasażerze* muzyką są słowa Mena, Lipińskiego. Stukot młotka zza ściany czy dźwięk komórki Mena są pełnoprawnymi składnikami tego świata. Ten spektakl nie mógłby istnieć bez warstwy dokumentalnej. Nagrania z dyktafonu nie burzą odbioru w żaden sposób, powiem więcej: one go wyczulają. Relacyjność, doraźność, sprawny reporterski język i naturalizm to te czynniki dokudramy Błaszczyka, które nie są do przełożenia na żaden tekst poza-foniczny. Tak jakby miały istnieć tylko w formie, nie mogąc wyjść z tego słuchowiska. Reżyser destyluje je, przypomina o sobie w kreowanym montażu (przyśpieszanie, zwalnianie taśmy). Kojarzy mi się to z szukaniem zagubionego dokumentu w stosie archiwalnych papierów. Przesuwamy się nad tym i jednocześnie przechodzimy w stan transu. Ilu-

zjon. Najlepsze dziewczyny. Warszawski Informator Kulturalny. Fellini. Pasolini. Nie byłoby takich spektakli Błaszczyka, gdyby nie seanse z Antonionim, Bergmanem, Kurosawą, Hasem. Obraz w dźwięku. Rozmowa bez słów.

Fabuła przeplata się z dokumentem. To połączenie wynika z motywu „filmowego”. „Ten” przygotowuje się do realizacji dokumentu o Lutrze, zbiera nagrania. Słuchowisko jest zatem przed-filmem, dotyka rzemieślniczej pracy reżysera, który „szlifuje” scenariusz, przygotowuje materiał, precyzuje realizacyjne szlaki. Oprócz tego jest to jednak próba zrozumienia losu poprzez inną opowieść, nie – swoją. Silny jest w słuchowisku Błaszczyka wątek autobiograficzny. Błaszczyk sam zaczynał jako człowiek sztuk wizualnych, w głównej mierze filmu. „Ten” to prawdopodobnie jego alter ego, które pozornie tylko istnieje w tekście. Tak naprawdę wykracza poza słuchowisko. *Pasażer* jest o tyle ukłonem w stosunku do przeszłości, o ile wiąże się to z hołdem dla starszego brata. Starszy brat w słuchowisku ma wiele cech autentycznego brata reżysera. Ostatnią scenę, na cmentarzu poprzedza fragment, w którym bracia słuchają na słuchawkach „świeżo nagrałego” utworu The Sroo (należy zaznaczyć, że grupę tę współtworzył starszy brat Błaszczyka). Starszy brat rzuca szybko w stronę młodszego: „zaraz będę”. Urywa się przeszłość, która niosła nas w tym słuchowisku. Brat wróci, ale będzie już mówił, a właściwie milczał z innej strony. W tym momencie słuchowiska otwiera się wspólna płaszczyzna opowieści fabularnej z dokumentem. Dokument bowiem jest wpisany w opowieść. Życie inspiruje fabułę. W dużo bardziej skondensowany sposób niż wypowiedzi Mena, Rypsona czy Frantza. Wchodzą „trąby”.

Luter, jak słyszymy z opowieści Rypsona, wybrał się na bardzo długie wakacje. Tekst *Pasażera* nadal będzie unosił się nad każdym z tych monologów. Teatr radiowy umożliwia głośne milczenie, podkreśla walor pomijanej dziś nadmiernie ciszy. W rozmowie bohatera z bratem wieńczącej słuchowisko pojawia się ciekawa wymiana zdań (właściwie słów). „Ten” relacjonuje postępy w przygotowaniach do filmu. Starszy brat z niewidzialnego poziomu wtrąca nagle: „mówisz”. „Mówisz...” powtarza młodszy. „Przecież

ja już dawno nic nie mówię. To ty mówisz". Trąby zespołu The Sroo dopowiadają ten dialog, unoszą czas i przestrzeń i kleją z nich niewypowiadalne porozumienie.

Teraz słucham muzycznych kawałków ze słuchowiska i stwarzam w nich swoją opowieść o Lutrze. Dziwię się sam sobie, że nie znałem go. Czuję się, jakbym to ja był pasażerem, który chciał przeżyć z Lutrem choć dwa przystanki, a został na dłużej. Miesza się gitarowy, zdecydowany rytm *Straight*

to hell ze starczym niepokojem *Eleusis*. Nadchodzi po południe i ciepły deszcz w słońcu *Walking in the rain*. Widzę chyba Lutra. Niesamowite, ale on ciągle milczy. Uśmiecha się, jakby już przyszli „ci, co mieli przyjść – dekadencja, cynizm, arogancja?”. Ostrożne zapalenie znicza. Powrót trąb. Tak jakby wiedziały, że zasypiam.

Udało się.

Janusz Łastowiecki

Źródło natchnienia, czyli o poezji Ireneusza Szafranka

Ireneusz Szafrank, *Ostłaniam źródło*, Wyd. Netbox Polska, Pępowo 2014, 84 s.

W najnowszym, szesnastym już zbiorze Ireneusza Szafranka, członka Związku Literatów Polskich, zatytułowanym *Ostłaniam światło* czytelnik znajduje aż 50 wierszy poświęconych głównie urokom kompleksu pałacowo-parkowemu w Godurowie i ich właścicielom, czyli Małgorzacie i Piotrowi Giermaziakom. Omawiany ostatni tom poetycki Szafranka jest inny od poprzednich, gdyż niemal w całości tematycznie podporządkowany jest fizycznym i duchowym eskapadom do wsi pod Gostyniem, jak też poetyckim peregrynacjom w głąb siebie, powrotom do przeszłości, osobistym rozważaniom o Bogu, wartościach i sztuce.

Małeńka wielkopolska wieś, licząca niespełna 200 mieszkańców, jest poniekąd miejscem znanym z historii, bowiem tu znajdował się barokowy dwór hrabiów Żółtowskich, stąd pochodził szambelan królewski Bogusław Ignacy Sczaniecki, a teraz miejscowość tę wspiera i rozsławia ród Giermaziaków, również dzięki książce Szafranka. A w tym przypadku nie jest to układ typowo komercyjny, jak w czasach renesansu między dworskim twórcą a jego mecenasem, bowiem choć książka jest poświęcona i dedykowana jej sponsorom, to autora-beneficjenta i jego donatora łączy po prostu czysta przyjaźń. Natomiast to, co rzeczywiście może spajać

tomik Szafranka z odrodzeniową poezją, to motyw szczęśliwego miejsca, topos arkadii, tak doskonale znany choćby z fraszek i pieśni sobótkowych Kochanowskiego czy zwierciadeł Reja, który nakreślił ideał życia ziemiańskiego.

W zbiorze poetyckim Szafranka również większość liryków *expressis verbis* lub pośrednio poświęcona jest dworskowi w Godurowie, który dla podmiotu lirycznego wydaje się miejscem bajkowym, idealnym wręcz, ową biblijną krainą harmonii z naturą, której poszukiwać trzeba podobnie jak w świecie bajkowym, czyli:

W urokliwym miejscu
za siedmioma liśćmi jesieni,
za siedmioma tchnieniami wiosny,
(*Znani mi ludzie*)

Owa mistyczna kraina szczęścia, ów odkryty przez poetę osobisty eden to również powrót do „złotego okresu” niewinności, bezpieczeństwa i bez troski:

Wysokie słońce
nad pałacem w Godurowie.
Słodkie jak echo z łąk dzieciństwa
(*Rodzina w Godurowie*)

Godurowo kojarzy się podmiotowi jednocześnie jako miejsce spokoju, gdzie może odetchnąć, nabrać sił, ukoić strapiione serce, spotkać się z przyjaciółmi, powspominać, spędzić rodzinie czas w noc wigilijną; jest to też miejsce spotkań, spacerów i rozmyślań. Doskonale służy ono kontemplacji i snuciu poetyckich wizji, jest miejscem zachwytów wiosennych i jesiennych nostalgii, miejscem okazywania radości i zwyczajnej, prostej życzliwości:

i zegar zgrzytał.

Zaprowadził mnie do Godurowa.

Na mojej pustyni wyłoniła się oaza.

(*Moja radość*)

Podobne odwołania do toposu „wsi spokojna, wsi wesola” i motywy dotyczące Godurowa jako *genius loci* znaleźć jeszcze możemy w tekstach *Od-naleziony znak*, *Wigilia 2010 w Godurowie*, *Aż po nieskończoność*, *Godurowo, Zapraszam do siebie*, *Wypracowanie z przemijania*, *Bukiet*, *Nic w tym dziwnego*, *Poważnie*, *Nie zawracam*, *Maj w Godurowie* czy *Przyjaciele z Godurowa*.

I właśnie owym przyjaciołom Szafranek poświęca też wiele miejsca na kartach swojej poezji. Bohaterami czyni małżeństwo Giermaziaków, ich rodziców i dzieci, zwłaszcza szczególną estymą obdarzył Piotra, o którym mówi wprost – przyjaciel. Łączą ich wspólne rozmowy, spacer, muzyka, pokoleniowe przeżycia, podobne odczuwanie świata. W wierszu *Najcudowniejsza książka* podmiot dopowiada, że jest to męska, dojrzała „przyjaźń, której nie niszczy czas”. Podobny ton i schemat ukazania sylwetki gospodarza Godurowa zauważalny jest w utworach *Życie nam nie ucieka* oraz *Słońce na niebie*. I mimo że centralną postacią spośród bohaterów lirycznych poeta uczynił Piotra, to również są tu postacie bliższe poecie, czyli matka i papież Polak, które – jak podaje podmiot w wierszu *W księdze doczesności* – wypełnili jego życie „nadzieją i wiarą w przyjaźń”. O przyjaciołach, szeroko rozumianym człowieczeństwie i wartościach humanistycznych traktują też utwory: *Małgorzata i Piotr*, *Pasażer*, *U przyjaciół*, *Wasz gest*, *Zrozumiały język* czy *Oślaniam światło*.

Ale myliłby się ten, kto uznałby, że wszystkie wiersze poświęcone są „oazie” spokoju, którą znalazł Szafranek w Godurowie, choć niemal w każdym jego tekście z tomu *Oślaniam źródło* wieś pojawia się w drugim planie, jest krajobrazowym tłem, scenerią dla przemyśleń, duchową ośnową. W takim klimacie poeta rozmawia z Bogiem, z którym układa się, jedna, godzi, jakby rozumiał boski plan – tak jest przynajmniej w utworach *Rwący czas* i *To dobry zwiastun*. W wierszu *Serce splecione szczęściem* autor mówi o uciekającym czasie i nieustannym poszukiwaniu, czy może bardziej oczekiwaniu na miłość. W liryku *Aż po nieskończoność* podmiot wypowiada się o nieocenionym szczęściu poezjowania. Utwór ten bez wątpienia mógłby stanowić artystyczne credo Szafranka. Potędze sztuki, magii i sile tworzenia poświęcił poeta też sporo miejsca w wierszach *Jedno słowo*, *Słowo i gest*, *Odważni* i *Poetycki tekst*. Poeta jest bowiem niczym aranżer rzeczywistości, jak demiurg, kreator, Stwórca:

Tylko patrzeć,

jak narodzi się świat

z jednego słowa.

(*Jedno słowo*)

Z kolei o przemijalności biologicznego życia, a zarazem o mądrości płynącej z dojrzałości, równowadze emocjonalnej, pogodzeniu ze światem i biegnącym czasem, a także o szczęściu, jakie niesie jesień egzystencji, pisze Szafranek w utworach *Będzie uroda*, *Na nasze szczęście* i *Wypełniło się wszystko*.

Szafranek to bowiem poeta uczuć i emocji, dodajmy rozsądnych, dojrzałych, głębokich i niezwykle łagodnych; artysta, który ponad sztukę ceni świat fundamentalnych wartości, wartości ponadczasowych i uniwersalnych – czyli wiarę w dobro i miłość, bowiem od nich wszystko się zaczyna, na nich opiera i do nich zmierza. To przeświadczenie towarzyszy Szafrankowi od jego pierwszego tomiku i można śmiało stwierdzić, że niczym antyczny *poeta doctus* jest on piewcą aksjologicznych reguł, admiratorem czystych, uczciwych i szlachetnych zasad, kierujących duchowym życiem istot na wskroś wrażliwych. Tego typu entourage kreuje poeta w lirykach *Ciepło*,

*spokój, łagodność, Urodzeni wiosną, W życiu i To
dobry zwiastun, gdzie mówi:*

Moje marzenia
czasami mają
własny dekalog
[...]
Chwytam czułość.
Wtedy rośnie apetyt
na jeszcze więcej.
(*To dobry zwiastun*)

Niezlomna wiara w człowieka, w jego miłość,
dobroć, w szczere intencje, a zarazem wędrówka
przez życie i odnajdywanie w nim miejsca ukojenia,
spokoju i pogody ducha, którym dla poety stało się
Godurowo – to zasadnicze motywy poezji Ireneusza
Szafranka, który swoimi ciepłymi lirykami ozłaca ży-
cie, a teraz również rozśławia i ocala od zapomnienia
sielankowość i urodę wielkopolskiej wsi. Warto też
dodać, że z jego lirykami świetnie współgrają żywe,
kolorowe akwarele Wiesława Matysika, co dopełnia
i wzbogaca edytorsko książkę.

Robert Rudiak

Z Zielonej Góry na Antarktydę

Przemysław Piotrowski, *Kod Himmlera*, Wyd. Videograf, Chorzów 2015, 344 s.

Kod Himmlera jest debiutancką powieścią Przemysława Piotrowskiego, pisarza urodzonego i zamieszkałego w Zielonej Górze. Jak czytamy na okładce, autor jest byłym dziennikarzem „Gazety Lubuskiej” (pracował w dziale sportowym oraz śledczym), pasjonują go m.in. podróże, geografia i historia – i nie ma wątpliwości, że wszystko to z powodzeniem wykorzystał w swojej książce.

Tomasz Turczyński, dziennikarz sportowy z Zielonej Góry otrzymał wiadomość o nagłej śmierci swojego ponadstuletniego dziadka. Musi wobec tego zmienić swoje plany i pojechać do babci, która z dnia na dzień została sama. Na miejscu okazało się, że za śmiercią dziadka kryje się jakaś tajemnica sięgająca jeszcze czasów drugiej wojny światowej, gdy pracował on jako robotnik przymusowy w Górach Sowich. Pozostały po nim dokumenty, które trafiły do Tomasza. Co zawierają? Jedno jest pewne: rozszyfrowanie ich nie będzie łatwe.

Niemal jednocześnie badacze ze stacji naukowej dokonują szokującego odkrycia na Ziemi Królowej Maud na Antarktydzie. Ślady wiodą do nazistowskich Niemiec. Wszystko wskazuje na to, że coś jest na rzeczy – bo w rozwiązywanie tajemnicy muszą zaan-

gażować się służby wywiadowcze. Rozpoczyna się wyścig wywiadów, by rozwikłać mroczną zagadkę nazistów dotyczącą najciemniejszych stron ludzkiej natury.

Tomasz podejmuje się śledztwa na własną rękę. Sprawa robi się coraz bardziej skomplikowana, ale i niebezpieczna. Zielonogórzanie będą mile zaskoczeni, bowiem akcja na jakiś czas przenosi się do naszego miasta. I to prosto do Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki im. C. Norwida! W czytelni bibliotecznej główny bohater spędza czas, usiłując znaleźć jakiegokolwiek źródła, które byłyby pomocne w rozwikłaniu sekretu dokumentów. Może liczyć na pomoc pracującej tam bibliotekarki – Kasi, która mocno angażuje się w sprawę dokumentów i... w związek z Tomaszem. Przemysław Piotrowski buduje tu bardzo pozytywny wizerunek zawodu bibliotekarza: dziewczyna jest pomocna, kompetentna, sympatyczna i uzdolniona językowo, co nie pozostaje bez znaczenia dla dalszego ciągu akcji. Dla naszego miasta to tym bardziej miłe, że Kasia jest zatrudniona w Bibliotece Norwida. Zielonogórskich akcentów jest zresztą w powieści więcej: Tomasz mieszka na osiedlu Zacisze, Kasia wybiera się na

zakupy do Focusa, wspólnie odwiedzają też klimatyczny „Kawon”. *Kod Himmlera* z Zieloną Górą w tle wpisuje się w rozpowszechniony trend osadzania akcji powieści w rzeczywistej topografii miast.

Bibliotekarka ma kontakty w świecie naukowym i w ten sposób wspólnie z Tomkiem docierają do niemieckiego profesora, który podejmuje się pomóc w odczytaniu starych dokumentów. Sprawa gmatwa się jeszcze bardziej. Ginią ludzie. Tomek nawet się nie obejrzał, kiedy znalazł się w krzyżowym ogniu walki wywiadów: rosyjskiego i brytyjskiego.

Tylko podjęcie ryzyka i „pójście na całość” gwarantuje mu, że rozwikła zagadkę dziadka. Nie waha się, by przyjąć propozycję wywiadu brytyjskiego i wziąć (wspólnie z Kasią) udział w wyprawie na Antarktydę i tam na miejscu przekonać się, co wydarzyło się tam podczas drugiej wojny światowej, co postawiło na nogi służby specjalne. Powieść poszerza swoje horyzonty, stając się udanym połączeniem powieści sensacyjnej, szpiegowskiej, thrilleru i horroru.

Trzeba przyznać, że książka z każdym rozdziałem nabiera tempa i skraca czytelnikowi oddech. Piotrowski świetnie potrafi prowadzić narrację i pamięta też o sugestywnych opisach kilkudziesięciostopniowego zimna i przygnębiającej, długiej polarnej nocy. Ujawnia się tu także pasja historyczna autora. Poznamy szczegóły związane z działalnością zbrodniarzy nazistowskich podczas drugiej wojny światowej: Heinricha Himmlera, Emanuela Schäfera i Karla Dönitza, próby skonstruowania *Wunderwaffe*. Ale na pierwszy plan wysuwa się Josef Mengele i jego odrażające eksperymenty pseudomedyczne. Nigdy dosyć przypominania, do czego zdolny był nazistowski reżim. Trzeba stale o tym pamiętać, by nie powtórzyły się te okropne czasy wcielonego zła.

Książce przydałyby się jeszcze drobne poprawki redakcyjne: w rozdziale, którego akcja rozgrywa się

w marcu, mowa jest o „pięknym październikowym wieczorze” (s. 27). Są zdania, które mogłyby brzmieć lepiej, np. „[...] Iris, z którą spędził dwa piękne miesiące podczas półrocznej wymiany studenckiej, na które jeździł kiedyś tak często jak tylko mógł” (s. 56). Natomiast Kasia aż nazbyt często nazywana jest w powieści „młodą bibliotekarką”, jakby autorowi w tym szczególe brakło kreatywności.

Miłośników tropienia wątków mogą zainteresować nawiązania do innych książek i autorów. Finału nie powstydziliby się sam Stephen King (jak dowiadujemy się z okładki, to na nim m.in. wychował się Piotrowski). Zapewniam, że strach naprawdę może udzielić się czytelnikowi. Bohater powieści Tomasz Turczyński to niegdyś dobrze zapowiadający się piłkarz, ale jego błyskotliwą karierę przerwała kontuzja. Tu można dostrzec podobieństwo do biografii Jo Nesbø, norweskiego pisarza powieści kryminalnych, który miał taki właśnie sportowy epizod w młodości. Odwiedzamy też siedzibę brytyjskiego wywiadu MI6, znaną z filmów z Jamesem Bondem.

Po adresem *Kodu Himmlera* można powiedzieć wiele ciepłych słów. Jest sprawnie napisana, przebieg akcji jest dynamiczny i nietuzinkowy. Postacie bohaterów są wyraziste i charakterystyczne. Wyróżnia się wśród nich Tomasz, i to nie tylko dlatego, że jest głównym bohaterem. Czy jego postać jest zapowiedzią nowego świata? Ale nic więcej powiedzieć nie mogę, bo jego tajemnica wyjaśni się dopiero na końcu. Finał można zresztą odczytać z jednej strony jako zabawę konwencją, a z drugiej – także jako symboliczne nawiązanie do demonów, tkwiących w ludzkiej duszy. Obyśmy nie musieli się przekonywać, jak żyje się w świecie, gdy się budzą i dochodzą do głosu.

Joanna Kapica-Curzytek

Pamięć? Wejście poety...

Jerzy Szewczyk, *Pamięć nie wystarczy*, Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, Wyd. MAJUS, Zielona Góra 2014, 60 s.

Jerzego Szewczyka nie trzeba szerzej przedstawiać. Znany od kilkudziesięciu lat lubuskiemu środowisku kulturalnemu, ale także szerszemu ogółowi, z kilku obszarów aktywności w życiu publicznym, w krótkim okresie ujawnia kolejny raz swoją twórczą obecność. Inicjuje, przypomina, zachęca do myślenia.

Nie ujmując nic z bogatego doświadczenia życiowego i wielorakich osiągnięć, chciałbym odnieść się głównie do literackiej pasji autora. Wiąże ją z autentycznym rozkośnaniem w poznawaniu świata, z ciekawym ukazywaniem jego uroków w fotografii, zgłębianiem kultury hellenistycznej, doskonaleniem znajomości języków. Jeszcze raz można się było o tym przekonać, podziwiając fotogramy i wydawnictwa na wystawie eksponowanej na przełomie lutego i marca 2015 w foyer WiMBP im. C. Norwida w związku z 55-leciem jego pracy zawodowej i działalności społecznej. J. Szewczyk od wielu lat sięga po pióro jako narzędzie przekazu. Z czytelnikami „Pro Libris” dzielił się wrażeniami ze swoich dalekich podróży, przedstawiał bardzo bliskie mu sprawy greckiej emigracji w Polsce. Z należnym znanstwem problemów wielokrotnie dowiódł, że nie obce są mu sprawy miasta i regionu, jest częstym gościem na łamach lokalnej prasy. Należy do najaktywniejszych uczestników lubuskich spotkań literackich. Swoje książki prezentuje zawsze w oryginalnej celebrze, ukwieconej atrakcyjnymi ciekawostkami. W dyskusji podejmuje każdy temat, ożywia ją dociekliwymi pytaniami i pogłębionymi refleksjami.

Czynny udział J. Szewczyka w wydarzeniach społecznych i kulturalnych, jego niespotykana pracowitość i nieustająca dociekliwość w odkrywaniu siebie i otaczających zjawisk zaowocowały ciekawymi wydawnictwami. W bieżącym ćwierćwieczu ukazało się dziewięć pozycji o profilu zawodowym i ściśle literackim. Debiutował w roku 1990 opracowaniem historycznym z zakresu własnej profesji. Przedstawiany obecnie tomik poezji jest już dziewiątą książką, zaświadczałą kilkuletnie związki z płodnym środowiskiem Jeszcze Żywych Poetów. Autor-

skie motto, powtórzone z wcześniejszej monografii szkolnej, zagadkowo kieruje naszą myśl ku wnętrzu:

To nie jest poezja
To nie jest proza
To jest zabawa ze słowem.

I chociaż tytuł tomiku tylko w części oddaje jego zawartość, bo prawie tyle samo znacząca jest uprzedzająca „zabawa ze słowem”, to bez wątpienia prymat należy do medytacji o istocie pamięci. Tej zwyczajnej, człowieczej.

Pamięć, pamięć... Pojawia się ponownie na tytułowej okładce, jest w pewnym stopniu kontynuacją poprzedniego wydawnictwa. *Przeszłość karmi się pamięcią* (Wyd. MAJUS 2012) to spisane prozą wspomnienia – od lat najwcześniejszych po dzisiejszość. Autor karmi tę pamięć, przechowałnię doświadczeń i wrażeń, nostalgiczną przeszłością, przywołaniem przeżyć z lat dzieciństwa i szkolnego dorastania, złożonych losów bliskich mu postaci. A teraz oto... jeszcze przed odchyleniem okładki zostajemy znowu uprzedzeni: „Pamięć nie wystarczy”. I od razu wypada się zastanowić: o czyją lub o jaką pamięć idzie? Uniwersalną czy imiennie określoną? Komu i dlaczego ona nie wystarczy? Autor nie daje prostej odpowiedzi, skłania czytelnika do własnych interpretacji, kierując go do dwóch zasadniczych rozdziałów.

W pierwszym, o karmieniu pamięci, jako podstawę również przywołuje wspomnienia, które – jak sam stwierdza – są jak niezasychające rany. Dotykają refleksji z podróży do dalekich Indii, ożywiają ciągle niezaspokojoną tęsknotę za pięknem stron rodzinnych, za ludźmi z ukochanego Łasku, jego okolicami, rozciągającymi się w wyobraźni autora od Grabi aż po Odrę; to do nich autor wraca najczęściej. Poszukuje meandrów swojego losu w zodiakalnym zawirowaniu i w symbolice „przypisanej” mu siódemki. Własny portret rzeźbi rymem i rozświetla błyskiem dowcipu. Swoją pamięć karmi także innymi obrazami, mniej przytulnymi, jak choćby epitafiami z cmentarnych

tabliczek. Ile w tym „czystej” poezji, a ile naturalnej spowiedzi? Oczekiwań od potomnych? Poetycka wizja pamięci ociera się o zrozumiałą na tym etapie życzeniowość. W wierszu adresowanym do przyjaciół, rozliczając się z samym sobą, ale i rad udzielając, wyraża nadzieję, że ci, którzy po nim zostaną, będą dobrze go wspominać. Zapewne tak się stanie, bo znany Lubuszanin na to w pełni zasłużył.

Troska o utrwalenie pamięci staje się dla Szewczyka ważną motywacją. Jeśli jest *Druga strona pamięci* – następny rozdział – to znaczy, że poprzednia, o której wspominałem wyżej, była pierwszą. Nie jest to podział konsekwentny, tematycznie łączący obydwie „strony” wiele zbliżeń, podobieństw nawet. Zresztą dotyczy to także wstępnej, beztytułowej partii utworów, w której autor próbuje zbudować obraz własnego „ja” przez pryzmat doznań i wrażeń z różnych okresów życia. Wnikliwsze wgłębienie się w następne utwory pozwala jednak przyjąć założenie, że pomieszczony w tym rozdziale dorobek to przede wszystkim dania terazniejsze do karmienia pamięci przyszłej. Rozrzut tematyczny jest tu znaczny, od tekstów osobisto-współczesnych po okolicznościowe laurki dla publicznego podmiotu. W poetyckim „pamiętnikarstwie” J. Szewczyka roi się od różnych wątków i zamierzonych domysłności, a poprzeczkę percepcyjną podnoszą komplikacje językowe, przeplatane oryginalną metaforą, satyrycznymi przybarwieniami, nierzadko celną puentą. Na tytułową wątpliwość odpowiada sam autor na spotkaniu promocyjnym: aby zachować pamięć, potrzebne są, obok bogactwa literatury wspomnieniowej, oprócz spisanych pamiętników, także pomniki, nazwy ulic, zasoby archiwalne, wreszcie – elektroniczne nośniki i „przechowalnie” danych. Ważny dla historii i kultury wytwór ludzkiego umysłu znajduje trwałe przedłużenie w fizycznym kształcie materii.

Na umowną trzecią część tomiku składają się, zebrane w odrębnym rozdziale, językowe figle. Konsekwencji i w tym wypadku nie ma – ze słownymi zabawami spotykamy się już na pierwszych stronicach. To ulubiona od lat dziedzina samorealizacji J. Szewczyka, czemu niejednokrotnie dawał wyraz, gdy nie tylko treścią, ale tytułami swoich książek wprawiał czytelnika w zakłopotanie; wystarczy przy-

wołać takie pozycje jak *Kraj obrazy* (Wyd. MAJUS, 2006) czy *Pistacje albo karo-seria* (Wyd. Organon 2012). Twórca przyznaje się otwarcie do przekorności, gdy pisze: „słowom nadaję postać zagadki”. W kilkunastu zwierszowanych figlach autor częstuje nas sporą dawką językowego humoru, wykipiwa ludzkie ułomności, bawi się żartami z ortografii, z uporem wścibskiego badacza wyszukuje słownikowe niekonsekwencje, aby rozśmieszać, a co niektórych prowokować do dalszych penetracji, Posługuje się po mistrzowsku swoim ulubionym narzędziem – elastyczną obróbką słowa, manewrowaniem składnią zdania, rzeźbieniem wyobraźni za pomocą obrazowej przenośni. Jak sam przyznaje, swoje rzemiosło doskonalili systematycznie, z zimną kalkulacją, pragnie być coraz lepszy, nie ukrywa, że strofy szlifuje wielokrotnie.

Podsumowanie dotychczasowe wniosków, wynikających z głębszej lektury prezentowanego wydawnictwa, prowadzi do uzasadnionej konkluzji: oprócz dostarczanych doznań emocjonalnych twórczość J. Szewczyka posiada również wymiar edukacyjny.

Nie sposób pominąć stosunku autora do kwestii korzystania z interpunkcji. W omawianym zbiorze niemal powszechna jest bezprzecinkowość, kropka występuje jedynie w wykrzykniku, pytnik jest rarytasem. To wymusza większą uwagę, często powtórne czytanie, jeśli chce się pojąć sens. Jednak autor nie zawsze jest konsekwentny – przy niektórych wierszach można przypuszczać, że brak określonego znaku jest celowy, zamierzony, a już w sąsiadujących wersach – że może to być niedopatrzanie korektora. Na marginesie wspomnę, że w tomiku *Między chmurą a kałużą* (Wyd. Organon 2008) autor darzył pełnym szacunkiem zasady interpunkcji. Bez przesady można zauważyć, że w omawianych teraz strofach niemal wszystko zależy od przecinka. Zdania bez interpunkcji nie ułatwiają percepcji tekstu, stwarzają pole do niejednoznaczności, sens wyłania się dopiero podczas mówionej interpretacji, odtwarzania, przemiany wyrazu w słowo. Autor, jako wytrawny „zabawiacz”, jest w tym dobrze zorientowany i taką postawą nakłania czytelnika do wyteżonej uwagi. Jakaś część odbiorców może tego nie akceptować, dotyczy to zwłaszcza tych spod

„starej daty”, wychowanych w kulcie do wierszu składowego, rymowanego, pobudzającego do rytmu. Niestety to dzisiaj rzadkość, poezję spowiła wszechobecna białość.

Jerzy Szewczyk, inżynier o rozbudowanych zainteresowaniach humanistycznych, przyznaje w którymś z wierszy, że pisać zaczął późno, o zmierzchu, ale że jeszcze nie czas na ostatnie wiersze. Bo, jak dodaje gdzie indziej, życie go nie nudzi. To postawa zasługująca na uznanie i upowszechnienie. Zebrane w omawianym wydaniu wiersze (51 utworów z lat 2012-2014) nie są łatwe w odbiorze. Chyba dzięki temu jest to poezja jak najbardziej autentyczna i ekspresyjna, aby ją zrozumieć, trzeba się nad nią z uwagą pochylić, zatrzymać, zastanowić i – najlepiej po pewnym czasie wrócić. Nowym zbiorem wierszy

J. Szewczyk wzbogaca lokalny dorobek, przysparza dumy twórcom spod „poetyckiego poddasza”, ale też nie ukrywa, że jak każda edycja, tak i ta dostarcza mu satysfakcji. Warto po ten zbiór sięgać. W wielu sytuacjach może być pomocny – gdy dopada nas nostalgia, gdy jesteśmy ciekawi oryginalnego warsztatu, mamy ochotę uczestniczyć w językowej zabawie, gdy możemy pozwolić sobie na orzeźwiający luz, gdy wreszcie przywoła nas powinność pamiętania.

Gdy odchylam okładkę ofiarowanego mi egzemplarza, oko moje zatrzymuje się na autorskim wpisie: „Nigdy nie zapomnę...” – to jakby ciąg dalszy tytułowego ostrzeżenia. Niezapominanie, „druga strona” z wnętrza tomiku, oby trwało jak najdłużej.

Czesław Strawa

Dzwonią dzwony

Marceli Tureczek, *Campanae, quae in confinio sonant. Studium z dziejów ludwisarstwa na pograniczu śląsko-brandenbursko-pomorskim w XIII-XVIII wieku*, Wyd. Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2015, 695 s.

Incydentalnie ukazują się w obiegu wydawniczym książki pokroju tej, autorstwa dr. Marcelego Tureczka z Uniwersytetu Zielonogórskiego. Nie chodzi tutaj o jej obszerną objętość, ale o oryginalny walor poznawczy. Naukowiec ten zaprezentował w charakteryzowanej publikacji pionierskie efekty swoich „peregrynacji” badawczych zarówno w kraju, jak również w Niemczech. Żmudna i uzasadniona kwerenda przeprowadzona w wielu jednostkach archiwalnych, muzealnych czy też bibliotecznych, m.in. w Norymberdze, Berlinie, Poczdamie, Gorzowie Wlkp., Krakowie, Poznaniu, Szczecinie, Wrocławiu i Zielonej Górze, na potrzeby tej książki została wzbogacona poprzez rozpoznanie obiektów reprezentatywnych, tj. dzwonów. Swoistym ukoronowaniem tych działań jest rozległa literatura przedmiotu wykorzystana w omawianej pracy. Jej zestawienie stanowi podsumowanie dotychczasowego stanu badań kampanologicznych, nie tylko w Polsce. Za

unikalne wręcz należy potraktować połączenie zastosowania nowoczesnych technologii z tradycyjną metodologią pracy historyka, w postaci wykorzystania metod charakterystycznych dla nauk ścisłych stosowanych w fizyce i chemii, które posłużyły do analizy technologicznych oraz surowcowych interesujących nas reprezentatywnych obiektów kultury materialnej.

Studium to składa się z trzech części. Pierwsza z nich dotyczy problematyki rzemiosła i technologii mającej na celu przybliżenie wytwórczości ludwiskarskiej (s. 43-239). Kolejną zaś poświęcono zagadnieniom inskrypcji zamieszczanych na dzwonach (s. 241-421). W ostatniej podjęto problematykę związaną z dekoracjami widniejącymi na tych obiektach kultury materialnej (s. 423-576). Zwieńczenie pracy stanowi obszerne podsumowanie, aneksy źródłowe, bibliografia, a także indeksy miejscowości oraz ludwisarzy (s. 577-670).

Bez wątpienia Autorowi udało się wnikliwie uka-
zać działalność odlewniczą (ludwisarską) ukierunko-
waną na wytwarzanie dzwonów. Praca ta objęła pod
względem chronologicznym okres średniowiecza
oraz nowożytny (od XIII do schyłku XVIII w.) na
tzw. pograniczu śląsko-brandenbursko-pomorskim.

Z pewnością Marceli Tureczek udowodnił też tezę, że
sam proces powstawania dzwonów odzwierciedla
szereg zjawisk o charakterze artystycznym, religijnym
i społecznym.

Daniel Koteluk

Zapisywanie śladów

Mirosława Szott, *Anna*, Towarzystwo Przyjaciół Zielonej Góry „Winnica”, Zielona Góra 2015, 64 s.

Druga książka poety jest zawsze bardzo ważna,
bo po niej poznajemy, czy idzie swoją drogą dalej,
czy potwierdza talent. I tak też jest ze zbiorkiem
Mirosławy Szott pt. *Anna*. Debiutancka książeczka
pomiary Zamku (2013) to były po prostu wiersze
różne, świadczące o rodzeniu się wrażliwości, po-
dyktowane zmiennością impulsów, doświadczeń,
pomysłów i przedmiotów. Natomiast wzmiankowa-
ny wyżej tomik, następny już, ściśle określa determi-
nacja i precyzja zrealizowania twórczego zamysłu,
polegającego na wypełnieniu własnym słowem dość
dokładnie zarysowanego pola obserwacji. Bez tych
postanowień napisanie zbioru *Anna*, poświęconego
w całości niedawno zmarłej Annie Tokarskiej, byłoby
niemożliwe.

Książka Mirosławy przyczynia się do stworzenia
legandy lubuskiej poetki, autorki *Portretu z ptakiem*.
Jest trochę jak akt założycielski, co można docenić.
Może za wcześnie na charakteryzowanie tej zaczy-
niającej się dopiero drogi literackiej, ale zwraca już
w tej chwili uwagę doza językowej odpowiedzialno-
ści za wypowiedziane słowo. Jego precyzję i zwięzłość.
Tym razem mamy do czynienia z czymś w rodzaju
małych, krótkich próz poetyckich. I ta forma wydaje
się tu być właściwa, trafna, gwarantująca odpo-
wiedzialną retorykę, więc pewnie sama się narzuciła.
I w niej pomieścić się mogła realna fabuła, determi-
nacja, złożona z wielu, przywoływanych i zapamię-
tanych, prozaicznych zdarzeń, epizodów, w których
centrum znalazły się przedmioty, rzeczy, drobiazgi,
zapiski na kartkach, nagrania głosu – wszystko to, co

właśnie zostało po poetce Annie Tokarskiej. W taki
to sposób nabrał realności (przy pomocy różnych
rekwizytów) wewnętrzny proces odpamiętywania
życia Anny Tokarskiej. Wyziera z niego znikomość,
drobność, nietrwałość egzystencjalna. Ale jednak
niekoniecznie znikomość w poetyckim ujęciu. Nawet
gdy są przywołane urywki życia, fragmenty biografii,
ślady, znaki, to towarzyszy im wyjątkowość i osta-
teczność ludzkiego losu. Ten zabieg decyduje, że
utwory M. Szott mają legendotwórczy paradygmat.
Nie są więc jedynie katalogową rejestracją rzeczy.
Każde słowo i zdanie chce zbliżyć się jak najpełniej,
najbliżej do fenomenu i „tematu” – „Anna”.

Wysiłek literackiego „wskrzeszania” ma zna-
czenie, jego podłoże jest mocno afektywne, a więc
można się zastanowić, jak dalece, w jakim stopniu,
chodzi tu o ocalenie śladów po Zmarłej (a w śladach
jej samej), a w jakim bardziej o emocje piszącego
podmiotu. Szott, co widać, pisze pod presją silne-
go przeżycia. Wręcz rzuca się na każdy przedmiot,
który z Anną ma związek, nawet gdy jest to klamka
u drzwi. Odkrywa, analizuje i opisuje to wszystko
jak rewelację. Jak coś, co zdobywa dla siebie. Takie
zadanie i gotowość patronuje tej książce. Jej treść
dzieje się „między jej i mojego słowa zniknięciem”.
Anna jest próbą pamiętania za wszelką cenę śladu
życia, jest rejestrem relacji między dwiema osobami,
wyobrażania sobie jakichś wspólnych sytuacji, jest
świadectwem podmiotowego zdumienia po odejściu
Anny, mieszkającej niedawno na poddaszu. Śmierć
owiewa aura tajemnicy, bo „nie mieliśmy szansy jej

pożegnać". Jest jakaś w notatkach niezgoda (skrywany ból) na nagłe zniknięcie człowieka. A z drugiej, zarazem zmierzenie się z sekretem konkretnego życia, oczywiście na ile jest to możliwe, które warto w pośmiertnych resztkach odgadywać. Wszystko tu jest fragmentem biografii, bo przecież nie jej kompletnością. Chodzi o to, by coś nieprzemijającego zobaczyć w wyglądzie zgiętej kartki, w śladach i kształcie liter, notatkach, rachunku z pralni, w grzebieniu, ołówku, wyrwanej z drzwi klamce, w epizodycznych spotkaniach. Coś ważnego, aktualnego. To śmierć, a nie nic innego (tak właśnie bywa) sprawiła, że prywatne rzeczy codziennego użytku po człowieku (po Tokarskiej) nabrały szczególnego znaczenia, wręcz uzyskały walor wartości symbolicznej. Zostały dowartościowane przez Szott, czasem wygrzebane ze śmietnika, czasem znalezione na strychu, a mówiąc dokładniej: w ostatniej sekundzie wyrwane z unicestwiającej paszczy otchłani. Nie umarli, jest w nich jakby życie, objęte opisującym słowem, nie utraciły znaku niedawnej przynależności. Tylko one zostały, a w nich zawarła się jakaś emanacja człowieka. Oddech, spojrzenie, linie papilarne palców. To wszystko w nich jeszcze jest. Można przy ich pomocy wyobrazić sobie realne życie, które się już dokonało. Po śmierci wszystko widzi się inaczej, to samo już nie jest to samo, natychmiast odrealnia się doraźna użyteczność. Po śmierci poety jego wiersze też inaczej się czyta. W słowach słyszymy to, czego nie słyszeliśmy wcześniej, albo nie umieliśmy usłyszeć. I w tym momencie nie jest już istotne, jaką to wszystko ma rangę. Może być czymś znaczącym blaha kreska, pusta kartka, pustka zgięta na pół, „próba niebieskiego długopisu”. Ważny jest dla M. Szott ten wysiłek i pasja ocalania. Zielenogórska poetka mieszkała bowiem przez kilka lat w tym samym domu, w tej samej klatce, przy Placu Słowiańskim. Szott rozmawiała Tokarską, bywała w jej mieszkaniu, piętro wyżej, na poddaszu, pukała

do jej drzwi, czekała na autograf, dzielił je pokoleniowy rozdział, ale łączyła też prosta ludzka zwyczajność codziennej egzystencji. I teraz Szott czuje się za ten ślad cudzego życia odpowiedzialna. Przy pomocy swoich tekstów (dobrze, że nie ma ich za dużo) dokonuje Mirosława mitologizacji, czyli szczególnego zabiegu uczłowieczenia. Aurą poetycką je osnuwa, czułością i wzruszeniem wielorako stara się wypełnić. Metafizycznie, moralnie, psychologicznie. Tworzy z każdym przedmiotem jakiś swój refleksyjny związek. Ważne, że nie czyni tego rozwlekle. Lecz skrótowo. Na przykład zdanie o różańcu po Annie: „Niech przyszli lokatorzy martwią się, co z nim zrobić”. Taka to sprawcza moc tkwi w dodanej refleksji i poezji, która nie pozwala materialnym śladom ginąć w anonimowości. Za sprawą tych kawałków prozy, niekiedy wychodzących poza realistyczną wyrazistość i jasność semantyczną (s. 49) jesteśmy uczestnikami dramatu, który się dokonał nie w sferze fikcji, ale w realnej rzeczywistości. Detalicznie widzimy skończoność, daremność ludzkiego losu, rozpaczliwie bezpowrotnego. Wzruszające jest objęcie autorskim spojrzeniem owego biograficznego mikroświata, np. kota Anny – Balbiny.

Można rzec, że heroiczny jest liryzm tej książki. Uwidacznia cechę autorskiej dzielności. I dodam jeszcze, że wbrew temu, co powiedziano, np. podczas autorskiego spotkania w Bibliotece, i co sama poetka na początku książki jakoś sygnalizuje („Został mi opis śmietnika”), nie jest to opis śmietnika. Tu nie ma brzydoty. Rzeczy Anny Tokarskiej były z niego sporadycznie wydobywane, ale nie taka to estetyka, nie taka filozofia. Nie tworzy Mirosława Szott klimatu turpistycznego rodzaju, lecz legendę Anny Tokarskiej, legendę lokalnie ważną dla życia literackiego w naszym mieście. Ta liryczna dokumentacja zawiera bowiem owo literackie coś więcej.

Czesław Sobkowiak

Colonia – godność człowieka w rozumieniu chilijskiej rzeczywistości lat 70. XX wieku

Colonia, reż. F. Gallenberg, Niemcy 2015

Najnowsza produkcja młodego niemieckiego reżysera Florian Gallenberga – autora krótkometrażowego obrazu pt. *Quiero ser (I want to be...)* nagrodzonego w 2001 r. Oskarem – była przede mną długo wyczekiwana. W czasach wszechobecnej fascynacji wyjątkowo uzdolnionymi postaciami z wydawnictwa Marvel i pozornie skomplikowanymi mężczyznami pokroju Christiana Greya, zdarza się możliwość obejrzenia czegoś wywijkającego się obowiązkującym kanonom i modom. *Colonia*, opowieść oparta na prawdziwych wydarzeniach, odkrywa fakty obce większości współczesnych Europejczyków.

Salvador Allende, chilijski prezydent w latach 1970-1973, polityk z ramienia lewicowej koalicji *Unidad Popular*, zostaje obalony w wyniku brutalnego wojskowego zamachu stanu mającego miejsce 11 września 1973 r., w rezultacie którego władza przechodzi w ręce dyktatora i generała Augusto Pinocheta na kolejnych 17 lat. W tym miejscu zaczyna się właściwa akcja filmu poprzedzona krótkim przybliżeniem miłosnej historii dwojga bohaterów – młodej stewardessy Leny (w którą wciela się znana z serii filmów o czarodzieju Harrym Potterze Emma Watson) i jej chłopaka Daniela – uzdolnionego fotografa i aktywisty wspierającego prezydenta Allende (w tej roli znakomity Daniel Brühl). W trakcie puczu wojskowego mężczyzna zostaje aresztowany i osadzony w Colonii Dignidad (hiszp. Osada Godności; dokładniej La Sociedad Benefactora y Educacional Dignidad, a obecnie Villa Baviera) położonej w południowym Chile, która stanowi główne miejsce akcji filmu.

Wiek XX wiązał się z postęmem cywilizacyjnym. Odkrycie DNA, wynalezienie antybiotyków i Internetu, loty kosmiczne, a nawet osiągnięcia w dziedzinie energii atomowej sprawiły, że więzienie, torturowanie i mordowanie ludzi w zamkniętej osadzie, ogrodzonej drutem kolczastym, prowadzonej przez nazistę sekty okulistycznej, wydaje się niemożliwe.

Tym, co szokuje w tej historii najbardziej, jest to, że przeprowadzane w osadzie tortury zlecane

były przez DINA (Dirección Nacional de Inteligencia) – wojsko podporządkowane Pinochetowi. Paul Schäfer, imigrant oskarżony wcześniej o pedofilię, dopuszczał się molestowania 26 chłopców przebywających w Colonii, której mieszkańcy traktowali go jak guru. Oprócz represji stosowanych przez byłego członka Hitlerjugend, w fabule pojawiają się sceny ukazujące akty uwielbienia przewodnika duchowego, które budzą zgorszenie, prezentując demoralizację tego elitarnego środowiska. Ta wybrana jednostka o narcystycznej osobowości, w którą wciela się niebanalny Michael Nyqvist, szokuje i zadziwia siłą i słabością zarazem. Osadzeni podzieleni są wedle płci na dwa obozy ze względu na surowy i grozący brutalną śmiercią zakaz kontaktów na tle seksualnym. Członkowie sekty (zmuszani do zażywania narkotyków) wypełniają polecenia przyzwyczajonego do dyscypliny Schäfera nazywanego dobrym pasterzem Piušem, który posiada władzę absolutną.

Sielankę przerywa przyjazd zdesperowanej kobiety, która wyrusza samotnie do Colonii Dignidad, poddając się panującym w niej prawom, aby odnaleźć ukochanego. Przekroczenie progu osady sprawia, że wyjście z niej staje się niemożliwe, a to, co główna bohaterka zastaje na miejscu, przechodzi najśmielsze oczekiwania. Specyficzny obszar, którego mieszkańcy ubrani w bawarskie stroje uśmiechają się i śpiewają pieśni ludowe, okazuje się piekłem na ziemi.

Maltretowany psychicznie i fizycznie Daniel traci nadzieję na ucieczkę, udając chorobę psychiczną, która nastąpiła w wyniku doznanej traumy i tortur elektrycznych. Symulowana aberracja okazuje się sposobem na poznanie sekretów tego toksycznego środowiska, będąc jednocześnie jedynym sposobem na przetrwanie. Wyjątkowe oddanie i skłonność bohaterki do poświęcenia w imię miłości budzi podziw, nie wprowadzając jednocześnie męczącej widza przesady w sentymentalnej atmosferze. Warto zwrócić uwagę na to, że materiały promocyjne obra-

zu Gallenberga prezentowały piękną twarz aktorki młodego pokolenia. Widz wielokrotnie może zatracić się w jej brązowych oczach, jednak szczególnie zainteresowanie budzi wyjątkowo realistyczna kreacja Daniela Brühla, którego cierpienie wydaje się opanowywać każdy centymetr ciała i najszybsze zakamarki umysłu. Ucieczka oraz pragnienie ujawnienia naruszeń, jakich dopuszcza się chilijska policja, stają się głównymi celami dwojga bohaterów, którzy każdego dnia przeżywają koszmar na jawie. Osobom chętnym poznania wnętrza osady polecam dwa filmy dokumentalne: *Los niños de Paul Schäfer* (z hiszpańskiego – *Dzieci Paula Schäfera*) oraz *Colonia Dignidad* z 2006 r. Drugi z przywołanych obrazów mówi o obozie porównywanym, nie bez przyczyn, do Auschwitz.

Jeszcze przed rozpoczęciem zdjęć w środowisku filmowym rozgorzała dyskusja o tym, jak zepsute amerykańskie środowisko Hollywood usiłuje przeobrazić postać prezydenta Allende w narodowego bohatera Chile. W polskim kręgu – nieprzychylnym komunistycznemu prezydentowi, zniechęconym do tego filmu, a także pamiętającym PRL – słychać liczne głosy zdecydowanie popierające działania współpracującego z Niemcami Pinocheta, którego rzekomym celem było oczyszczenie chilijskich ulic z uzbrojonych i niebezpiecznych komunistów. Wszystkim tym, którzy uważają, że (mimo wszystko) faszystowski przywódca junty wojskowej miał święte prawo do podejmowania radykalnych kroków w imię wprowadzenia nowego porządku, radzę, aby swoją opinię sformułowali powtórnie po seansie *Colonii*. Przypomnę tylko, że Osadę God-

ność można traktować jako swego rodzaju obóz koncentracyjny, których ówczesnie na terenie Chile było znacznie więcej. Z rozkazu generała główne stadiony, z których największym był Estadio Nacional de Chile w stolicy (Santiago), zostały przeobrażone w miejsca zagłady. Być może działaniom dyktatorskim przyświecała piękna idea, ale czy w jej imię można bezkarnie więzić, torturować, wykorzystywać i mordować? O ile argumenty dotyczące traktowania w ten sposób mężczyzn stanowiących zagrożenie mogłyby kogoś zadowalać, o tyle trudno jest mi uwierzyć w polityczne zaangażowanie molestowanych wówczas chłopców. Przyzwolenie społeczne dla tego rodzaju postępów, wśród których wymienić należy również przeprowadzanie na więźniach różnego rodzaju eksperymentów – bez względu na to, kogo one dotyczą – budzi we mnie największe obawy.

Colonia jest jednym z tych obrazów, które na długo zapadają w pamięć i zostawiają widza z przemyśleniami na temat prawdziwego znaczenia godności człowieka. Ta wyjątkowa produkcja z 2015 r. pokazuje, w jaki sposób wykorzystuje się religię do osiągnięcia własnych celów, zatruwając myśli osób w swoim otoczeniu, co – jak dobrze wiadomo – zdarza się również we współczesnych czasach. Fascynujące kreacje aktorskie, realistyczna i budząca niepokój sceneria, dobrze dopasowana i oddająca klimat muzyka, stale narastające napięcie, a także możliwość poznania długo ukrywanej i niewygodnej prawdy. Jednym słowem – warto.

Jesica Woźniak

Hilary Gwizdała – poeta koloru

Hilary Gwizdała – Malarstwo, Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze 15.04–2.06.2016 r., kuratorzy: Leszek Kania, Aleksander Czerniewicz

To sztuka zgłębić siebie i nie iść na dno
– sentencja wymalowana przez Hilarego Gwizdałę na ścianie jego pracowni.

Dotychczas znałam twórczość Hilarego Gwizdały jedynie z czterech obrazów znajdujących się na ścianach w muzealnym gabinecie – miejscu mojej

pracy. Są to pejzaże zielonogórskie i jeden łagowski, bardzo poetycki, przywołujący wspomnienie moich częstych wizyt na zamku joannitów. Okazji do poszerzenia wiedzy o całokształcie dokonań malarza dostarczyła monograficzna wystawa ukazująca znaczną część jego dorobku, zorganizowana w Muzeum Ziemi Lubuskiej w 2016 r. Wernisaż odbył się 15 kwietnia, dokładnie w dniu setnych urodzin artysty. Tłum gości przybyłych na to wydarzenie zaświadczył o niesłabnącej popularności twórcy, lecz poza tym prawie uniemożliwił mi bliższą kontemplację eksponowanych prac. W trakcie uroczystego otwarcia wiele mówiono o barwnej osobowości Hilarego, jego charakterystycznym wyglądzie i artystycznym image'u. Niespodzianką okazało się nagranie jego głosu, dokonane przed laty przez red. Konrada Stanglewicza z Radia Zachód.

To właśnie w Zielonej Górze (na przełomie lat 1966/67) odnalazł Gwizdała swoje najprawdziwsze powołanie i życiową pasję, jaką było malowanie obrazów. Całkowicie poświęcił się sztuce, będąc już dojrzałym człowiekiem, mając skończone 50 lat, pozostawiając za sobą małżeńską stabilizację i pracę nauczyciela. Zdecydował się na skromną egzystencję w małej pracowni na poddaszu kamienicy przy ulicy Sowińskiego, gdzie odwiedzali go najbliżsi koledzy należący do ówczesnej bohemy miasta (Klem Felchnerowski, Andabata – Henryk Ankiewicz, Jan Muszyński), ale także i mali przyjaciele: koty, synogarlice, a nawet myszy. Dzisiaj nic już nie zostało z magicznej aury tego miejsca, dom jest opuszczony, niemal popada w ruinę, lecz na szczęście jego atmosfera została uwieczniona w tekstach Andabaty, Muszyńskiego, Zbigniewa Ryndaka, Tadeusza Sojki, Mirosława Kuleby, a niedawno także przez Alfreda Siateckiego. W pamięć zapadła mi szczególnie niewielka książeczka autorstwa H. Ankiewicza pt. *Szachy w Łagowie*, w której wesoła kompania malarza i jego kumpli opisana została w sposób anegdotyczny i soczysty, a przez to pozbawiony patosu. Dzięki Czesławowi Łuniewiczowi, który utrwalił na swoich fotografiach sylwetkę i patriarchalne oblicze Gwizdały, wizerunek tej nietużinkowej postaci stał się dla mnie bardziej pełny i wyrazisty.

Na potrzeby wystawy jej organizatorzy na łamach lokalnej prasy i w internecie wystosowali prośbę o wypożyczenie dzieł Hilarego Gwizdały znajdujących się w prywatnych kolekcjach. Właściciele zdejmowali obrazy wprost ze ścian, niechętnie się z nimi rozstając. Akcja przyniosła jednak wymierny rezultat w postaci najstarszej pracy malarza, sygnowanej w 1938 r., подарowanej do zbiorów muzealnych przez mieszkankę Winnipeg Grodu. Jest to portret ślubny – monidło odwzorowane ołówkiem ze zdjęcia. W ten sposób młody Gwizdała mieszkający wówczas w Poznaniu zarabiał na życie jeszcze przed podjęciem studiów. Dzięki synom artysty – Markowi i Jackowi – na wystawę trafił rysunek z czasów okupacji pt. *Pochód*, o symbolicznej raczej wymowie.

Kuratorzy zdecydowali się podzielić dorobek Gwizdały na cztery grupy: prace wczesne, martwe natury, portrety, pejzaże. Widać w nich konsekwencję obranej drogi artystycznej, zapoczątkowanej pod okiem czołowego polskiego kolorysty – profesora Jana Cybisa – w warszawskiej ASP. Gwizdała nie zważał na trendy panujące w malarstwie, jego przywiązanie do wyrazistej malarskiej materii i mistrzowskie posługiwanie się kolorem wyziera z każdego niemal płótna. Świadczy to o dyscyplinie i świadomości aktu twórczego, jednakże poziom zaprezentowanych na wystawie prac był nierówny. Wydaje się, że niektóre malowane były w pośpiechu – widać to szczególnie w portretach, wyraźnie robionych na zamówienie. Najszczerze wydają się liczne autoportrety, które Gwizdała malował przez cały okres pobytu w Zielonej Górze. Jak napisał Leszek Kania w katalogu wystawy: „Malarz wychodził z założenia, że własne oblicze jest najlepszym modelem”.

Martwe natury autorstwa Gwizdały również mają zróżnicowaną jakość, najczęściej przedstawiają przedmioty z pracowni i najbliższego otoczenia: zakurzony filodendron lub samowar. Rozstrzygnięcia barwne mają tu pierwszorzędne znaczenie, gdyż malarz, wzorem swojego mistrza, prof. Cybisa, chciał być przede wszystkim „poetą koloru”, rezygnując z literackości i symboliki.

Najbardziej wartościowe w całokształcie dorobku artysty wydają się pejzaże. Podzielono je na dwie grupy. Pierwszą stanowią obrazy inspirowane pięknem

Ziemi Lubuskiej. Artysta chętnie podróżował po miejscowościach regionu, malował na przykład w Sławie, Łagowie, Międzyrzeczu, Gorzowie i w Niesulicach, gdzie bywał wielokrotnie zapraszany do domu letniskowego Tadeusza Sojki. Okazuje się, że temat tak pospolity, jak niesulickie różno wiejskie, może być pretekstem do namalowania interesującego obrazu. To, co emanuje z pejzaży Gwizdały, to niesłychany autentyzm przeżyć artystycznych poparty malarskim instynktem i wrażliwością, które pozwalały mu wielokrotnie sięgać po te same motywy. Widać to szczególnie w pracach inspirowanych Zieloną Górą. Architektura miasta z jej charakterystycznymi elementami: ratuszem, kościołami, kamieniczkami, to podstawowy motyw wielu dzieł. Wygląd miasta jest tutaj osobistą wizją autora, nieco baśniową, przekolorowaną, lecz łatwo rozpoznać uwiecznione fragmenty miejskiej zabudowy. Poszczególne kompozycje przemawiają pięknymi zestawieniami i natężeniami barw, urozmaiconą grą faktur. Wiele uwiecznionych miejsc już nie istnieje, więc obrazy Gwizdały w tym kontekście mają wartość dokumentalną.

W wymiarze artystycznym, ale przede wszystkim popularyzatorskim, wystawa spełniła swoją rolę. Ekspozycja ukazała twórczość Gwizdały w sposób spójny i logiczny, lecz jednocześnie dało się zauważyć zróżnicowanie poziomu prezentowanych prac: od znakomitych i skończonych pod względem malarskim pejzaży, po niekiedy słabsze portrety i martwe natury. Jednak szczerze przyznam, że do serca najbardziej przypadł mi obraz z tej ostatniej kategorii, a mianowicie wizerunek nieco koślawego czarnego

kocura o szmaragdowych oczach, siedzącego na parapecie okna pracowni Gwizdały, ze słynną „amerykanką” na pierwszym planie, na której Hilary zwykł sypiać (*Wnętrze z kotem*, 1975).

Reprodukcja tego obrazu zamieszczona została w katalogu wydanym specjalnie z okazji wystawy. Przede wszystkim publikacja ta jest cenna ze względu na swoją stronę edytorską oraz sam pomysł na jej stworzenie, gdyż niewiele tego typu książek zostało poświęconych zielonogórskim plastynom. Jest to właściwie kompendium o artyście, wzbogacone wyborem tekstów dotyczącym jego twórczości oraz bogatym kalendarium. Co warto dodatkowo podkreślić, kuratorzy wystawy dotarli do zupełnie nieznanymi zdjęć i unikalnej ikonografii. Kiedy myśli się o Gwizdale, to wyobraźnia przywołuje jego długie siwe włosy i zmierzwioną brodę, tymczasem na fotografii z lat 40. XX w. młody Hilary pozuje niczym przedwojenny dandys, elegancki, z sygnetem na palcu i żarzącym się papierosem. To zdjęcie zaskakuje widza, który ogląda je po raz pierwszy.

Ćwierć wieku minęło od śmierci „nadwornego malarza” Zielonej Góry, dlatego też warto by w końcu uhonorować jego osobę i dokonania w postaci trwałego elementu w przestrzeni publicznej miasta, które tak ukochał i promował. Możliwości jest sporo: tablica pamiątkowa na domu przy ulicy Sowińskiego, pomnik lub nawet nazwanie ulicy jego imieniem. A może Hilary Gwizdała chciałby dosiąść się do Stolika Klema?

Alina Polak

Mroczne aspekty osobowości

Marcin Radwański, *Nie odrzucaj mnie*, e-bookowo, Będzin 2016, 306 s.

Marcin Radwański to rodowity zielonogórzanin, w tym mieście mieszka i pisze. Współpracuje z kwartalnikiem literacko-kulturalnym „Pro Libris”, studencką gazetą „UZ-etka” i portalem „wZielonej.pl”. Publikował m.in. w „Nowej Gazecie Lite-

rackiej” czy „Akancie”. W swoim dorobku ma nie tylko powieści kryminalne (np. *Nieprzypadkowa ofiara*) czy znakomite opowiadania (vide tekst *Zbiórka* z 2014 r.), ale, co zaskakujące... tomik poetycki.

Piszę, że to fakt zaskakujący, gdyż przeczytawszy powieść *Nie odrzucaj mnie*, nie spodziewałabym się twórczości poetyckiej po jej autorze. Jak sam przyznaje, podczas jej pisania inspirował się kryminałami skandynawskimi. Mamy tu więc wszystko, co w tym gatunku jest podstawą: makabryczną zbrodnię oraz wartką akcję wokół niej konstruowaną, ekipę policjantów śledczych prowadzącą dochodzenie i badającą okoliczności dojścia do zdarzenia, a w finale ujawniającą osobę sprawcy. Pojawiają się także sugestywne sceny erotyczne, ale, co ważne, także i szerokie spektrum popularnych ostatnio trudnych tematów społecznych. Na przekór trendowi, tym razem główny bohater – Piotr Tonder – sam nie jest pijącym policjantem, lecz ma styczność z problemem uzależnienia alkoholowego, musi walczyć o prawa rodzicielskie, ale także i rozstrzygnąć dylemat lojalności wobec przyjaciela. Ważnym wątkiem omawianej książki jest również seksoholizm i wynikająca z niego przemoc.

Radwański podzielił treść na dwie części, nierówne pod względem językowym, jednak wydawać się może, iż jest to celowy zabieg. Początkowo usypia czujność czytelnika, dobierając słownictwo dosyć formalne, niezapowiadające dalszego klimatu akcji, lecz po wprowadzeniu do fabuły momentu zbrodni dialogi zaczynają wybuchać soczystością i przybierają charakter właściwy dla gatunku kryminalnego, zaś autor zaczyna ukazywać swoje umiejętności narracyjne. Atrakcyjne dla fabuły jest wplecenie scen obyczajowych wprowadzających w świat codzienności śledczych: Tondera, Agnieszki Wiertelak, Ilkowskiego i Junga (dla znających twórczość pierwszorzędnego

lubuskiego pisarza Alfreda Siateckiego jest to dodatkowy smaczek). Dzięki temu Radwański pełniej zarysowuje główne postaci, oddaje ich specyficzne cechy charakteru, ale i usprawiedliwia słabostki. Osadzenie fabuły w Zielonej Górze i okolicach niewątpliwie pozwala Lubuszanom identyfikować się z miejscem akcji i ułatwia im odbiór treści, lecz uważam, iż także czytelnikom z innych zakątków Polski przyjemność sprawi poznawanie bardziej i mniej malowniczych zakątków Winnego Grodu.

Jako osobę, która na co dzień, zawodowo i prywatnie, ma styczność z działalnością pisarską i wydawniczą, niepokoi mnie aspekt redakcyjny wszelkiej publikowanej w ostatnich latach twórczości. Chodzi mi o przepuszczanie czy może niezauważanie przed drukiem tzw. literówek oraz błędów ortograficznych i stylistycznych, co niestety spotkało także i tekst *Nie odrzucaj mnie*. Oczywiście, „byki” wyszły spod ręki autora, gdyż każda osoba pisząca popełnia wspomniane lapsusy. Żal można mieć jedynie do wydawcy, że nie dopracował pod tym względem publikowanego przez siebie dzieła.

Po przeczytaniu najnowszej książki Marcina Radwańskiego jestem ciekawa, w którą stronę teraz pójdzie autor. Czy skupi się na opowiadaniach, których konstruowanie warsztatowo ma już opanowane rewelacyjnie, czy może znowu zaprosi czytelników do świata Piotra Tondera i odkryje kolejne mroczne aspekty własnej osobowości, które są, trzeba przyznać, intrygujące.

Alina Polak

(Wy)dziedziczenie

Adam Bolestaw Wierzbicki, *Dziedzictwo*, Poznań 2016, 64 s.

Wydaje się, że poezja Adama Bolestaw Wierzbickiego odnalazła już własny, autonomiczny ton, odnalazła niezamienialną z żadną inną, własną dykcję. W pejzażu współczesnej polskiej poezji, pejzażu cokolwiek zasiedziały przez retorycznych matuza-

lemów, wiersze Wierzbickiego, pośród wtórnej nadprodukcji, przyciągają uwagę swoim autentyzmem i bezpretensjonalnością.

W najnowszym tomiku pt. *Dziedzictwo* Wierzbicki w budowaniu świata przedstawionego zasto-

sował paradoksalną formułę poetyckiej wypowiedzi: „co można pokazać, tego nie można powiedzieć” (Ludwik Wittgenstein). Rzeczywistość jest obecna, empiryczna, sensualna, lecz nie kończy się na samej sobie – każda rzecz, każde zjawisko, każde wydarzenie obserwującemu je podmiotowi daje zawsze coś więcej do myślenia, coś więcej do przeżycia, coś więcej do wypowiedzenia o tym, co się widzi.

Nawet najprzenikliwszy obserwator stwierdza ostatecznie, że w tym, co obserwowane, przemyka pewna nieuchwytna, wykraczająca poza materialność prawda. Jeśli tym obserwatorem jest poeta, dla którego podstawowym instrumentem komunikacji pozostaje język, to właśnie w momencie jego użycia uświadamia on sobie, jak wiele z tego, co widzi, jak wiele z tego, co doświadcza, jak wiele z tego, co próbuje opisać, pozostaje niewyrażalne.

Są dwie postawy twórcze wobec tej n i e m o w y, z jaką mierzy się poeta: pierwsza zatrzymuje się na samych właściwościach wypowiedzi, penetrując jej naturę i zakres (poezja lingwistyczna, awangardowa, eksperymentalna), druga zaś „zgadza się” na komunikacyjny impas języka, równocześnie poszukuje w poetyce takich ekspresyjnych szczelin, poprzez które można byłoby nawiązać bardziej bezpośredni kontakt z otaczającą nas rzeczywistością (poezja klasyczna, referencjalna, opisowa).

Tę drugą postawę reprezentuje w swoich wierszach Wierzbicki. Znamienne, że znalazło się paru krytyków, którzy jego poezję określają jako reporterską (M. Hałaś, S. Waszut), co wydaje się pewnym spłyceniem ethosu wypowiedzi, w której autor poszukuje nie tylko odpowiedniego wyrazu dla tego, co go otacza, ale nade wszystko *ersatzu* odpowiedzi na pytania: kim jest i gdzie jest.

Tutaj dar reporterski, narracyjny zostaje wyparty przez fundamentalną kwestię egzystencjalną: spór o własną tożsamość. To, co powszechne, i to, co indywidualne, rozwidla się w perypetiach życia, aby znowu spotkać się na wyższym, afirmacyjnym poziomie Ja wobec siebie samego i wobec świata.

Oczywiście ów proces nie dokonuje się bez bólów; żaden imperatyw nie jest raz na zawsze dany, trzeba go zdobywać każdego dnia, trzeba go zdobywać każdym poszczególnym wersem. Inaczej na-

sza obecność nie zostałaby nawet poddana próbie określenia.

Obserwacja/widzenie/patrzenie, emanujące z wierszy Wierzbickiego, potwierdza pragnienie rozpoznania współistnienia Ja – inne, a zarazem odrębności wypowiedzi językowej wobec świata, która zawsze występuje w odniesieniu do pewnej, ustalonej już wcześniej, formy życia. Toteż swoistość postawy autora polega na tym, że nie gapi się on na to, co jest, lecz podejmuje aktywny dyskurs z rzeczywistością, mając na uwadze ukazanie sedna danych zjawisk, w jakie uwikłane są relacje międzyludzkie, międzypokoleniowe czy międzyetniczne.

Już tytuły części, składające się na cały tom, wskazują na relacyjno-dialogiczny charakter wielu wierszy: *To już było*, *To, co nas otacza*, *Moje miejsce*, *A to Polska właśnie*, *Spojrzenie za siebie*. Tropy wiodą od tradycji po współczesność, demitologizują i demistyfikują patos, egzaltację oraz instrumentalizm pamięci tak w wymiarze osobistym, jak i w wymiarze pewnej określonej wspólnoty, zapętlonej moralnie, deklaratywnie i koniunkturalnie.

Trzeba nie lada odwagi oraz ambicji, aby sięgać po tematy trudne, kontrowersyjne, tragiczne. Wierzbicki czyni to, unikając tromtadrackich tonów, głosem ściszonego, osobistego, lecz silnego. Językiem wyraźnym, prostym, ascetycznym, skoro wie, że tylko w ten sposób można coś powiedzieć.

Cała groza, cierpienie, straszność „zwyczajnych” dni za okupacji, znajduje się w wielu utworach pod samą podszewką słów:

Pamięci babci Józefy i dziadka Władysława

Dziadek nie kazał rozpakowywać
babce kufrów i tobołków. *Na żniwa
wrócimy do domu, tylko zrobią porządek
z banderowcami* – mówił. W obawie
przed cwaniakami z centralnej Polski,
udającymi Wherwolf, krowę żywicielkę
trzymał przywiązaną do kaflowego pieca
w największej izbie murowanego domu.
[...]

17 II 2008

(*Dziedzictwo*, s. 7)

Albo:

Dziadek, ruszając na wojnę, obdarzył babkę prezentem,
który urodził się dziewięć miesięcy od jego wymarszu.

Babka poiła go wywarem z konopi, aby spał spokojnie

(wówczas z włókien konopi robiono powrozy do uprzęży,

za ich uprawę nikogo do więzienia nie zamykano – dla poprawy nastroju preferowano okowitę).

Później szła na cały dzień w pole, hakać ziemniaki.

Po zbiorach przerabiała je na samogon, będący w tych

niepewnych czasach uniwersalnym środkiem płatniczym.

[...]

12 I 2013

(*Ballada o żołnierzu zapomnianym*, s. 9)

Wygnanie, uchodźstwo, tułactwo to figury naszej historii, naszego dziedzictwa, u Wierzbickiego sprowadzone do niemal literalnego denotowania, zyskują na nowej, sensualnej sile wyrazu. Dołącza do nich pamięć o żołnierzach wyklętych (*Krew na pułtuskim bruku*) czy pełna sarkazmu wypowiedź o byłym kapitanie Służby Bezpieczeństwa (*Herostrates polski*) – gdzie *implicite* zostają przywołane ofiary zbrodniarza:

A jednak przejdę do historii – pomyślał, wychylając

kolejną setkę wódki. Piłat też trafił do Składu

Apostolskiego, mimo że przyczynił się do śmierci Jezusa Chrystusa.

19 III 2013

(*Herostrates polski*, s. 13)

W części *To, co nas otacza* Wierzbicki swoim ciętym, lapidarnym, bezkompromisowym językiem, obnażając duchową gangrenę interpersonalnych sytuacji, celnością i przenikliwością przywołuje na myśl szyderczo wyrażające się o społeczeństwie wiersze Rationia, Bursy, Wojaczka. Jego kompromitujące hi-

pokryzę oraz potwierdzające wzajemną/między-ludzką destrukcję spostrzeżenia, trafiają w samo sedno zjawiska, nie pozostawiając złudzeń: człowiek w polskim kapitalizmie znajduje się w „podróży do kresu nocy” (*Celine*). Potwierdzają to „chłopaki z robotniczych przedmieść”, którzy „pracują u magistra marketingu,/ aktualnie robi gdzieś w zielonej Irlandii/ na zmywaku” (*Poniedziałkowy toast*, s. 21-22); kibole, którym odwołano mecz, dlatego „nie poleje się krew. Nie pójdą/ w ruch noże, łańcuchy i kije/ baseballowe” (*Wiadomość dnia, czyli temat zastępczy według TVN, zresztą Wielkiego Manipulatora*, s. 23); kobiety decydujące się na aborcję i rezygnujące z niej w ostatniej chwili: „Pani T. nie przeczyta tego wiersza,/ wydrukowany jest zbyt drobną czcionką./ Brakuje też oznaczeń dla niewidomych,/ jakie posiadają banknoty euro,/ ale zawsze może poprosić o przysługę/ swoją córkę (tę, którą »chciała spuścić w kanał«)” (*Najpiękniejszy uśmiech świata*, s. 24-25); „stare młode wilki”, które „stojąc na rogu ulicy,/ będą prosić o dorzucenie/ pięćdziesięciu groszy do wina –/ najtańszego z tanich” (*Młode wilki*, s. 26-27); Mały Książę, czyli notoryczny pijak, który „tylko wtedy, gdy pije, może na chwilę zapomnieć,/ że ma żonę kurwę i syna narkomana” (*Pijak, czyli powtórka z Małego Księcia*, s. 28). Czy coś pozostanie z tego pejzażu klęski poza wołaniem o pomoc? Owszem, *Gorzkie owoce*, ale ten poetycki majstersztyk pozostawiam czytelnikom do przeczytania w całości (s. 29). Wierzbicki nokautuje ironią!

Wiersze z *Mojego miejsca* tworzą aurę reminiscencji oraz perseweracyjnych powrotów do małej, ale ważnej przestrzeni „u Pana Boga za piecem” (*Zapomniana wioska*, s. 35). Topos dzieciństwa jako Arkadii, mitycznego „onegdaj”, u Autora staje się anty-Arkadią. Rustykalny krajobraz, mimo że pozostaje już tylko sztafażem pamięci, przechowuje w sobie jednak pierwsze najważniejsze impulsy: dobra, bezpieczeństwa i spolegliwości. Ocalenia identyfikacyjnej tajemnicy braku: „Z chlebowego pieca/ w sobotnie popołudnia/ już nikt nie wyciąga/ gorących bochenków chleba./ W pobliskim strumieniu/ nie pierze się bielizny kijankami./ I nikt nie prasuje żelazkami na duszę” (*Wiesz, która odeszła*, s. 34).

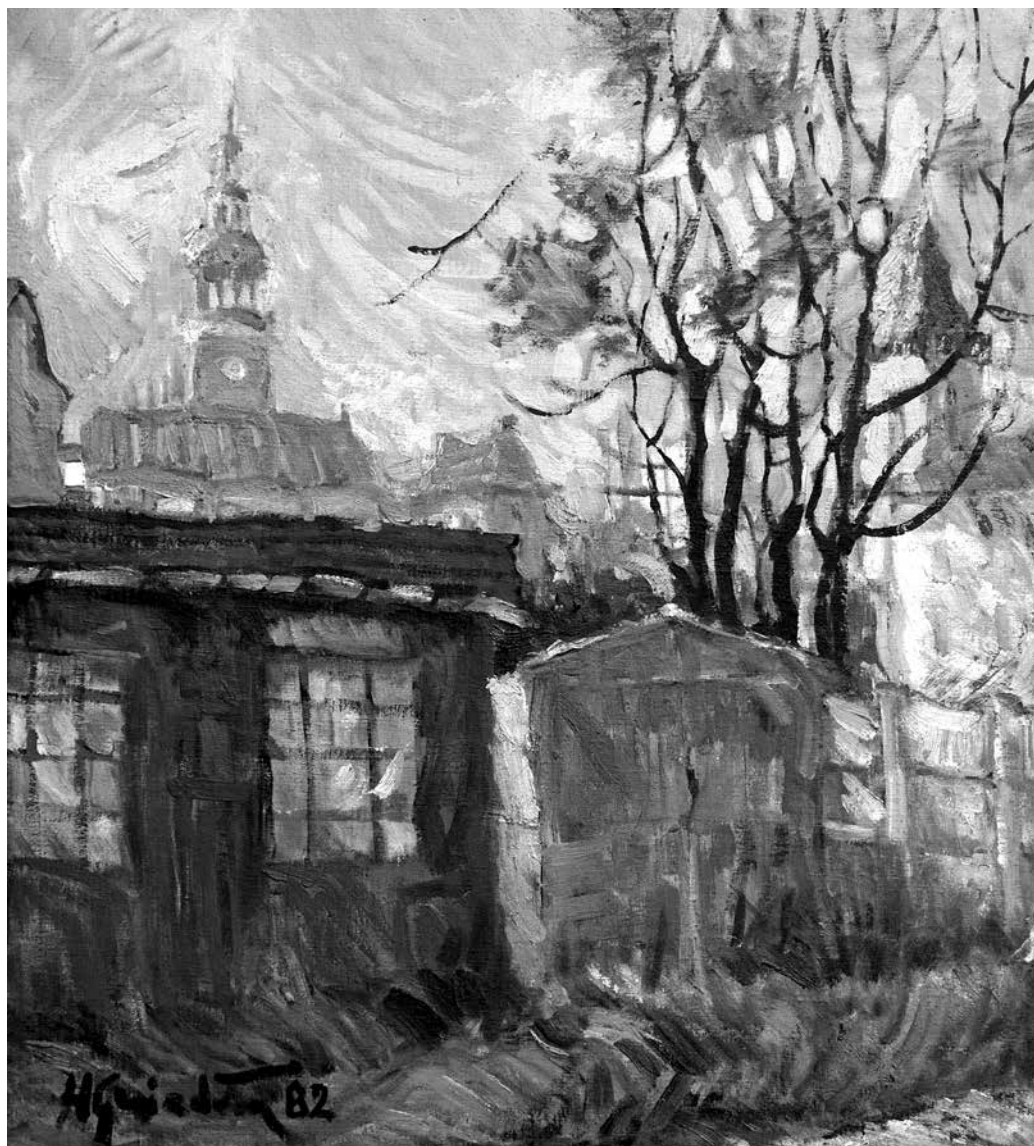
W części *A to Polska właśnie* stoimy w kolejce do „poradni psychiatrycznej”, gdzie „wszyscy są/ sobie równi, połączeni niewidocznymi więzami/ piętna choroby. Tylko tutaj nikt ich nie// wytyka, dotykając palcem czoła, nie wyzywa/ od wariatów. Towarzystwo wzajemnego wsparcia/ doradza, jak wyjść z depresji, pokonać nerwicę// i schizofrenię” (*Ogonek po nadzieję*, Z cyklu: *Kolejki polskie*, s. 49). Nic dodać, nic ująć. *Signum temporis*.

Tom zamykają *Spojrzenia za siebie*, wiekuista grypsersa kogoś, kto „w końcu znalazł swoje młodsze

alter ego” (*Lato 2004*, s. 58), czyli nie tylko mentalną, ale organiczną więź z demonem, z kimś/czymś, co można pokazać, ale czego nie można powiedzieć... Bo jak opowiedzieć o zbliżaniu się obłądu wtedy, kiedy jest on tylko/aż naszym cieniem?...

Dziedzictwo Wierzbickiego coś przysłania i chro- ni, a zarazem coś odsłania i wystawia na niebezpieczeństwo; znajduje się na krawędzi widzialności, skąd jeszcze można powrócić albo pożegnać się na zawsze.

Bogdan Nowicki



KSIĄŻKI NADESŁANE

- Jadwiga Ambroziak, *Droga milczącego śpiewu*, Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, MAJUS, Zielona Góra 2016, 42 s.
- Dalekowzroczność czy doraźne cele? W 50. rocznicę orędzia biskupów polskich do niemieckich: materiały z konferencji zorganizowanej 9 grudnia 2015 roku w Archiwum Państwowym w Gorzowie Wielkopolskim*, pod red. D.A. Rymara, Archiwum Państwowe w Gorzowie Wielkopolskim, Towarzystwo Przyjaciół Archiwum i Pamiątek Przeszości, Gorzów Wielkopolski 2016, 168 s.
- Wiesław Dobruszek, *Żużlowy leksykon ligowy*, Firma Wydawnicza „Danuta”, Leszno 2016, 203 s.
- Filharmonia Zielonogórska im. Tadeusza Bairda – 60 lat*, tekst Sławomir Kozłowski, aut. zdjęć K. Adamczewski i in., Filharmonia Zielonogórska im. Tadeusza Bairda, Zielona Góra 2016, 48 s.
- Krzysztof Garbacz, *Mały album dawnej architektury*, Agencja Wydawnicza PDN, Zielona Góra 2016, 189 s.
- Małgorzata Hellmann, *Droga z przekonania*, Hellmann Eurocolor, Zielona Góra 2016, 134 s.
- Katarzyna Jarosz-Rabiej, *Spojrzenie spod kapelusza*, Organon, Zielona Góra 2016, 64 s.
- Beata Patrycja Klary, *Obiekty totemiczne*, Zaulek Wydawniczy POMYŁKA, Szczecin 2015, 64 s.
- Barbara Konarska, *Czy życie musi boleć?*, Organon, Zielona Góra 2016, 79 s.
- Barbara Konarska, *Niesyta czasu*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry WINNICA, Zielona Góra 2016, 30 s.
- Ewa Kwaśniewicz, *Detale*, Regionalne Centrum Animacji Kultury, Zielona Góra 2016, 56 s.
- My powróciliśmy – wspomnienia Sybiraków, Koło Związku Sybiraków w Nowej Soli*, red. R. Sobkowicz, T. Andrzejewski, współpr. D. Cygan, Muzeum Miejskie w Nowej Soli, Nowa Sól 2016, 68 s.
- Przemysław Piotrowski, *Droga do piekła*, Videograf, Chorzów 2016, 339 s.
- Przemysław Piotrowski, *Kod Himmlera*, Videograf, Chorzów 2015, 340 s.
- Ptaki powiatu zielonogórskiego, praca zbiorowa*, Oficyna Wydawnicza Uniwersytetu Zielonogórskiego, Zielona Góra 2016, 220 s.
- Zbigniew Rajche, *Detale*, Organon, Zielona Góra 2016, 89 s.
- Zbigniew Rajche, *Kamienie milowe*, Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, Zielona Góra 2016, 90 s.
- Rafał Reczek, *Pielgrzymowanie w PRL na przykładzie pieszych pielgrzymek Duszpasterstwa Rolników Diecezji Gorzowskiej z Klenicy do Częstochowy w latach 1984-1989*, Instytut Pamięci Narodowej, Poznań 2016, 51 s.
- Edward Rymar, *Historia polityczna i społeczna Nowej Marchii w średniowieczu (do roku 1535)*, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2015, 994 s.
- Halina Sędzińska, *Dotyk*, Regionalne Centrum Animacji Kultury, Zielona Góra 2015, 58 s.
- Alfred Siatecki, *Porąbany*, Oficynka, Gdańsk 2016, 418 s.
- Mirosława Szott, *Anna*, Towarzystwo Miłośników Zielonej Góry WINNICA, Zielona Góra 2015, 64 s.
- Zofia Tumielewicz, *Ścieżki codzienności*, Stowarzyszenie Jeszcze Żywych Poetów, MAJUS, Zielona Góra 2016, 42 s.
- Marceli Tureczek, *Campanae, quae in confinio sonant. Studium z dziejów ludwisarstwa na pograniczu śląsko-brandenbursko-pomorskim w XIII-XVIII wieku*, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2015, 695 s.

AUTORIZY NUMERU

Agata Buchalik-Drzyzga (1940-2013)

Absolwentka wrocławskiej PWSSP/ASP (dyplom w Pracowni Grafiki u prof. S. Dawskiego). Zajmowała się grafiką warsztatową i użytkową, tkaniną artystyczną, malarstwem sztalugowym, sztuką papieru oraz ekslibrisem. Autorka kilkadziesiątu wystaw indywidualnych i zbiorowych. Laureatka szeregu prestiżowych nagród, wyróżnień, odznaczeń i medali. Także pedagog, w latach 90. dyrektor zielonogórskiego BWA. Całe życie zawodowe związana z Zieloną Górą.

Andrzej Chodacki

Prozaik, poeta, fotograf. Laureat konkursów literackich; publikuje w czasopismach w kraju i za granicą. Pracuje jako kardiolog w Parczewie (województwo lubelskie).

Małgorzata Chomont

Urodził się w 1970 r. Z wykształcenia magister pielęgniarstwa, z zawodu pielęgniarka. Od 24 lat mieszka w Zielonej Górze. Jest członkiem Zielonogórskiego Towarzystwa Fotograficznego. Czynnie fotografuje, pisze poetycką prozę.

Guy Commerman

Urodził się w 1938 r. Współzałożyciel kwartalnika literackiego „Gierik & NVT”, autor kilkunastu zbiorów poezji (najnowszy z 2015 r. *Getuigenis van zinnen*). Publikuje w pismach literackich wiersze, opowiadania, eseje. Jest także artystą malarzem; ma na swoim koncie około 100 wystaw i wiele wyróżnień (m.in. Jeune Peinture Belge i Europaprijs miasta Oostende).

Edward Derylak

Urodził się w 1953 r. w Harasiukach nad Tanwią. Absolwent WSOW Panc. w Poznaniu i WSP w Zielonej Górze. Prozaik. Autor tomu opowiadań *Styro* (2004), powieści *Cień lasu* (2008), opowieści (z Tomaszem Lipowskim) *Czołgiści, czołgiści...* (2011), opowiadania *Per ardua ad astra* (wersja polsko-angielska, 2009) i tomu opowiadań *Wedelmann* (2014). Współautor kilkunastu almanachów i antologii. Pomysłodawca i redaktor *Gawęd zagańskich* Adama Stawczyka (2008). Współredaktor książki-albumu *Dwudziesty dziewiąty w obiektywie* (2014). Swoje opowiadania publikował w takich czasopismach jak: „Pro Libris” (Zielona Góra), „Aspekty” (Biłgoraj), „Temat” (Bydgoszcz), „Własnym Głosem” (Warszawa). Laureat kilkadziesiątu ogólnopolskich konkursów literackich. Należy do Grupy Literackiej „Dysonans” z Wrocławia. Mieszka i pracuje w Żaganiu.

Barbara Anna Dominiak

Absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego, nauczycielka języka polskiego w LO w Świebodzinie. Poetka, moderator spotkań literackich.

Elżbieta Dybalska

Poetka, członek Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów, autorka 2 tomików poetyckich (*Ślady miłości, Bruzdy*). Publikuje w antologiach i prasie lokalnej. Jest zielonogórzanką.

Richard Foqué

Urodził się w 1943 r., profesor emerytowany, architekt, inżynier i poeta. Pisze w języku niderlandzkim i angielskim. Debiutował w 1967 r. zbiorem wierszy *Alleen kringen* w „De bladen van de poëzie”. Od tego czasu opublikował 7 tomików poezji. W 2011 ukazało się 7 wierszy z 7 akwatintami (autorstwa artysty Andre Goezu), w dwujęzycznej bibliofilskiej serii niderlandzko-angielskiej, a także w *The Oregon Songs* w „The International Arts Magazine The Green Door”, Vol. 6. Najnowsze wydane zbiory poezji to: *De Grote Rokade* (2012, Wydawnictwo P. Leuven) i *Hier staan we* (2015, Wydawnictwo P. Leuven). Publikuje w pismach literackich („Heibel”, „Yang”, „Grafiek + Gedichten”, „Revolver”, „Digher”, „Balustrada”, „Gierik & Nieuw Vlaams Tijdschrift”) i w antologiach poezji. Jest kuratorem przy Dichter bij Beeld (muzeum rzeźby w Middelheim/Antwerpia), gdzie organizowane są stałe „wędrowki poetyckie”; współtwórcą Międzynarodowego Festiwalu Poezji Dichters in het Elzenveld (1993-2005). Zasiada w redakcji „Gierik & NVT”. Członek zarządu w Stowarzyszeniu Pisarzy Flamandzkich, członek *Fellow of the World Literary Academy* i *International Academy of Poets*.

Rene Hooyberghs

Poeta, dziennikarz. Autor trzech tomików poetyckich. Jest członkiem redakcji kwartalnika literackiego „Gierik & Nieuw Vlaams Tijdschrift”. Mieszka i pracuje w Antwerpii.

Agnieszka Gadzińska-Grądkiewicz

Urodził się w 1968 r. w Łodzi. Obecnie mieszka w Sulechowie pod Zieloną Górą. Tarocistka. Działa w nieformalnej grupie literackiej, popularyzując wiedzę o literaturze i języku. Studiowała polonistykę na Uniwersytecie Łódzkim, krótko była nauczycielką. Dwanaście lat mieszkała w Helu; pracowała w Stowarzyszeniu „Przyjaciele Helu” jako redaktor lokalnej prasy. Stowarzyszenie wydało jej arkusz poetycki *Jeż na wietrze*; z niego i z pisanych później tekstów powstała w jednej z lubuskich stacji radiowa książka poetycka. Zdobyła II nagrodę w V Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim im. Kazimierza Ratonia (2009).

Ferdynand Głodzik

Urodził się w 1955 r. Absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu; autor książek i publikacji w prasie fachowej z zakresu prawa podatkowego. Jest także autorem tekstów satyrycznych i wierszy publikowanych w czasopiśmie (m.in. „Twój Dobry Humor”, „Przekrój”, „Portret”, „Angora”, „Horyzonty”, „Zdrowie, Uroda i Życie”, „Pegaz Lubuski”, „Ziemia Gorzowska”). Autor scenariusza programu kabaretowego *Lud idzie na dziady* (2004). Własnym sumptem wydał kilka arkuszy ze swoimi tekstami satyrycznymi, a w 2006 r. zadebiutował oficjalnym tomikiem wierszy satyrycznych *Winien i ma*. W dorobku ma też tomik *Własnym nosem* oraz *Szachy na lachy*. Laureat nagród i wyróżnień (m.in. w przeglądzie WOFTA, konkursie ZAKR za tekst piosenki, dwukrotnie w konkursie satyrycznym Wrzuć na Luz).

Karol Graczyk

Urodził się w 1984 r. w Gorzowie Wlkp. Uprawia poezję, prozę, zajmuje się dziennikarstwem. Recenzent w dziedzinie literatury, filmu oraz muzyki. Laureat i zwycięzca kilkudziesięciu konkursów literackich, redaktor stworzonego przez siebie internetowego miesięcznika sztuki – Polskie Kulturalne Podziemie (www.pkpzin.pl). Dwukrotny stypendysta Prezydenta Gorzowa Wlkp.

Marek Grewling (1963-2016)

Urodził się w Gorzowie Wlkp. Z zawodu nauczyciel historii, absolwent teologii biblijnej. Autor sześciu książek poetyckich, inicjator wydania antologii, autor aforyzmów, wierszy, esejów, recenzji artykułów publicystycznych; współpracownik „Pegaza Lubuskiego”. Był członkiem ZLP od 2003 r.

Paweł Kalisz

Absolwent historii Uniwersytetu Zielonogórskiego, podyplomowych studiów ekspertyzy dokumentów Wydziału Prawa, Administracji i Ekonomii Uniwersytetu Wrocławskiego. W 2012 r. obronił pracę doktorską pt. *Ewolucja pisma neogotyckiego na terytorium Nowej Marchii od XVI do XX wieku* na UZ. Pracownik Działu Informacji Regionalnej i Bibliograficznej WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze.

Joanna Kapica-Curzytek

Anglistka i pedagog, adiunkt w Instytucie Neofilologii na Uniwersytecie Zielonogórskim. Autorka recenzji książek („Twój Styl”, „Twoja Muza”, „Forum Akademickie”), recenzji teatralnych i wywiadów (www.e-teatr.pl). Współautorka i tłumaczka reportażu radiowego wyróżnionego nagrodą specjalną Studia Reportażu i Dokumentu Polskiego Radia na konkursie „Polska i Świat 2000”. Obecnie jest stałą recenzentką magazynu kultury „Esensja” (www.esensja.stopklatka.pl). Oprócz literatury jej pasją są języki obce i muzyka klasyczna. Ostatnio rozpoczęła (z pierwszymi sukcesami) naukę śpiewu.

Erick Kila

Urodził się w 1954 r., poeta, prozaik, dramaturg. Debiutował w 1984 r. zbiorem wierszy *Analyse van een landschap*. Autor książek dla młodzieży, opowiadań i tekstów teatralnych. W 2014 r. ukazał się zbiór poezji *Beken!* E. Kila jest członkiem redakcji „Gierik & Nieuw Vlaams Tijdschrift”, także krytykiem w redakcji „De Auteur” (czasopismo Stowarzyszenia Pisarzy Flamandzkich). Mieszka w Den Haag w Holandii.

Anna Kokot

Dziennikarka i politolog z Poznania. Pisze eseje, opowiadania i recenzje. Współpracuje m.in. z „Gońcem Ziemi Wronieckiej” i „Protokołem Kulturalnym”.

Janusz Koniusz

Urodził się w 1934 r. w Sosnowcu-Niwce w rodzinie górniczej. Poeta, dziennikarz, redaktor antologii wierszy, opowiadań, reportaży, baśni i legend lubuskich, pamiętników mieszkańców Środkowego Nadodrza oraz osób niepełnosprawnych. Opublikował kilkanaście zbiorów wierszy, opowiadań oraz esejów historyczno-wspomniowych. Autor słuchowisk radiowych i widowiska telewizyjnego. Laureat konkursów literackich, członek ZLP.

Daniel Koteluk

Historyk, regionalista, autor książek naukowych, absolwent studiów doktoranckich Uniwersytetu Zielonogórskiego (2005). Doktorat poświęcił Zjednoczonemu Stronnictwu Ludowemu w województwie zielonogórskim w latach 1950-1956. W 2014 r. uzyskał na Uniwersytecie Wrocławskim stopień doktora habilitowanego w zakresie historii, specjalność: historia najnowsza Polski. Laureat VII Lubuskiego Wawrzynu Naukowego (2011). Współtworzy monografie miast, publikuje w historycznych pismach naukowych.

Magdalena Kremer-Sochacka

Instruktor do spraw czytelnictwa dzieci i młodzieży w Dziale Badań Analiz i Metodyki WiMBP, instruktor teatralny, realizatorka wielu projektów dla dzieci młodszych z książką w tle. Fanka książek obrazkowych, zwłaszcza książek Iwony Chmielewskiej.

Katarzyna Krysińska

Ukończyła studia z zakresu filologii polskiej na Uniwersytecie Zielonogórskim, studium bibliotekarskie oraz studia podyplomowe w zakresie diagnozy i terapii pedagogicznej. Przez kilka lat pracowała jako redaktor i korektor w lubuskich wydawnictwach. Przygotowuje pracę doktorską na temat nurtu religijnego w poezji lubuskiej.

Maciej Kubiak

Urodził się w 1993 r. w Szprotawie. Absolwent filologii germańskiej Uniwersytetu Zielonogórskiego. Poeta niezrzeszony, laureat ogólnopolskich konkursów poetyckich. Tworzy w języku polskim i niemieckim.

Jan Kurowicki

Urodził się w 1943 r. w Baranowiczach. Filozof, krytyk literacki, poeta, eseista i prozaik. Ukończył Wydział Filozoficzny na Uniwersytecie Warszawskim. Debiutował jako poeta w 1966 r. na łamach tygodnika „Kultura”. W 1969 r. uzyskał stopień doktora za rozprawę *Literatura XX w. w perspektywie antropologii filozoficznej*. W 1974 r. został doktorem habilitowanym za rozprawę *Próba społecznej charakterystyki poznania*. Od 1983 r. był profesorem nadzwyczajnym Uniwersytetu Wrocławskiego. Kierownik katedry Nauk Społecznych Akademii Ekonomicznej im. Oskara Langego we Wrocławiu na Wydziale Gospodarki Regionalnej i Turystyki w Jeleniej Górze. Od 2010 r. przewodniczący Sądu Koleżeńskiego Polskiego Towarzystwa Hegla i Marksa, a od 2016 r. przewodniczący Główniej Komisji Rewizyjnej Stowarzyszenia Marksistów Polskich.

Aleksandra Kurzawa

Urodziła się w 1990 r. w Białymstoku. Absolwentka filologii polskiej i malarstwa na Uniwersytecie Zielonogórskim. Studiuje (II rok) edukację muzyczną, jest w trakcie pisania doktoratu z filozofii. Zajmuje się także rekreacyjną jazdą konną i z tym wiąże przyszłość.

Anna Kwapisiewicz-Sevens

Urodziła się w 1957 r. w Zwoleniu k. Czarnolasu. Jest muzykiem, poetką. Studiowała w Polsce i w Belgii. W latach 1980-1994 waltornistka, a później perkusistka w Filharmonii im. T. Bairda w Zielonej Górze. Obecnie nauczyciel fakultetu akademickiego w Królewskiej Szkole Baletowej w Antwerpii. Jako poetka zadebiutowała w „Nadodrze” (1982). Publikowała m.in. w „Pro Libris”, na antenie Radio Zachód, a także w prasie ogólnopolskiej („Tygodnik Kulturalny”, „Życie Literackie”), w almanachach utworów pokonkursowych w kraju i za granicą. Jej poezja, tłumaczona na język niderlandzki, ukazała się w kwartalniku literackim „Gierik & NVT” (Antwerpia, 2013). Zdobywczyni nagród i wyróżnień w ogólnopolskich konkursach literackich, należała do Klubu Młodych Pisarzy w Zielonej Górze oraz w Krakowie (Klub „Pod Jaszczurami”). Autorka tomików poetyckich *Con tristezza* (LTK, 1985), *Z księgi dla niepiśmiennych* (Bibliofilska Seria Muzeum Ziemi Lubuskiej, 1991), *Dylatacja* (emisja wierszy w Radiowej Książce Poetyckiej w Radiu Zachód). W przygotowaniu zbiór poezji w wersji niderlandzko-polskiej *Słyszeć obrazy – muzyka zimą*.

Dominika Lewicka-Klucznik

Animator kultury, filolog, redaktor; pomysłodawca powstania Alternatywnego Elbląskiego Klubu Literackiego. Jest prezesem Stowarzyszenia Alternatywni, które zajmuje się organizacją wydarzeń kulturalnych w Elblągu. Zajmuje się organizacją III Festiwalu Literatury „Wielorzecz”. Pozyskuje fundusze ze środków unijnych, rządowych, samorządowych na działania kulturalne. Publikuje w antologiach, pismach literackich i kulturalnych. Jest laureatką ogólnopolskich konkursów literackich i turniejów jednego wiersza. W 2013 r. wydała debiutancki tomik poetycki *Samopas* nominowany do nagrody Orfeusz w kategorii Orfeusz Mazurski. Laureatka nagrody Kreatora Kultury od Prezydenta Miasta Elbląg.

Janusz Łastowiecki

Krytyk radiowy, teatralny. Absolwent polonistyki Uniwersytetu Zielonogórskiego. Przygotowuje rozprawę doktorską dotyczącą psychologii odbioru teatru radiowego. Współpracuje z „E-teatrem” i „Dziennikiem Teatralnym”. Obok radia artystycznego jego zainteresowania skupiają się na zagadnieniach filmu polskiego, teatru współczesnego i muzyki eksperymentalnej.

Władysław Łazuka

Urodził się w 1946 r. Poeta, prozaik, muzyk. W 1966 r. wyróżniony w Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim *O Zielony Kwadrat* w Katowicach. W 1969 r. debiutował na antenie Radia Szczecin opowiadaniem *Dzień Starego* oraz wierszami w „Tygodniku Kulturalnym” oraz kwartalniku „Vineta” (STK). Autor 16 tomików poetyckich, laureat wielu nagród i wyróżnień literackich. Wiersze przekładane na język niemiecki, węgierski, bułgarski, macedoński, słoweński, serbski, litewski, indonezyjski, chorwacki i angielski. Członek ZLP i Stowarzyszenia Autorów ZAiKS. Mieszka w Choszcznie.

Marian Łysakowski

Podróżnik, kolekcjoner dzwonków, pilot wycieczek, przewodnik turystyczny i pedagog. Absolwent Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Zielonej Górze. W latach 2005-2011 był wykładowcą w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Sulechowie. Z zamiłowaniem uprawia turystykę kolarską.

Krzysztof Martwicki

Prozaik, laureat wielu konkursów literackich. Mieszka i tworzy w Płońsku.

Ewa Mielczarek

Urodziła się w 1961 r. w Gnieźnie. Redaktorka, szefowa Działu Wydawnictw WiMBP w Zielonej Górze. Prowadzi Oficynę Wydawniczą Pro Libris; jest sekretarzem redakcji kwartalnika „Pro Libris”.

Bogdan Nowicki

Urodził się w 1963 r. Poeta, recenzent, krytyk literacki, doktor nauk humanistycznych Uniwersytetu Śląskiego. Mieszka i pracuje w Świętochłowicach.

Alina Polak

Dr nauk humanistycznych, specjalizuje się w odczytywaniu starych dokumentów, rękopisów i pamiętników. Do jej zainteresowań naukowych należą historia i archeologia słowiańszczyzny oraz średniowiecza, a także kultura materialna dwudziestolecia międzywojennego w Polsce i Europie. Jej hobby to nauki kryminalistyczne, detektywistyka, a w wolnym czasie nauka języka japońskiego.

Anna Polus

Zastępca dyrektora WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze, starszy kustosz, członek rady wydawniczej, trener prowadzący szkolenia dla bibliotekarzy, koordynator inicjatyw w zakresie wspierania i promocji książki, czytelnictwa wśród mieszkańców Zielonej Góry, zwłaszcza przedsięwzięć dla dzieci i młodzieży. Moderatorka spotkań w ramach Czwartków Lubuskich. Od lat związana z kulturą Zielonej Góry i województwa lubuskiego. Animator kultury, członek Lubuskiego Stowarzyszenia Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut” w Zielonej Górze, członek i przewodnicząca Rady Muzeum Etnograficznego w Zielonej Górze z/s w Ochli, wykładowca na studiach podyplomowych z zakresu bibliotekoznawstwa i informacji naukowej.

Marcin Radwański

Urodzony w Zielonej Górze, gdzie nadal mieszka. Wielbiciel kryminałów, literatury obyczajowej i poezji. Autor wielu opowiadań, których większość ukazała się drukiem w magazynach literackich. Publikuje również na łamach portali internetowych („wZielonej” przy Uniwersytecie Zielonogórskim, „Szafa”, „Mroczna Środkowo-Wschodnia Europa”, „Ośrodek Postaw Twórczych – Helikopter”, „Nowa Gazeta Literacka”, „Cegła”, „Litternet”, „2Miesięcznik. Pismo ludzi przełomowych”). W 2014 r. wydał w formie e-booka zbiór opowiadań pt. *Skok w przepaść* i powieść kryminalną *Nieprzypadkowa ofiara* (w 2015 r. wydał wersje papierowe obu książek). Jest autorem tomiku poezji pt. *Czekając na...* Stypendysta Prezydenta Zielonej Góry w dziedzinie literatury za rok 2013.

Aldona Reich

Absolwentka filologii polskiej (WSP Zielona Góra), współpracuje jako redaktor techniczny z Lubuskim Towarzystwem Naukowym. Autorka blogu „Moje narracje”.

Robert Rudiak

Poeta, prozaik, publicysta, krytyk i historyk literatury, doktor nauk humanistycznych, autor kilku książek poetyckich, współautor antologii i szkiców literackich. Członek Zarządu Oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze i Lubuskiego Stowarzyszenia Miłośników Działań Kulturalnych „Debiut”. Otrzymał Nagrodę Kulturalną Prezydenta Miasta Zielona Góra i Lubuską Nagrodę Literacką ZLP. Pracuje w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. C. Norwida.

Czesław Sobkowiak

Urodził się w 1950 r. w Jaromierzu; absolwent polonistyki na Uniwersytecie Wrocławskim; poeta, autor kilkunastu tomików poetyckich i tomu prozy *Rzeka powrotna*; krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich. Mieszka w Zawadzie koło Zielonej Góry.

Łukasz Staniszewski

Prozaik, laureat II miejsca w Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Eugeniusza Paukszty w Kargowej w 2016 r.

Czesław Strawa

Emeryt, z wykształcenia prawnik, autor monografii szkolnych, publikacji prasowych i czasopiśmienniczych. Zielonogórzanin.

Mirosława Szott

Rocznik 1987, poetka, krytyczka literacka, autorka dwóch książek poetyckich (*pomiary Zamku*, 2013; *Anna*, 2015). Przygotowuje pracę doktorską o poezji lubuskiej w perspektywie geopoetyki. Kieruje działem Regionalia w roczniku „Filologia Polska”. Członkini Stowarzyszenia Jeszcze Żywych Poetów.

Adam Bolesław Wierzbicki

Urodził się w 1972 r. w Krośnie Odrz.; autor kilku zbiorów poetyckich; nagradzany i wyróżniany w kilkudziesięciu ogólnopolskich konkursach literackich. Mieszka w Dłużku w powiecie żarskim.

Jesica Woźniak

Doktorantka literaturoznawstwa na Uniwersytecie Zielonogórskim. Do jej zainteresowań badawczych należy literatura, a w szczególności literatura dziewiętnastowieczna oraz twórczość Józefa Ignacego Kraszewskiego będąca tematem jej pracy licencjackiej, magisterskiej i przygotowywanej rozprawy doktorskiej. W kręgu jej pasji badawczych znajdują się również kwestie językoznawcze, m.in. zagadnienia związane z komunikacją i kontaktami językowymi.

6. PROZA POETÓW. FESTIWAL LITERACKI IM. ANNY TOKARSKIEJ

15 listopada – 11 grudnia 2016, Biblioteka Norwida

Organizatorzy Festiwalu:

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida w Zielonej Górze

Dyskusyjne Kluby Książki

Zielonogórski Uniwersytet Trzeciego Wieku Klub Literacki OKSYMORON

Związek Literatów Polskich Oddział w Zielonej Górze

Lubuskie Stowarzyszenie Miłośników Działań Kulturalnych DEBIUT

6 listopada (niedziela)

Forpocztą Festiwalu

Krakowski Salon Poezji w Zielonej Górze.

Miłosz, Herbert, Szymborska... czyta **Maja Komorowska**, wybitna aktorka teatralna, filmowa, telewizyjna, pedagog i profesor Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie.

Po spotkaniu możliwość nabycia książki Mai Komorowskiej i Tadeusza Sobolewskiego *Pytania, które się nie kończą*.

godz. 12.00, sala kameralna Filharmonii Zielonogórskiej

15 listopada (wtorek)

Anna Tokarska... wiersze w interpretacji słuchaczy Zielonogórskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku – Inauguracja Festiwalu.

Po spotkaniu wernisaż wystawy *Stygmaty błękitu* (instalacje, malarstwo, poezja) **Małgorzaty Gołębie-wicz**, artystki z Żar.

godz. 16.00, Sala Dębowa oraz Galeria Biblioteki Norwida

16 listopada (środa)

Festiwal dzieciom – Zaczarowany świat Joanny Papuzińskiej – spotkanie autorskie.

godz. 12.00, Sala Dębowa

17 listopada (czwartek)

Promocja zbioru wierszy *Pogodna biel dobrego samopoczucia* Pauliny Korzeniewskiej.

Prowadzenie: **Mirosława Szott**. Wieczór połączony z **promocją wydania Lubuskiego Pisma Literacko-kulturalnego „Pro Libris” nr 50–54.**

godz. 18.00, Klub „Pro Libris” im. Andrzeja K. Waśkiewicza

22 listopada (wtorek)

Warsztaty pisarskie dla licealistów z udziałem Katarzyny Bondy.

godz. 13.00, Mediateka Góra Mediów

Lubuskie śledztwo kryminalne – panel dyskusyjny z udziałem lubuskich prozaików: **Krzysztofa Koziółka**, **Łukasza Kotwickiego**, **Przemysława Piotrowskiego** oraz gościa specjalnego **Katarzyny Bondy**.
Prowadzenie: **Alfred Siatecki**.
godz. 17.00, Sala Dębowa

Spotkanie autorskie z **Katarzyną Bondą** – popularną autorką kryminałów, dokumentalistką, dziennikarką oraz scenarzystką. Prowadzenie: **dr Wolfgang Brylla**.
godz. 18.00, Sala Dębowa

23 listopada (środa)

Promocja książki *Droga do piekła* **Przemysława Piotrowskiego**, prozaika, autora powieści *Kod Himmlera*.
Prowadzenie: **Andrzej Flügel**.
godz. 18.00, Klub Pro Libris im. Andrzeja K. Waśkiewicza

24 listopada (czwartek)

Świat sonetem scalony – Czwartek Lubuski z **Krystyną Konecką**, poetką z Białegostoku, dziennikarką, reporterką. Moderator: **Eugeniusz Kurzawa**.
Spotkanie w ramach jubileuszu 55-lecia Oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze.
godz. 18.00, Klub Pro Libris im. Andrzeja K. Waśkiewicza

27 listopada (niedziela)

Krakowski Salon Poezji w Zielonej Górze

Literatura na głos Mickiewicza, Słowackiego, Gombrowicza, Eliota, Gałczyńskiego czyta **Mariusz Bonaszewski**, aktor teatralny, filmowy, telewizyjny, dubbingowy i radiowy.
godz. 12.00, sala kameralna Filharmonii Zielonogórskiej

30 listopada (środa)

Promocja zbioru felietonów *Sprzedawca arbuźów* **Marcina Mellera**, dziennikarza, felietonisty.
godz. 18.00, Sala Dębowa

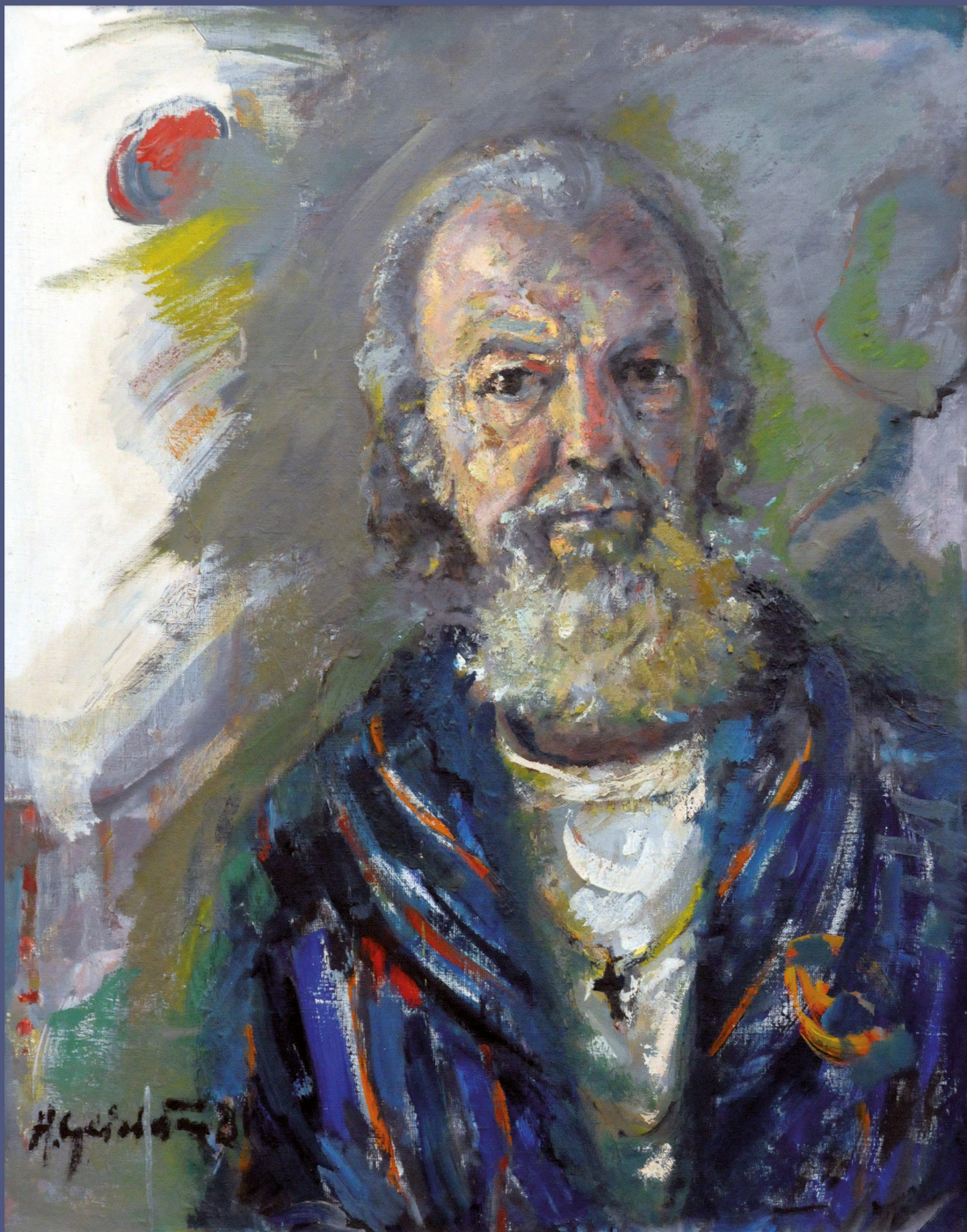
11 grudnia (niedziela)

Krakowski Salon Poezji w Zielonej Górze

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska... czyta **Magdalena Zawadzka**, aktorka teatralna, filmowa i telewizyjna.
Po spotkaniu możliwość nabycia książek M. Zawadzkiej *Taka jestem i już!* oraz *Gustaw i ja*.
godz. 12.00, Sala Dębowa







Cena 10,50 zł (w tym 5% VAT)

ISSN 1642-5995

03



9 771642 599108

PRO
LIBRIS